MŁODA UKRAINA

WYBÓR NOWEL

ZEBRAŁ I TŁÓMACZYŁ

WŁADYSŁAW ORKAN

MŁODA UKRAINA

MŁODA UKRAINA

WYBÓR NOWEL
ZEBRAŁ I TŁÓMACZYŁ
WŁADYSŁAW ORKAN

WARSZAWA 1908. NAKŁAD KSIĘGARNI
G. CENTNERSZWERA I SPÓŁKI

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

IWAN FRANKO

POŁUJKA.

Co to teraz nasz Borysław? Zupełnie na psy zeszedł! I żydzi narzekają, i panowie narzekają, i robotnicy narzekają. Wszystkim źle. Pracują ludziska, jak konie w kieracie, dłubią świętą ziemię, czerpią kipiączkę, ciągną wosk. Powiedziałby kto: Dar boży! Złoto! Majątek! A patrzcie no wy, gdzieś to wszystko tak przepada, że nawet śladu niema. Tak, jakby się tem dyabeł dławił. Czem więcej bożego daru z ziemi dobywają, tem bardziej wszyscy biednieją.

Nie rozumiem dlaczego tak jest, ale jest. Ni zarobków dawnych niema, ni wesołości, ni zabawy, tak, jak to niegdyś bywało; idzie człowiek do tego Borysławia, jak bydlę do rzeźni: a nuż dzisiaj kolej na mnie głową nałożyć! A nie zginę, to i tak wiele nie wygram, ot, aby dychać. O tem, aby się zapomódz biednemu człowiekowi z tego zarobku, aby przyoszczędzić co dla gospodarstwa, albo całkiem na nogi stanąć, robiąc się z najmity gazdą, jak to dawniej bywało, o tem dzisiaj nawet myśleć nie można.

Bieda i tyle.

A za moich młodych lat nie tak było! Przed trzydziestu laty warto było zajrzeć do Borysławia, było tu co widzieć, było co słyszeć! Teraźniejszego niby miasta wcale nie było, tylko doły nad potokiem i to nie głębokie. Tych dzisiejszych kręcikarków

po sto i stopięćdziesiąt metrów nikt wtenczas i we śnie nie widział. Przekopiesz było pięć, sześć sążni, a jak dziesięć, dwanaście, to już wielkie święto, i czujesz: zaduch bije, na dnie jamy bulkoce, słychać klekot, szypienie — oho, to już znak, że pora zabijać jamę! Zabijesz na jedną noc, drugiego dnia otworzysz, pełny dół kipiączki, tylko bierz i czerp!

Napatrzyć się nie można było, jak żydzi skakali koło takiego dołu, jak cmokali, jak się do robotników mizdrzyli! Mało w ręce nie całowali, a ciągle częstowali i przypraszali:

— Iwanuniu! Daj wam Boże zdrowie! Ny, napijcie się! A jak myślicie, zabijemy dziś jamę?

— Nie, jeszcze kopać trzeba.

— Ny, a możeby dziś zabić?

— Ta zabijaj, kiedy chcesz, ale ja ci powiadam, że na marne.

I było tak, jak robotnik radził. E, dbali wtenczas żydzi o naszą łaskę, obchodzili się z nami nie tak, jak dziś, bo byli jeszcze mali, jeszcze, jak to mówią, dopiero zaczęli byli szydłem miodu kosztować.

A robotnicy w tych czasach, co to za chłopcy byli! Nie takie charłactwo, jak dziś do Borysławia pcha się. Wtenczas szli najlepsi parobcy, nieraz synowie gazdów, choć najczęściej ubodzy, najmici, sieroty, którzy życie na służbie sterali w ciężkiej pracy, nieraz reńskiego nie widząc, nieraz nie znając co to jedzenie, prócz barszczu, rosolanki i wódki. A tu nieraz i reński dziennie! I twoje wszystko. Z nikim nie potrzebujesz się rachować, dzielić, na nikogo się obzierać. Nikt na ciebie nie patrzy, nikt cię nie zna, nikt ci w ręce nie zagląda. Rób sobie, w kompanii takich jak sam, co ci się podoba, żyj, jak żywnie chcesz i umiesz. I żyli chłopcy! Robota robotą, ale po robocie, wieczorem, jak pocznie się, bywało, zabawa, to warto było widzieć! Dziś takich zabaw niema! Krzyki, śpiewy, bójki, różne figle i żarty, aby pieniądzom oczy przemyć.

Dla prawdziwego »ropnika« wstyd było nie przepić w niedzielę tego, co w tygodniu zarobił. Czy zapłacił za wikt i mieszkanie, czy nie, czy odłożył co na czarną godzinę, czy nie, ale w szynku on pan. Wódka, piwo, wino, pieczyste, wszystko musiało być.

— Napluć mi na to wszystko! Jutro, lub pojutrze może mię dyabeł porwać. Hulajmy chłopcy, póki czas, póki nasze!

W niedzielę i w poniedziałek, był w Borysławiu taki jarmark, taki zgiełk i harmider, jakby kto sto szkół żydowskich na jedną kupę zsypał. Pijemy, tańcujemy, a potem, wziąwszy się za ręce, ławą suniemy pomiędzy baraki — bo to był owoczesny Borysław; wieś dalej, a tu, gdzie jest dzisiejszy Borysław, to była przez środek droga, a po obu bokach baraki, gdzieniegdzie tylko budowano chaty — otóż suniemy drogą i ryczymy nieludzkimi głosami:

Och, nie żałuj, moja miła,
Że ja piję,
Będziesz kiedyś żałowała,
Że nie żyję!

A niech ino pokaże się żyd i powie:

— Iwanuniu, czasby do pracy!

No-no! Miałby on wtedy! Zaraz go obstąpią, niby dobrzy przyjaciele, ten w beczkę z kipiączką rękę włoży i z tyłu na bekieszy ogromną piątkę przybije, drugi naperfumuje mu brodę, trzeci taką samą ręką pejsa mu podkręci, czwarty obydwie dłonie na plecy położy i jeszcze dogaduje:

— Moszku! Po co ci się spieszyć? I nas dyabeł weźmie, i ciebie weźmie. My zginiemy ropnikami, ty zdechniesz, jako bogacz. Nie bój się, twoje nie ucieknie! Chodź, napij się z nami! Ależ bo ty pięknie wyglądasz! Aj, aj, twoja rodzona Sura cię nie pozna!

Żyd, niby uśmiecha się, a omało nie pęknie ze złości. Ale co ma robić? Chłopi, jak niedźwiedzie, i jeszcze pijani do tego.

Policyi, ni żandarmów wtenczas jeszcze w Borysławiu nie było, nie było przy kim żydom broić.

Ale wnet się nauczyli!

II.

Aha, co to ja chciałem wam opowiedzieć? O »połujce«. Teraz o niej mało kto pamięta, a wtenczas była ona dla ropnika tak, jak kołacz, który mama dziecku z miasta przywozi.

Bo to, widzicie, taki był zwyczaj, że jak w której jamie pokazała się ropa, to pierwsza beczka szła dla robotników, co przy niej pracowali. Mogli ją sprzedać, komu chcieli, albo musiał ją właściciel od nich wykupić. Nie wielkie to pieniądze, dziesięć, później piętnaście złotych, nie, ale dla tych czterech robotników zawsze coś znaczy. Otóż, jak ino gruchnęła wieść, że w którymś dole dokopano się do ropy, to roiło się gwarnie po wszystkich koszarach:

— Oho, u Herszka, czy tam u Moszka, pojutrze »połujka« będzie.

No, a mówić wam nie potrzebuję, co to znaczyło. To znaczyło: pijatyka taka, że wszystkie pieniądze musiały na miejscu zostać. To już ropnicy biegli na »połujkę«, jak swachy na wesele.

Nie pomnę już, kto to ten zwyczaj zaprowadził, ale pewna, że nie żydzi. Bardzo oni na niego zezem patrzyli, ale nic poradzić nie mogli. Kiedy już raz było takie zaprowadzenie, to ropnicy byliby mu cały barak roznieśli, a jego samego byliby do tej beczki zapakowali, gdyby im był nie dał »połujki«. Zrazu dawali chętnie, póki biedni byli, potem, jak się rozpanoszyli, poczęli się krzywić, potem przychodziło do sprzeczek, aż wkońcu, po wielkim ogniu 1874 roku zupełnie ten zwyczaj znieśli.

Otóż z tą »połujką« na moich oczach była historya.

Robili my — ja i Hryć Chomyk — ten, co teraz wójtem jest w Zapałem, i Iwem Karapuł, nieboszczyk już — przy jednej jamie u Jojny. On jakoś dziwnie się nazywał, ale my nazywaliśmy go »Jojną z trzema brodami«, bo miał brodę rozdzieloną na trzy kłapcie, z których średni był czarny, a dwa boczne siwe. Zupełnie tak wyglądał, jak szara gęś. Dawno go już wyrwało przez tę »połujkę«, o której myślę wam opowiedzieć, a synal jego, Boruch, zupełnie na nic zeszedł, furmani teraz w Drohobyczu.

Ten Jojna niedawno był przyszedł z gór. Mówili, że dorobił się majątku na handlu wołami, a teraz chciał w Borysławiu wyjść na pana. Zaraz u jednej baby kupił kawał pola, nie powiem za półdarmo, lecz zupełnie za darmo, bo za kilka kwart słodkiej wódki. Baba była sama, stara, miała chatę i ten kawał pola, daleko ode wsi, na moczadłach. Resztę jej człowiek jeszcze przed śmiercią przepił. Otóż rada była, że pozbyła się tej reszty, a wypiwszy wódkę i przespawszy się, uszyła sobie worki, przeżegnała się i poszła za proszonym chlebem. A Jojna zaraz począł kopać dwa doły na tym kawałku.

Nie wiodło mu się. A widać, że aż drży, aby prędzej dorobić się majątku, biega, wącha, nagli robotników, zaziera do jam. Nasi ropnicy bardzo tego nie lubili. I zwodzili go. Przyniosą skądś kubeł ropy, wieczorem wleją do jamy, a rano, kiedy dobywają glinę z dołu, nasz Jojna aż podskakuje:

— Oho, jest już, jest! Jest u mnie ropa! Iwanuniu, a wiele jej tam jest? — krzyczy na dół do robotnika.

— Tyle, że nie widać.

— Jakto? Jakto? Przecie na glinie jest?

— Ta, to, Jojno, ziemia się ślini — odpowiada mu robotnik z jamy.

— Jakto, ślini? Ja jeszcze nie słyszał, aby się ziemia śliniła.

— Ta tak, że ropa jest gdziesi głęboko, a tu ino piana na glinie występuje.

— Ny, a czy prędko będzie, Iwanuniu, czy prędko będzie?

— Mówią, że będzie, ino zaczekajcie! — odpowiada robotnik i z całej siły bije »dziubakiem« w twardy ił.

— Ny, ny, niwroku! — mówi do siebie Jojna i nie idzie, ale biegnie do drugiej jamy, aby i tam dowiedzieć się, że w jamie glina ślini się, ale kipiączka kazała zaczekać na się. Kilka razy tak chłopcy zwodzili Jojnę i aż tarzali się po ziemi od śmiechu. Ba! Dla nich śmiech, a Jojnie brak już cierpliwości, i nie tak cierpliwości, jak jeszcze bardziej pieniędzy. Nie miał on ich wiele w zapasie, a dwie jamy naraz kopać i cembrować, to coś kosztuje. Doją go te jamy i doją, a pożytku nie dają. Wkońcu jednego piątku obliczył się on z kasą, przyszedł po południu do koszar, chodzi, zagląda do jam, cmoka, palce łamie i swoje trzy brody rozgarnia, a potem powiada do mnie — (ja właśnie jedną szachtę przy młynku robiłem):

— Słuchajcie, Iwanuniu, jak wam się zdaje, prędko u nas będzie ropa?

— Bóg raczy wiedzieć — odpowiadam na to.

— A ziemia ślini się w jamie?

— Jakoś przestała.

— A zaduch czuć?

— Jakoś nie.

— To może my nie na dobrem miejscu kopać zaczęli?

— Albo ja wiem.

— Ja myślę, że tam w dolinie... Jak myślicie, Iwanuniu, byłaby tam prędzej ropa?

— A kto ją wie.

— A ja myślę, że tam byłaby jak nie na piątym, to na szóstym sążniu.

— A z czego wnioskujecie?

— Widzicie, Nuta Grauberg tam, za miedzą, w tej samej dolinie kopie.

— Co z tego, że kopie? Niczego się jeszcze nie dokopał.

— Ropa się już pokazała.

— Ha, kiedy się już ropa pokazała, to pewnie wnetki będzie i kipiączka.

— Jakże? Może i my tam jedną jamę zaczniemy kopać?

— Jak uważacie.

— Ale tu szkoda porzucać.

— Ta, szkoda.

— Gdyby wiedzieć, że tu prędzej będzie...

— Ba, gdyby wiedzieć...

Tak naradzał się ze mną Jojna. Broń Boże, nie mógł powiedzieć, abym go namawiał na tę, albo na tamtą stronę. Tak samo nie rozumiałem się na tem, gdzie kopać, a gdzie nie, jak i on.

Jeszcze parę dni chodził Jojna, mruczał, medytował, radził się innych żydów, aż wkońcu rzekł:

— Trudno chłopcy! Zabijajcie te jamy! Zaczniemy w innem miejscu.

Dla nas to obojętne. Zaczniemy, to zaczniemy. Dla nas jeszcze lepiej, bo na wierzchu łatwiejsza robota.

III.

Nuta Grauberg, to był najbliższy sąsiad i największy wróg naszego Jojny. Czy na prawdę tak było, czy tylko tak zdawało się Jojnie, że Nuta zawsze robi mu na przekór. Na przekór jemu kupił cząstkę zaraz obok Jojny i to tak samo za byle co, jak Jojna. Na przekór jemu zaczął kopać dwie jamy, jeno był ostrożniejszy i jeden zakop zrobił na pagórku, tam gdzie były obydwa zakopy Jojny, a jeden zaś na dole, tam gdzie teraz Jojna zamie-

rzał kopać. Obaj sąsiedzi nienawidzili się strasznie. Kiedy Jojna spotkał rano Nutę, to plwał za nim, a kiedy on sam przeszedł Nucie drogę, to ten nigdy nie zaniedbał bąknąć wślad za nim:

— A Richn da'n Tat'n aran!

Lecz gdy Jojna był zachłanny, chapczywy, a przytem wszystkiem przychlebny i pochopny do gniewu, to Nuta był spokojny, lubił żarty i drwiny, a z robotnikami obchodził się tak, jak z dobrymi sąsiadami. Czasem stawał on obok swej koszary, a widząc, jak Jojna myszkuje koło swoich dołów, i widząc, jak ropnicy drwią sobie z niego, poczynał żartować:

— Jojne!

— A co? — odpowiadał Jojna po żydowsku.

— A ślini się w twoim dole?

— Fras na twoje kiszki! — odpowiadał Jojna i szedł do koszary. Pokręci się tam, niby coś zapomniał, i idzie precz, a po chwili słyszymy zdala, jak Jojna mówi:

— Nuto!

— Ny?

— Nakaż swoim ludziom, aby mi iłu na mój grunt nie prali.

— Ogródź se swój grunt — odpowiada Nuta.

— Ja tobie naprzód zęby ogrodzę.

— Biste meszüge! Sam się czepiesz do mnie.

Sprzeczki powtarzały się coraz częściej, aż wkońcu obaj przeciwnicy zgodzili się na jedno: spólnym kosztem oddzielić swoje cząstki za pomocą wysokiego parkanu. Lecz spokoju pomimo tego nie było. Jojna zazdrosnem okiem spoglądał na Nutę, co dnia życzył mu, aby się jego jamy zasypały, aby on »kiszki złamał« i ażeby go już na oczy nie widział. Zdaje się, że i Nuta płacił Jojnie tą samą monetą.

A kiedy w dolnej jamie Nuty okazała się ropa, to jest rzadki, czarny płyn z zapachem naftowym, ale nie nadający się do wyrobu

nafty, tylko na szmir do wozów, Jojna nie mógł sypiać i tak długo nie mógł się uspokoić, jak długo nie zakrył jam na wzgórzu i nie zaczął kopać na dolinie.

— Jojne! — kpił sobie Nuta przez parkan. — Ślini się w twoich jamach?

— Tak samo, jak w twoich.

— A kiedy będzie »połujka«?

— Obaj jednego dnia zrobimy.

— A masz już beczki na kipiączkę?

— Jak będzie trza, to będą.

— To pewno twój bednarz poszedł dziś do lasu po obręcze?

— Tak samo, jak i twój.

— A ja ci muszę za jedno podziękować, Jojna.

— Za co?

— Za to, żeś mi się z pagórka ustąpił.

— Ja — tobie?

— Ny, tak. Wykopałeś ty dziesięć sążni i ja dziesięć. Teraz ja wykopię jeszcze dwa i wszystka kipiączka z twojego zakopu spłynie do mojego.

— Bierz ją sobie! Daj Boże, abyś do końca tylko tyle miał, co z mojego zakopu!

Nuta żartował, a Jojna całem sercem pragnął dla niego tego, co powiadał. A tymczasem los inaczej zadrwił z obydwóch. Nie minęły dwa dni, gdy w zakopie Nuty, na pagórku okazała się kipiączka. Nuta pierwszy sprawiał »połujkę« i zaprosił nas w gościnę. Jojna mało się nie wściekł ze złości.

— Aj waj! Co ja zrobiłem! Po co mi było porzucać swoje jamy! — krzyczał, rwąc swoje pejsy. — Byłbym miał kipiączkę, a tak ten trefniak wszystką wybierze! Jego dół głębszy, to z mojego gruntu wszystko do niego spłynie.

— Nie bójcie się, Jojna — mówiłem — kiedy u Nuty po-

kazała się, to i u was będzie. Wykopał on dwanaście sążni, to kopcie wy czternaście, a wtenczas z jego zakopu spłynie do naszego.

— Prawda wasza, Iwanuniu, prawda wasza! — krzyknął Jojna. — Anu chłopcy! Porzucajcie te nowe zakopy, a wracajcie do starych.

— Słuchajcie, Jojno, — powiadam do niego. — Nie tak wy róbcie. Zostawcie jednych, niechaj kopią tu, a drudzy niech tam idą.

— Dobrze mówicie, Iwanuniu, dobrze mówicie. Tylko mi zawsze tak ładnie radźcie, to ja wam taką »połujkę« sprawię, że aż nu!...

— Spodziewamy się, że nas nie skrzywdzicie. Widzieliście przecie, jaką Nuta »połujkę« sprawił.

— Co Nuta? Do czego Nuta? Nuta kapcan, parch, paskudnik! Co on rozumie? Ja jeszcze spodziewam się, że on stąd z torbami pójdzie!

A Nuta tymczasem czerpie ze swojej jamy kipiączkę i czerpie, po dwadzieścia beczek dziennie do destylarni odwozi. A Jojna stoi przed swoją koszarą, liczy beczki i aż dławi się, aż zębami ze złości i z zazdrości zgrzyta. U Nuty koło koszary harmider, krzyk, pełno żydów, fur z wozami i końmi — u Jojny pusto i smutno, słychać jeno skrzyp korby, dźwigającej kubeł pełen suchego iłu i pisk młynka, pędzącego do jamy świeże powietrze.

— Jojne! — woła przez parkan Nuta.

— Co jest? — odzywa się Jojna.

— Czy to prawda, że ty jutro zabijasz swoją jamę?

— Daj Boże, aby twoje słowo było w dobrą chwilę wymówione!

— Bo ja chciałem ci coś powiedzieć.

— Co takiego?

— Jeżeli jutro nie zabijesz, to mi ją sprzedaj.

— Zdław się swoją.

— Ny, poco się gniewasz? Zwrócę ci koszta i dam pięć szóstek odczepnego.

— Aby ci się język odczepił od twego trefnego pyska.

— A wiesz ty co, Jojno?

— Nie potrzebuję wiedzieć.

— Widzę, żeś dobry człowiek. Jak zakopiesz wszystkie swoje pieniądze, to zgłoś się do mnie za kasyera.

— A ty, jak zostaniesz dziadem, to przychodź do mnie dwa razy w tygodniu, a za każdym razem dostaniesz grajcar odemnie.

— Dobrze Jojno! Zapamiętam to sobie, a ty sobie zapamiętaj, co ja ci powiedziałem. I pamiętaj, jeżeli będziesz sprzedawał zakopy, to zwróć się nasamprzód do mnie, jako do sąsiada. Dobrze zapłacę.

— Abyś ty nie doczekał płacić, a ja brać od ciebie! — krzyczał rozwścieklony Jojna i uciekał do swojej koszary.

IV.

I tym razem żarty Nuty miały się sprawdzić. Ta przemówka była we czwartek, a w piątek po południu robię ja szachtę w jamie, słyszę, wyziew podchodzi, robi się coraz gęstszy, parniejszy, zaczyna mię otumaniać. Dzwonię do tego od młynka, aby dął z całej siły.

— A co tam, Iwanuniu! — krzyczy z góry Jojna — jest zaduch?

— Jest.

— A ślini się jama?

— Nie, nie widać.

— A nie bulkoce nic?

— Nie, nie słychać.

Mówię mu, a tu patrz! Co uderzę dziubakiem w glinę, to z pod dziubaka: pszsz! Swąd idzie, dmie, jak z kowalskiego miecha. Dalej pokazuje się coś takiego, jak piana i bulkoce.

— O, — myślę sobie — będzie jutro »połujka«! Albo nie, jeszcze dzisiaj będzie. Ale nie Jojna ją nam sprawi! Zrobimy sobie sami »połujkę«, ale taką, że popamiętamy.

To sobie myślę i słucham. A podemną, jakby się co żywego w ziemi ruszało, bulkoce, klekoce, zdaje się: tuj, tuj, buchnie i zaleje mię. A swąd dusi mię, choć ten przy młynku z całej siły pracuje.

Staję i medytuję, co robić, a Jojna krzyczy już z góry:

— Ny, Iwanuniu, czego ty stoisz?

— Bo zmęczyłem się i swąd dusi.

— Może się ślini?

— Gdzie się tam ślini!

— A może bulkoce?

— Bulkoce, bulkoce.

— Aj, czy na prawdę? Ny, Iwanuniu, mów!

— Bulkoce, ale w moim brzuchu, bo późny obiad jadłem.

— Bodajbyś żartował, a nie chorował! Ny, ny, dziobaj, dziobaj, aby kubeł nie czekał.

— Żebyś tam skamieniał, żydzie! — pomyślałem sobie. A tu czuję, że jak jeszcze raz porządnie w dno jamy uderzę, to może kipiączka buchnąć. Rozumie się, żyd zobaczy to, narobi krzyku, postawi wartę i przepadła nasza »połujka«; dostaniemy to, co mu z nosa kapnie. A ja tego nie chciałem. Otóż biorę ja i dziobię ziemię, ale nie z dna, ino z boków jamy. Ba, kiedy i tutaj wszędzie z pod dziobaka: pszsz! i pszsz! Co za dziwy! Jakby co odrazu tę kipiączkę spędziło, tak, że zewsząd napiera i ciśnie się do jamy. Jakoż ja babrzę się w tej ziemi, a ciągle uważam, aby podawać suchą glinę, bez śladu kipiączki. Byle tylko prędzej do

wieczora. Wtem poczęła i moja lampka kichać. Zawiele nazbierało się swądu. Głowa moja, choć tak mocna, poczęła niestatkować. Świat kręci się, przed oczami zaczynają koła krążyć, z początku zielone, potem czerwone, w gardle łechce, jakby tam kto suchą łyżkę zapchał — nie, dłużej nie wytrzymam. Dzwonię, aby mię do góry ciągnęli.

— Ny, Iwanuniu, — krzyczy Jojna z góry — a co tam?

— Ciągcie do góry, bo mi nie dobrze! — krzyczę. I chwyciwszy oburącz dziobak, co sił wciąłem w oślizgłą od kipiączki glinę na spodzie jamy, a do końca rączki przywiązałem cienki, a mocny sznur, który miałem za pasem na wszelki wypadek.

— Ciągcie! — krzyczę jeszcze raz.

Pociągnęli mię do góry. A ja tymczasem rozpuszczałem ten sznur z za pasa, a koniec jego przywiązałem do sęka cembryny przy samej krawędzi jamy. W jamie ciemno, oni z góry nie widzą, a ja swoje wiem. Wyciągli mię, a ja odrazu runąłem na ziem, jak nieżywy.

— Oj, oj! — krzyknął Jojna — on zagorzał! Iwanuniu! Iwanuniu! Co tobie? Czy słyszysz ty mię?

A ja dobrze słyszę, tylko udaję nieboszczyka. Nadąłem się, posiniałem. Żyd aż rękami po połach uderzył.

— Aj, aj! Ratujcie! Odcierajcie! Wody!

— Wódki! — krzyknął ten od młynka.

Jojna rzucił się do swojej torby po wódkę. Zanim mię odtarli i do przytomności przywiedli, zrobiła się noc. A mnie tego tylko trzeba było.

— Ny, co, Iwanuniu, — dopytywał się mnie Jojna, klęcząc nademną z wódką. — Jest tam co w jamie?

— A dyabeł jest łabaty! Swąd i koniec.

— A kipiączki niema?

— A niech ona ci wszystka skipi i ty razem z nią!

— Ny, ny, poco ty takie mówisz? Przecie to dar boski.

— Dyabli, nie boski! Jeszcze nic niema, a ja już mało że duszy nie oddałem.

— Ny, ale jak ty myślisz, czy będzie co?

— Pewnie, że będzie, tylko nie wiadomo jeszcze kiedy. Swąd jest, ale kipiączki nie widać.

— Ona podejdzie, Iwanuniu, ona podejdzie — mówił uradowany żyd.

— Sama nie podejdzie, trzeba jeszcze z sążeń przekopać, to może...

— Joj! — krzyknął Jojna. — Jeszcze sążeń? A ja myślał dziś na noc zabijać.

— To możesz sobie zabijać, kiedy chcesz. Ale z tego taki pożytek będzie, że tam się więcej swądu zbierze i jutro do południa trzeba będzie dwoma młynkami dobrze kręcić, zanim tam człowiek nos wetknąć potrafi.

Jojna zgłupiał. Aż coś nim trzęsło, jak we febrze dygotał z wielkiej niecierpliwości, ale wiedział, że ja także na wiatr nie zwykłem gadać. Jeszcze chwilę próbował obstawać przy swojem.

— Ej, Iwanuniu, a nie oszukujesz ty mię?

— To leź do jamy i przekonaj się.

— Ny, ny, ja nic! Niech będzie tak, jak wy mówicie. To dziś jeszcze niema poco zabijać?

— Właśnie, trzeba otwartą zostawić, aby powietrze wyszło. Do kipiączki jeszcze nie blizko.

— Ale wy tu nocujcie! Bo jakby tak w nocy wybuchła? A jakby tak... to słuchajcie, Iwanuniu, dajcie mi znać!

— Już wy, Jojno, nie bójcie się — mówią robotnicy. — Iwan choćby nawet chciał pójść, to nie może, bo chory.

— Ale wy nie zostawiajcie go samego.

— Co, i my wszyscy mielibyśmy tu nocować koło waszej

jamy? Niech wam się zasypie! A gdzież to kto widział, aby ropnik, mając pieniądze w kieszeni, nie poszedł pohulać sobie? Słyszycie, tam w baraku Mendla już gra muzyka. Dawajcie pieniądze!

— Nie, — powiada Jojna. — Wiecie wy co, moi kochani, nocujcie i wy tu dzisiaj! Pieniądze jutro wam wypłacę, nie uważając na szabas. A dzisiaj nie dam wam nic, aby was na zabawę nie ciągnęło. Przywieźcie sobie tu chleba, wódki, kiełbasy — ja zaraz każę Mendlowi, aby wam wszystkiego podostatkiem przysłał, a sami nigdzie nie chodźcie. Przypilnujcie mi tą jamę! Ciągle mi się zdaje, że tu coś tej nocy będzie. A jakby tak, co do czego, to proszę was, choć o północy dajcie mi znać.

Namawiał, dreptał, gładził nas pod brodę, odchodził i znowu wracał i prosił i przymilał się. Widać było, że mu się strasznie od jamy odchodzić nie chciało. Co chwila stawał, wpatrywał się w jej ciemną gardziel, wąchał ciężki naftowy wyziew, dobywający się z niej kłębami, a wciąż słuchał, czy nie bulkoce w jej głębi. Aż się trząsł, aby wziąć lampę i przy jej blasku zajrzeć do wnętrza, ale to była niebezpieczna zabawa, gdyż mógł nastąpić wybuch. Ja wciąż jeszcze leżałem na kłapciu barłogu, w kącie koszaru, który służył za pościel dla tego, kto nocował koło jamy.

Leżę i drżę: a nuż dyabelska kipiączka buchnie w tej chwili, zasyczy... Kilka razy słyszałem nawet ten bulkot, ale to było złudzenie. Wkońcu zabrał się Jojna. Na niebie ukazała się pierwsza gwiazda, więc musiał rozpoczynać szabas. Wstałem z barłogu i odprowadziłem go oczyma hen w głąb ulicy. Żył on z żoną i dziećmi we wsi, dobre pół mili od jamy.

— No, poszedł, znikł. Teraz już z pewnością nie wróci.

V.

— Hej, chłopcy! — krzyknąłem na swoich ropników. — Chodźcie do mnie!

— A co tam?

— Będzie »połujka«.

— Kiedy?

— Zaraz.

— Jakto, zaraz? Czy jest kipiączka?

— Niema jeszcze, ale jak zechcę, to zaraz będzie. Niech który pobiegnie do Nuty. Zdaje się, że on jest jeszcze w koszarze.

— Słyszałem, jak szwargotał tam ze swoim kasyerem — potwierdził jeden ropnik.

— Lećcie i sprowadźcie go tu, ale tak, aby nikt o tem nie wiedział.

Skoro jeden, jak pies, przez parkan przeskoczył i pobiegł, ja po ciemku spuściłem się do jamy.

— Chłopcy! Dwóch was niech mię za nogi trzyma! A mocno!

Nie mówiąc ani słowa, chwycili mię za nogi. Wtenczas ja, zwiesiwszy się głową na dół i za głową popełzłszy i brzuchem, odszukałem ten sęk na cembrynie, do którego przyczepiłem koniec sznura, kiedy mię na wierzch wyciągano. Wyziewy mię dusiły, ale ja nie uważałem na to. Okręciwszy sobie ten sznurek mocno dokoła ręki, szepnąłem: — ciągnijcie mię! Pociągnęli. Ja mocno szarpnąłem sznurem, wyrwałem dziobak, zaryty w dnie jamy i słyszałem, jak odwalił sporą bryłę gliny. W tej chwili w jamie gwizdnęło, syknęło, zasyczało, jak pół kopy strasznych zajadliwych gadów, a później zabulkotało, zaklekotało, jak wrzątek w olbrzymim garnku. Towarzysze moi zrozumieli.

— Kipiączka!

W tej chwili wbiegł Nuta do koszary.

— Ny, co tu słychać?

— Słuchajcie Nuto!

Ale on nie wiele słuchał.

— Ny, niwroku, niwroku! — mówił jakoś tak, jakby nagle dostał wielką oskomę.

— A pocoście mię wołali?

— Nie wiecie poco? Przecież to nasza »połujka«. Kupcie ją sobie.

— A!

Żyd krzyknął to tak radośnie, jakby na drodze całą setkę znalazł.

— Dobrze.

— Po ile dacie?

— Jak zwykle: dziesiątkę za beczkę.

— Ile macie próżnych beczek?

— Te na wozie wszystkie próżne — dwadzieścia. Moja jama dziś się wypróżniła; zabiłem ją.

— Dobrze. Gotujcie pieniądze. A my, chłopcy, do roboty.

Zaraz moi chłopcy rzucili się, rozebrali kawał parkanu, wtoczyli wóz z beczką, założyli wiadro i spuścili go w jamę.

Niedaleko spadało. Za chwilę wróciło nazad pełne. Zaraz my od Nuty przynieśli jeszcze trzy wiadra, przyczepili je na jeden wałek na dwóch linach i dalej czerpać. Za pół godziny beczka pełna — nazad z nią na grunt Nuty! Świeżą podawaj! Za pół godziny i ta pełna — nazad z nią! Świeżą dawać!

Pracowaliśmy tak do samego rana. Nuta nie siedział koło nas, tylko kasyer jego, odprawiwszy stróża, pozostał przez całą noc w koszarze. Jeszcze nie świtało, jak wszystkie dwadzieścia beczek były pełne. Wtenczas napowrót postawiliśmy parkan, ślady zagrzebli, w swojej koszarze zrobili porządek i dostawszy każdy po 25 złotych na rękę, a nadto dziesiątkę jeszcze na poczęstunek, położyliśmy się spać, jakby nigdy nic.

Ledwie spoczęliśmy chwilkę, nawet nie zdołaliśmy jeszcze zadrzemnąć, aż biegnie Jojna.

— Co słychać? — to były jego pierwsze słowa. I nie czekając odpowiedzi, wprost biegnie do jamy. Nie potrzebował nawet do niej zaglądać: korby, liny, cembryny, wszystko było czarne, mokre, kipiączką ociekłe.

— Iwane! Iwane! — krzyczał nie swoim głosem, szarpiąc mię za ramię.

— A co tam? — odburknąłem, niby przez sen.

— Ny, co się tu stało?

— Sami widzicie.

— Jest kipiączka?

— Jest.

— A dlaczego korba mokra? Dlaczego cembrowiny mokre?

— Bo wybuchła i wszystko oblała.

— Oj, oj! Wybuchła! Tak mocno wybuchła!

— Patrzcie, wszystkich nas oblała.

— Was wszystkich? A to jak?

— Tak, że kiedy w jamie zaczęło syczeć i gwizdać, tośmy się wszyscy rzucili do jamy. W tej chwili buchnęła kipiączka i ochlapała nas.

— Ny, Iwanuniu, to nie może być! Wy mnie oszukujecie.

— Patrzcież na mnie, jak ja wyglądam!

Rzeczywiście wyglądałem, jak dyabeł. W nocy nie pomyśleliśmy o tem, a teraz trzeba się było wykręcać. Ale żyd, jak wczoraj był rozgorączkowany i nie swój, tak teraz, kiedy był pewny swego, uspokoił się, jakby go kto zimną wodą oblał.

— Ej, Iwanuniu, jakoś mi się wierzyć nie chce. Nie słyszałem jeszcze, aby kipiączka tak buchała.

— A ja słyszałem i widziałem własnemi oczami.

Tymczasem w koszarze robiło się coraz jaśniej i widać było

ślady świeżo porytej ziemi, zmieszanej z kipiączką i ślady kół, wiodące aż do parkanu Nuty. Jojna pożerał wzrokiem te ślady.

— Iwanuniu, a co to za ślady?

— Jakie ślady?

— Takie, jak gdyby wozy wjeżdżały i wyjeżdżały z koszary.

— Może jeszcze i końskie kopyta zobaczycie? Pewnie dyabeł czwórką zajeżdżał i majątek wam do jamy rzucił.

— Nie, Iwanuniu, bez żartu! Co to za ślady?

— To są ślady naszych taczek. Wczoraj wieczorem wywoziliśmy ił z koszary.

— Aha! Ale tu wszędzie kipiączką pokapane.

— Co wam się znów, Jojno, przewiduje? Czego wy się czepiacie? Nakapane, bo z jamy buchnęło i nakapało. Przecież nafty waszej nie kradliśmy. Bierzcie ją sobie! Macie jej pełną jamę.

— A możeście ukradli, Iwanuniu, co? Wiecie, ja was nie chcę podejrzywać, ale tak mi się zdaje, żeście jej już trochę czerpali?

— Aha! — krzyknęli ropnicy. — Teraz my was rozumiemy, Jojno! Zagadujecie tak, aby »połujki« nie dać.

— Pewnie, że nie dam! — krzyknął Jojna, aż podskakując ze złości. — Za co mam dawać? Samiście sobie wzięli. Nie daliście mi znać! Okradliście mię! Całą noc czerpaliście kipiączkę! Gwałtu! Złodzieje! Gwałtu, rozbójnicy! Co ja mam robić?

I począł krzyczeć, skakać po koszarze, jak obłąkany.

— Bądźcie cicho, Jojno, — mówimy do niego zwolna, ale ostro. — Bądźcie cicho, bo gorzej wam będzie. Czy macie choć jednego świadka?

— Ja znajdę!

— Jak znajdziecie, to wtedy mówcie. Do sądu nas podawajcie. A teraz bądźcie cicho! I zapłaćcie nam za robotę.

— Zapłacić? Za co ja wam mam płacić? Okradliście mię, zrabowali, i ja wam mam jeszcze płacić?!

Tego było nam za wiele. Widzę, że chłopcy moi zaciskają zęby, a to niedobry znak. Jak człowiek na czczo, a zęby zacina, to się go strzeżcie.

— Chłopcy! — mówię do nich. — Bądźcie spokojni. Jojna żartuje.

Ale Jojnie nie do żartów. Oczy jego, jak myszy, gonią śladami kół, z koszary do parkanu i napowrót. Wkońcu nie wytrzymał, skoczył z koszary, jak kot wdrapał się na parkan i spojrzał na drugą stronę.

— Aj, aj! A tu co! — krzyknął, chwycił się za pejsy i jak długi runął na ziem.

— Co tam takiego, Jojno?

— Ja zaraz lecę do Drohobycza! Daję znać do kryminału. Poszlę za żandarmami. To kradzież! To rabunek na gładkiej drodze! Toż tam jak na dłoni widać cały trakt, w którym moją kipiączkę wożono. Całe kałuże nakapane.

— Nie róbcie z siebie durnia, Jojno! Przecież byliście tu, jak Nuta wczora woził kipiączkę swoją, nie waszą. Pod samym parkanem pękła beczka. Widzieliście przecież i śmialiście się z tego. — Tak mówili Jojnie ropnicy. Ale Jojna nie przestawał jojkać i wajkotać.

— Słuchajcie, Jojno, — powiadam do niego, kiedy wszedł do koszary — nie szukajcie z nami piekła. Zapłaćcie nam za robotę, dajcie za »połujkę«, co się nam należy i rozejdziemy się w spokoju.

— Rozejdziemy się?

— No, tak, rozejdziemy się! — krzyknęli ropnicy. — Kiedyście nas bez przyczyny złodziejami zrobili, to my u was dłużej robić nie chcemy. Szukajcie sobie innych robotników.

— Owwa! I znajdę! — odkrzyknął Jojna.

Z ciężkim bólem serca wypłacił nam nasz zarobek, jeszcze

z pół godziny musieliśmy się z nim targować, zanimyśmy wydarli od niego tę »połujkę«, jak psu z zębów, i pożegnaliśmy się z nim.

— Bywajcie zdrowi, Jojno! Daj wam Boże, aby ta jama była taka szczodra dla was, jak wy dla nas! — krzyknął doń jeden na odchodnem.

— I żebyście nie doczekali nikomu więcej dać »połujki«! — poprawił drugi.

A Jojna wciąż jeszcze stał w koszarze, wajkotał cicho i z jakąś wystraszoną ciekawością wpatrywał się w niezupełnie zatarte ślady, wiodące od jego koszary do parkanu Nuty.

VI.

I czy nie śmiech? Jak mu zaklęli ropnicy, tak się i stało! Przez cały szabas myszkował Jojna, mruczał, cmokał, stękał, a wkońcu zebrał się i ruszył do rabina. Oskarżył Nutę. A ja u Nuty zgodziłem się do roboty, więc wszystko wiem od niego. Oskarżył Nutę, że Nuta go okradł, a Nuta nic sobie z tego nie robi. Śmieje się. Co mu rabin zrobi? On za naszą »połujkę« wziął czystych pięć setek, i co mu bieda zrobi?

Począł Jojna na ulicy czepiać się Nuty, począł rzucać się na niego bez opamiętania. Poznać było, że człowiek zwolna z rozumu wychodzi. A wciąż jedno plecie: Okradli mię! obrabowali mię!

Ale i jama, w której pokazała się kipiączka, narobiła mu zbytku. Jojna najął nowych robotników, poczęli czerpać, naczerpali coś pięć beczek i koniec. Zakrył Jojna jamę, przeczekał dzień — pusto, przeczekał drugi — pusto. A u Nuty, chociaż jama płytsza, kipiączka płynie i płynie. Robiąc u Nuty, wiedziałem, jak Jojna chodzi koło swej koszary, rozkłada rękami, coś szepce, staje, i znowu biega, zagląda do jamy, sam nie wiedząc, co ze sobą począć. Nieraz, aż mię język swędzi, aby sobie podrwić z niego,

ale znowu robi mi się żal człeka. Naprawdę, skrzywdziliśmy go trochę. Ale kto wiedział, że jama tak prędko się wypróżni?

— Jojno! — powiadam raz do niego przez parkan. On aż drgnął, usłyszawszy mój głos, jakby go kto wystrzałem ze snu obudził.

— Nie bójcie się! To ja, Iwan.

— Ny, czego tobie trzeba?

— Posłuchaj mię, Jojno, — powiadam mu szczerze — porzućcie teraz tę jamę, a kopcie tamtą w dolinie.

Nie odpowiedział nic, ale mię posłuchał. Drugiego dnia robotnicy zabili tę nieszczęsną jamę, a wzieli się do drugiej. Pracowali koło niej przez kilka dni. Zdawało się, że Jojna uspokoił się trochę, tylko oczy jego błyszczały jakimś niedobrym ogniem. Idąc ulicą, nie poznawał nikogo.

Aż jednego dnia słyszymy krzyk koło jamy Jojny. Ropnicy porzucili robotę i zwołują Jojnę. A on właśnie siedział, a może drzemał w tej samej koszarze, w której my sobie robili »połujkę«.

— Gospodarzu! Gospodarzu! — krzyczą ropnicy z dołu. — A chodźcie ino tu co prędzej!

Było właśnie południe. Spoczywaliśmy, w jamie nie było nikogo, więc usłyszawszy krzyk, wybiegliśmy z koszary.

— Oho! — powiadam — u Jojny dziś »połujka« będzie!

Właśnie w tej chwili wybiegł Jojna z koszary i widocznie usłyszał moje słowa, bo biegnąc, krzyknął do nas:

— Aha, dyabła zjesz, nie »połujkę«!

Zachichotaliśmy, wyleźli na parkan i patrzymy, co będzie. A Jojna jeszcze do jamy nie dobiegł, a już krzyczy:

— A co, jest kipiączka?

— Jest.

— A nie bucha?

— Nie.

— A wiele?

— Już jest pół jamy.

I na pół żartem, a na pół z radością, jeden dorzucił:

— Ale to »połujka« będzie!

Jojna w tej chwili, jakby się wściekł. Rzucił się do tego ropnika i uderzył go w twarz.

— Oto masz »połujkę«! A draby! A rozbójniki! I wy mnie chcecie okradać? Nie dam! Nie dam! Nic nie dam!

I w szalonej zapamiętałości przypadł do jamy i, rozpostarłszy ręce, nakrył sobą źródło swego majątku. Gardło jamy było dosyć wązkie. Oparłszy się kolanami o jedną cembrowinę i chwyciwszy rozkrzyżowanemi rękami obie boczne, zasłaniał sobą jamę, jakby mu ją chciał kto odebrać, i wciąż krzyczał:

— Nie dam! Nic nie dam! Gwałt! Ratujcie! Rozbójniki!

Poczęli zbiegać się ludzie ze wszystkich stron, a ujrzawszy Jojnę nad jamą i nie rozumiejąc, czego on chce, myśleli, że stało się jakie nieszczęście, że ktoś może wpadł do jamy, albo się udusił. We mnie aż serce zastygło.

— Chłopcy! — krzyknąłem do ropników, stojących dokoła jamy. — On zwaryował! Odciągnijcie go od jamy! Prędko!

— A niech go dyabeł weźmie! — burknął, nie ruszając się z miejsca, ten, co niewinnie dostał w twarz.

W tej chwili Jojna, oszołomiony od wyziewów, chwycił się oboma rękami za piersi, bo mu tchu brakowało, a straciwszy podporę — tylko mignął, pokiwał patynkami i jak kulka poleciał do jamy.

Kipiączka, która miała mu dać majątek, dała mu śmierć. A »połujki« swoim ropnikom również już nie dał.

WŁODZIMIERZ JAROSZ

SAMARYTANKA.

Umarła żydowi córka. Takiemu, wiecie, pejsaczowi, co to handluje mąką na naszem przedmieściu. Miał jeno dwie — i obie dawał do szkół rozmaitych. A kiedy wróciły, to opowiadała stara żydowica, że one i za nauczycielki mogą być — takie uczone...

Ładne były, można powiedzieć, i w samej rzeczy przystojne. Tej mi najbardziej żal, co umarła — choć powiadają ludzie, że to grzech żyda żałować.

Ale i ona mnie czasem pożałowała.

Przyciągnę, bywało, parę wozów mąki po takim mrozie, że ci gnat od gnata odłazi, to pójdę się zagrzać do kuchni. Nieboszczka... (Boże odpuść: jakże nieboszczka, kiedy to żyd), to ci mi pokryjomu przed starą żydówką wyniesła haraku.

— Napijcie się — powiada — boście pewnie zmarzli...

Nigdym nikogo na całym świecie nie obchodził... Co ją to miało boleć, że ja zmarzł?...

Raz stało mi się nieszczęście. Ściągam worki jedną ręką, a drugą-m se, wiecie, pomagając, sparł mocno na ręczycy. Ten hycel, syn blacharza z przeciwka, zachodzi koło wozu z tej i z tamtej strony... Powiadam mu po dobroci: Odejdź psi synu, bo jak cię dopadnę... A ten nic. Jeszcze mnie przezywa: — Woziwoda żydowski — powiada. Co mi ten huncfot zdrowia zje... Aż porywa

za dyszel i skręcił. Złapało mi rękę między koło i ręczycę — i z trzech palców het zdarło mi skórę do znaku.

Lecę ja do kuchni, a ona się akurat nawinęła. Niech jej ta Bóg grzechy odpuści... choć to żydówka. Opatrzyła mi palce, owiązała starannie, pomalutku...

— Bardzo was boli? — pyta się mnie i widzę na jej twarzy troskę rzetelną.

Poco ona się pytała — powiedźcie... Czy ją to bolało? Nikt nigdy na calutkim świecie nie pytał się, czy mnie co boli...

Aż raz zasłabła. Nie wiem, co jej się takiego stało, dość, że zasłabła. Leżała jeno bez cztery dni — dochtorów, to żyd sprowadzał, jakich jeno świat miał — nic nie pomogło. Śmierci nie przekupi, moiściewy, choćby jej worek pieniędzy nasypał. Nic nie pomoże.

Wracam z mąką i słyszę od przekupki, że już po niej.

Coś mnie ukłuło w samo serce, jakby kto szpilką dźgnął. Zajeżdżam bliżej, a tu krzyk. Żyd prawie od rozumu odchodzi, garściami wyrywa se pejsy. Matkę zemgliło do cna, nawet już nie krzyczy. Ja stoję z biczyskiem w ręku — patrzę na to wszystko, i czegoś mi żal... Czegoś mi, wiecie, okrutnie żal...

Ludzi się nazlatywało moc — słyszę, gadają o niej dookoła, ale nikto nie żałuje.

— Umarła — mówią między sobą. — Jednego żyda mniej.

— A dyabli z radości tańcują...

Dyć prawda, co powiadają — żyd pono nie pójdzie do nieba. A przecie ona się mnie pytała...

— Nie żałujcie parszywki, Mikołaju. Każden żyd jednaki złodziej.

— Dużo wam ukradła?...

Maciejowa narobiła krzyku. Sponiewierała mi przy ludziach familią, ale niech tam... Sekutnica baba i tyle, wszyscy wiedzą, że trzech mężów do grobu wegnała.

Zaraz na drugi dzień kazali dziewczynę pochować, że to umarła na tyfus. Trumnę rzucili na wóz, jak nieprzymierzając z jakiem niechrzczonem stworzeniem — i powieźli. Stary ojciec szedł w ciżbie, jakby sam umarły, a matka to już i nie szła — nie godna była iść.

I ja się, wiecie, pomiędzy ciżbę wplątał — poco, naco — i polazł, choć to powiadają grzech... Ale niech ta, już bardziej nie zgrzeszę. Chłopczyska gonią za wozem... blacharzów syn też, i drą się na całe gardło:

— Dyabli żyda wzięli!...

A mnie, jakby kto po pysku bił, taki za nich wstyd jakiś... Jakby i ja był co winien...

Ludzie wyzierają z okien, wychodzą przed sienie. Wyjrzał i blacharz z przeciwka, patrzy na syna i śmieje się po cichu.

A mnie wstyd pali, nie wiem już za kogo... Jakby ja sam był winien... sam...

Może i źle robię, myślę, że idę na pogrzeb... żydówki. Bo przecie nią była. Darmo — każdy wie o tem.

Ale ona się wtedy pytała, czy mnie boli... a nikt nigdy na calutkim świecie nie pytał się mnie o to...

Ona jedyna.

DZIADOWSKIE ZALOTY.

Na Sobotowem obejściu, koło chlewka, stała Magda i pilnowała prosiąt, żeby się nie pogryzły przy jedzeniu, albo nie wywróciły cebrzyka z parzoną sieczką.

Paciuki mlaskały pyskami, rozkoszując się obiadem i pomrukiwały zadowolone, a Magda stała przy nich, rozglądając się bezmyślnie wokoło. Czasem zwróciła uwagę na zachowanie się obiadujących, a wtedy wylatywały z jej ust słowa oburzenia:

— A idziesz, paskudo!...

I znowu mlaskanie i mruki. Czasem któryś z podświnków właził nogami do cebrzyka, jakby chciał objąć w posiadanie całą jego zawartość.

— Joj!... żebyś zczezł, ty napadzisty! — gniewała się Magda i wypychała kolanem łakomego podświnka z cebrzyka.

— Pochwalo-ony!...

Magda odwróciła się. Przed nią stał dziad, trochę łysy, trochę szpakowaty, o zdrowem, czerwonem obliczu i fioletowowym nosie. Tęga i przysadkowata jego postać opierała się jeno na jednej nodze. Drugą zastępowała kula, w którą miał wprawione kolano, zgięte jak do klęczenia — goleń zaś tej nogi w połowie ucięta, sterczała kikutem, owiniętym w niebieską, wojskową nogawicę. Na zgrzebnej bluzie wisiał medal, przez plecy przerzucony

worek, wypchany jałmużną, a w ręku potworna karakula, postrach psów okolicznych.

Magda spojrzała na dziada z widoczną niechęcią.

— Na wieki... — odpowiedziała, uderzając dłonią po grzbiecie jednego z prosiaków, który przez omyłkę ugryzł w ucho swego sąsiada.

Dziad, wsparty na kiju, milczał, wpatrując się w dziewkę. Ją zaczęła brać złość — od świń trudno odejść, a obecność dziada zdawała się sprawiać jej wielką przykrość. Pokazała mu plecy i burknęła:

— Do chałupy idźcie, do gazdyni... ja wam tu nie dam nijakiej jałmużny...

— Ii... co tam jałmużna!... Dobre słowo, to też jałmużna, a choć to niby tania rzecz je, to się go i tak nijak doczekać nie mogę...

Dziewka nie odzywała się, chyba do prosiąt. Dziad był zmieszany, jak pies, co podchodzi do sadła w obecności ludzi, którzy go wczoraj kijem odegnali. Bał się zbliżyć, bał się zagadać, choć oczy mu na wierzch wychodziły — tak strasznie łakomie patrzył na dziewkę, takiemi gorącemi iskrami obsypywał stojącą przed nim postać tęgiej i krwistej Magdy.

Czy ona ładniejsza od innych?... Matko Boska Poczajowska broń!... Za dawnych żołnierskich czasów tyle inszych widział i to jeszcze jakich!... Zawziął się na nią dlatego, że biedna, że służy i że łatwiej da namówić się wyjść za niego. Żeby była już nie kucharką u Soboty, ale nawet córką nie wiedzieć czyją, nie wiedzieć jaką bogaczką — takiby mu się zawsze najwięcej na żonę udała. Bo ona ma już w sobie coś takiego, co mu się w niej strasznie podoba. Dziewka jest leń koronny, każdy wie o tem. Świat niech się zawali, ona się nie ruszy — ale właśnie to lenistwo podoba się dziadowi okrutnie. Na taką niechluję, jak ona, nie po-

patrzałby nikt, ale właśnie dlatego niechlujstwa — dziw doprawdy — tak bardzo dziadowi do serca przypadła. I kiedy, odwrócona od niego, stoi ciężko, ospale, chwiejąc się bezwładnie w swych szerokich biodrach, brudna, obtargana, z nogami do kolan gnojem umazanemi — to dziad patrzy na nią, jak na jaki obrazek ze swej książki do modlenia, co ją zawdy ze sobą nosi.

Zaczął nieśmiało.

— No i jakże tam... chcesz wyjść za mnie?... ha?... Powiadam ci dziewczyno: wyjdź za mnie. Będziesz miała święte życie. Nic ci nie każę robić — nic a nic... Będziesz se spała choćby do południa, będziesz se robiła, co ci się żywnie spodoba... Ja ci wszystkiego naznoszę do chałupy — ptasiego mleka ci chyba zbraknie... Ino wyjdź za mnie...

Zmieszanie znikało z jego twarzy — jednem skrobnięciem kuli po zagnojonej ziemi zbliżył się do dziewki i, nachylony nad nią, mówił, prosząc dyszącym namiętnością głosem.

Dziewka nadąsana, nie odpowiadała. Stała plecami do niego zwrócona, zachmurzona, pastwiąc się nad prosiakami, gdy który z nich co zrobił. Ale słowa dziada wpadały w jej duszę i nie tonęły w niej bez śladu.

Biedna znajda tuła się po świecie, nie wie nawet, ile lat. Po służbach, po zarobkach tera się i niema nadziei, żeby się kiedy to życie odmieniło. Ciężkie życie — rób i rób i rób — ciągle stają nad głową i krzyczą.

— Nierobo!...

— Leniu obmierzły!...

— Próżniaku! darmozjadzie!...

— Jakbyś ją o ścianę cisnął, toby się przylepiła...

Wszyscy śmieją się z jej roboty, z jej chodzenia, z jej brudu, z jej wyglądu. Wszystko, co ona zrobi — to złe, co powie — to głupie, ubierze się — to śmieszne. Gnają, popędzają, huczą,

przezywają, klną, a tu jeszcze do tego trza ciągle robić i robić. A najgorsze ranne wstawanie. Gospodyni zawsze wodą ją budzi — w zimie trza wyleść pociemku z pod ciepłych łachów i ogień w piecu rozpalać...

Wstrząsnęła się.

A ten tu maluje jej taki raj... Jak umyślnie, jak żeby wiedział, co jej dolega...

Porwała ją wielka złość na wszystkich ludzi. A że najbliżej niej był dziad, więc na niego wylała potoki gniewu i złości.

— Ta czego wy odemnie chcecie?!... Skarana godzina z tym dziadem... Gdzie nogą ruszysz, wszędy się za tobą przyszterlęka. Wstyd, hańba — gdzie oczy pokażę, śmieją się, że dziad do mnie na zaloty chodzi...

Rozpłakała się. Mazała brudną twarz, rozcierając jeszcze brudniejszymi, poopadanymi, grubymi palcami łzy, co gęsto płynęły z jej oczu. Siąkała nos z łoskotem i mówiła głosem przerywanym łkaniem:

— Czy to nie macie innych?... Czy to ja jedna, co ją znacie?... Odczepcie się raz odemnie, bo trza stąd uciec, czy co...

Dziad oburzył się.

— Cóż to ja, zawłoka jaki?... Albo to ja nie tutejszy?... Albo to ja złodziej?... Że mi nogę w wojnie oderznęli?... To ja się nie porywam tańcowac, a robić na gruncie i tak nie potrzebuję, bo go nie mam. Ale mnie sam cesarz w opiece ma i pensyę mi co miesiąc płaci. A czy ja dziad, czy nie dziad, to im powiem, że ja dziadem był, dziadem-em jest i z łaski boskiej do śmierci dziadem pozostanę — a te ludzie, co się śmieją ze mnie, to — jak Pan Jezus pozwoli — jeszcze dobrze pod płotem pozdychają.

Dziewka uspokoiła się. Cebrzyk był próżny. Chwytała prosiaki za uszy i za ogony i zapychała je do chlewa.

Nie odpowiadała dziadowi. Głupi, myśli, że nie jest dziadem. Stara szkarada...

Popatrzyła po boku na niego.

Choć znowu nie tak strasznie brzydki. Jeno te śmiechy ludzkie, ten wstyd... Hej, żeby nie to. Umiałaby wtedy życia używać!... Wyspałaby się za całe życie, wypoczęłaby za całe harowanie. Bo naprawdę, to i roboty w dziadowskiej chałupie musi nie być. Coby miała być? Ni gruntu, ni żadnej chudoby. Wylegiwałaby się jeno od rana do ciemnej nocy, ta nicby nie robiła.

Zatrzasnęła drzwi od chlewka i zakręciła je kołowrotkiem. A dziad prosił i namawiał.

— Myślisz, że dziadowski chleb, to taki zły?... Oho! Szukaj gazdy we wsi, coby tak jadł, jak ja jem, coby tak nie frasował się niczem, jak ja się nie frasuję... Albo mi to siano gnije? Albo mi to zboże myszy tną?... Albo to ze mnie podatek ściągają? Pensyę człowiek ma, między dobrych ludzi lezie, chleb zbiera, grajcarki zbiera, i mięsa czasem kupi, i gorzałki się napiję... Ino wyjdź za mnie dziewczyno, ino wyjdź za mnie!...

Szła powoli ku chałupie, dziad skrobał za nią kulą po gnoju.

— No i jakże... ha?...

Magda stanęła na środku obejścia bokiem do dziada.

— Poczekajcie jeszcze ze dwie niedziele...

SĄSIAD.

(URYWEK Z POWIEŚCI).

Bezksiężycowa, jałowa, jesienna noc, głucha jak grób, a pełna strasznych nieuchwytnych głosów, śmiertelnie nieruchoma, a rojąca się od tworów szalejącej trwogą wyobraźni, ciemna aż do czarności, a rzeźbiąca każdy kształt w rozmiarach, jakie człowiek widuje chyba w niezdrowych snach lub gorączce.

Białym gościńcem szedł kowal, ciągnąc w ślad za swojemi piętami uparte, a przeraźliwie głośne echo własnych kroków. Szedł wartko i od czasu do czasu rozglądał się po okolicy, miarkując przebytą drogę.

— Jeszcze z półtorej godziny... Jeszcze ze dwie... Jeszcze ze siedm kwadransów... — mówił do siebie, przyspieszając kroku.

Mijał wsie, świecące oknami, jak kociemi oczyma, mijał samotne przydrożne karczmy, przerzynał się przez przykre pustki pól, zanurzał się w las, to znowu z niego wypadał, razem z gościńcem staczał się w dół i piął się pod górę.

Wreszcie na niebieskawo szarzejącem tle lasu, co obsiadł górę o kształcie olbrzymiej kopicy, na kilkaset kroków przed nim zamajaczył czarny mur drzew, poszczerbiony nierówno wybujałymi wierzchołkami.

— Olszyny — mruknął z pewnem zadowoleniem.

Był tak jak w domu. Las, za lasem Przysieki, potem przez górę — i koniec drogi.

Szedł sobie dumający i myślami tonął w przeszłości, co go widziała tułaczem po dalekich ziemiach. Kto wie, czy za parę tygodni nie będzie musiał tam wracać...

Dlaczego nie... Z chęcią wybrałby się w taką podróż, ale tylko w podróż. W niedługą, bardzo przyjemną podróż po krajach, które dzięki olbrzymim wysiłkom umysłu ludzkiego stanęły na szczycie współczesnej kultury. Zwiedziłby miejsca, kędy przebywał, obaczyłby ludzi, z którymi przeżył tyle lat, a po których ostało tyle wspomnień.

Master Black... Przypomniał sobie olbrzymią, jak las, halę fabryczną o szklanych ścianach zasadzoną żelaznymi słupami — i postać starego werkmistrza, drepczącego po niej we wszelkich kierunkach. Dobry, serdeczny człowiek... Ile wolnego czasu spędził w jego domu — ile zawziętych dysput stoczyli ze sobą — ile przyjemnych chwil znalazł tułacz w gronie rodziny, w której nie brakowało i ładnej, po całodziennem zajęciu w kantorze, nad fortepianem wzdychającej *miss*...

Łomot maszyn, huk młotów, furkot rzemieni — wszystkie jęki rodzącej pracy... On stoi nad tokarnią i stalowem dłutem sypie z żelaza cienkie, poskręcane wióry. Ręka silna, oko pewne — pracuje z powagą wielką, prawie z namaszczeniem. Ostatnie jego chwile tutaj — jutro wyjeżdża... Wraca do kraju, do chałupy — wraca z miłością dla ojczystej biedy, z doświadczeniem, z pieniądzmi, a nadewszystko z dużem, jak na nieuczonego w szkołach, wykształceniem. Tyle lat!... jak go też przywitają?...

Przy tokarni staje werkmistrz. — *Good-by master* (krząkanie i plucie zamiast nazwiska)... to pan koniecznie jedziesz?... — Koniecznie, *master* Black. — Szkoda... szkoda... A my tak pana... — Panie Black — zaczyna serdecznie robotnik — Bóg mi świadkiem, jak mi żal... — Szkoda... szkoda... — powtarza ze smutkiem stary. — Ale przyjdź pan dziś...

Zapotoczny przetarł oczy.

— Roi mi się... idę i poprostu śpię... Jestem stanowczo przepracowany...

Rozglądnął się wokoło i z przyjemnością zobaczył, że Przysieki ma już za sobą. Przed nim wznosiło się nagie, dzikie pustkami ugorów, płaskie wzgórze, u którego stóp stała stara, brudna, zdawna złą sławą smucąca się karczma. Droga ocierała się o nią i, skręciwszy, wstępowała powoli, ale wytrwale pod górę, aż ginęła na grzbiecie, by lekką pochyłością spaść na drugą stronę.

Idąc środkiem gościńca, zbliżył się kowal do karczmy i minął jej węgły, kiedy nagle z poza nich, z pod odrapanych ścian budynku doleciał go szelest. Stanął i, natężywszy wzrok, dojrzał o jakie dziesięć kroków majaczącą, czarną, nieruchomą postać.

— Kto to?!... — spytał odruchowo, czując, że zbiera go instynktowny lęk przed tem tajemniczem i nieznanem c z e m ś.

Żadnej odpowiedzi — w śmiertelnej ciszy, jaka padła po tych słowach, usłyszał tylko swój oddech i przyspieszone bicie serca.

Zapanował jednak natychmiast nad wyobraźnią i uśmiechnął się.

— Boję się?... Głupstwo... Trzeba zobaczyć, co to takiego...

Mimowoli ujął sęk mocniej i wolnym, ale pewnym krokiem puścił się naprzód.

— Człowiek... rusza się... idzie ku mnie... — robił prędkie spostrzeżenia, zbliżając się do nieznajomego.

— Kudłacz?... tu, o tym czasie?... — krzyknął w myśli, stając przed dworskim kowalem.

A ten stał, jakby zmieszany, z prawą ręką w kieszeni osmolonego surduta i bąkał niewyraźnie słowa przywitania. Zapotoczny obrzucał go bacznem spojrzeniem i mówił spokojnie.

— Moglibyście człowieka przestraszyć...

— At — usprawiedliwiał się brodacz — siedziało się w karczmie, a że co ino zamkli, tom wyszedł.

Karczma zamknięta co najmniej od godziny... — przemknęło Zapotocznemu przez głowę.

Na pozór był jednak spokojny, jeno oczyma śledził nieznacznie każdy ruch Kudłacza.

— Ano, to pójdziemy razem — powiedział obojętnie. — Dobrze, żem was spotkał, taka nieprzyjemna droga... — mówił, wskazując głową przed siebie.

Kudłacz milczał.

— Strachy furda... ale gorszy zły człowiek — ciągnął dalej kowal, patrząc na towarzysza. — A miejsce w sam raz dla rozbojów... podobno za dawnych lat nieraz tą drogą krew spływała...

Kudłacz odmruknął coś, nie otwierając ust.

Zapotoczny ziewnął.

— Ale co tam gadać o takich rzeczach... Lepiej powiedźcie, jak się wam wiedzie.

— Oho!... Dwu kowali na jedną wieś... Jeden niema dobrze co robić, a dopiero... Czysty śmiech... — dudnił brodacz, wpadając w rozdrażnienie.

Zapotoczny roześmiał się.

— To pocoście się godzili?...

— Ba! żebym to był wiedział, jak jest... żebym wiedział, żeście taki...

— Jaki?... — roześmiał się znów kowal.

— Taki! — uciął krótko brodacz i, wyrwawszy pięść z kieszeni, runął na niego.

Z szybkością czujnej powieki odskoczył Zapotoczny, zasłaniając się ręką, a sękiem gruchnął w łeb napastnika.

— U-a!... — padł z ust brodacza krzyk równocześnie z tępym odgłosem uderzenia i z gwizdem powietrza rozdartego błyskawicznym ciosem. Ugodzony podniósł ręce ku głowie, upuszczając

żelazo, które z dźwiękiem upadło na ziemię, i zwaliwszy się z nóg, siadł i legł potem zaraz jak długi.

A nad nim stał Zapotoczny ze skrzepłym uśmiechem na zmienionej twarzy i ze wzruszenia dygotał jak w febrze.

— Bydlę... — rzekł po chwili groźno, patrząc na leżącego.

Na lewej ręce uczuł strugę ciepła. Podwinął rozharatany żelazem rękaw i ujrzał broczącą ranę, wydartą w skórze na długość jakiego cala. Przemocą odzyskując straconą zimną krew, drżącemi jeszcze rękami, wyciągnął chustkę z kieszeni, przy pomocy zębów przewinął ranę i zaraz o niej zapomniał.

— A teraz kochany sąsiad... — rzekł głośno, poddając się jakiejś litośnej pogardzie, co go zbierała na widok moralnej nędzy człowieka.

Schylił się nad brodaczem i, ściągnąwszy mu czapkę z głowy, zaczął go oglądać.

Czerep cały — gruby, wełniany kaszkiet osłabił cios, zresztą sęk był wyschnięty, więc lekki. Poszukał pulsu — bije.

— Hej, przyjacielu!... — mówił, targając Kudłacza za odzież — myślisz tu nocować?...

Kudłacz zastękał i siadł, wspierając się na rękach.

— Możesz iść?... — zapytał Zapotoczny.

— Oj... ciężko... — stęknął Kudłacz — bardzoście mnie ukrzywdzili...

— Bydlę... — warknął Zapotoczny, ale się pohamował.

— Ja... ja was nie chciał...

Zapotocznego zdumiała taka bezczelność — roześmiał się.

— Ale gdzież... broń Boże... skądże znowu...

Przypomniał sobie żelazo leżące na ziemi i podjął je. Był to gruby, trójgraniasty pilnik, zakończony jadowicie ostro, a nadający się do przewiercenia nietylko człowieka, ba nawet najtęższego wołu.

— Widzicie... Będę miał po was ładną pamiątkę... No, jazda, wstawajcie!...

— Na rany... — jęknął Kudłacz — nie wydawajcie mnie... miejcie zmiłowanie... Ja już nigdy...

— No, pewnie, że wy już nigdy... Ale na to trzeba było dopiero dostać sękiem po łbie... Ale co tam. Zajdziecie sami do domu?...

— Zajdę, zajdę...

— No, to ładnie. A na przyszłość uważajcie, że za taką omyłkę można zadyndać na szubienicy. Rozumiecie?... — kończył, zabierając się do odejścia.

— A pilnik... — jęknął żebrząco Kudłacz.

Wobec tego bezgranicznego spodlenia się człowieczej godności, Zapotoczny stanął jak wryty. Zdjął go ohydny wstyd, pogarda i obrzydzenie.

— Prawda, pilnik... — wymówił po chwili spokojnym głosem — prawda... dlaczego wy macie tracić na tym interesie...

Wzdrygnął się, rzucił żelazo na ziemię i prędko odszedł, tonąc w cieniach nocy.

— — — — — — — — — —

Zasunąwszy drzwi za sobą, które mu otworzyła żona, rozebrał się kowal w milczeniu i legł na pościeli z głową pełną myśli. Zamknął oczy, chcąc się zmusić do spania — napróżno. Mózg jego odtwarzał wiernie całą przygodę i wywoływał dreszcze wzruszenia wspomnieniem strasznej chwili. Czy dobrze zrobił puszczając Kudłacza?...

Dochodził do przekonania, że nie... i brał go coraz większy gniew na samego siebie.

— Trzydzieści lat człowiek żyje na świecie, a jednej mądrej rzeczy nie zrobił... — sapnął, przewracając się na drugi bok.

Postanowił nie myśleć o niczem i starać się zasnąć, ale zobaczył, że to niepodobna. Czuł, jak świadomość jego zamiast

pogrążać się w bezwładności, staje się coraz ostrzejszą, coraz więcej przeczuloną. Tętna na skroni łomotały tak o poduszkę, że mu raniły ucho — jego kowalskie ucho, przywykłe do huku młota!... Słyszał szelest koszuli, podnoszonej uderzeniami serca — kiedy się ruszył, płótno wydawało taki przeraźliwy krzyk, że trwożnie wpatrywał się w ciemność, jakby chciał zobaczyć, czy nie pobudził śpiących. Zawinął głowę w poduszkę, chcąc uciec przed ścigającymi go głosami, i słyszał dalej swój spotworniały do sapania lokomotywy oddech i zawzięty hałas pulsów bijących o skronie. Wtedy siadał na łóżku, ażeby przeczekać zbytni napływ krwi do głowy i potem legał, by się za chwilę znów podnieść.

— Dlaczego ja tego łotra z rąk puścił... — rzucał się po łóżku.

— Gotowy podpalić...

Zdrętwiał. Poprzez szmer oddechów uchwycił coś, jakby krok bardzo ostrożnie stąpającego człowieka. Ktoś chodził poza ścianą...

Kto?... Poco?...

Przez ciało kowala przebiegły mrówki dreszczu. Ścigał uchem ruchy niewidzialnego z taką namiętną pilnością, jakby od tej kontroli zależało unieszkodliwienie wroga. Nie miał czasu zadrżeć na myśl, że jakieś poruszenie za ścianą może ujść jego uwagi.

Cicho...

— Może go już niema...

Odetchnął z ulgą.

— Zdawało mi się... — mruknął, wstając z łóżka i podchodząc do okna.

— Dnieje... cała noc stracona... — zrzędził, zły na wszystko, wpatrując się w ścianę stajni, na którą mniemany brzask kładł jakieś dziwne kolory...

— Gore!... — ryknął nagle nieludzkim głosem.

OLGA KOBYLAŃSKA

BITWA.

Bukowińskie Karpaty.

Wierch przy wierchu stoi w niemej wielkości, a wszystkie odziane w smerekowe lasy.

Rozmaicie ukształtowane, pędzą one w niebo — a stoją nieruchomo tysiące lat; drwią sobie z każdej zmiany zachodzącej przed ich oczyma, rozkoszują się własną pięknością, świadome swej wiecznej trwałości.

Wiele pasm Kimpolungskiego powiatu jest jeszcze pokrytych odwiecznym lasem. Ciemno-niebieską zielenią migocą z daleka, a kiedy popatrzysz na nie z sąsiednich szczytów, zda ci się, że nie dotrzesz do nich, spowitych w srebrnawo-sine mgły.

W okolicy Ruskiej Mołdawicy zeszły się tak blizko dwa równoległe pasma, że dolina, co je rozdzieliła, mogła być wygodnem miejscem pohulanki chyba dla buńczucznego potoku. Gdzie się ta dolina rozszerzała, czy zwężała, gdzie był jej początek, nikt dokładnie nie wiedział. Nie było tu widać drogi, ni ścieżki żadnej, nie było żadnego śladu ludzkiej obecności. Rozpierając góry, ciągnęła się zakrętami, a obrzeżona z obu stron zalesionymi wierchami, gubiła się razem z hucznie lecącym potokiem między ścianami gór, co jakby na przekór jej w niektórych miejscach prawie się dotykały.

Panowała tu wszędy tajemnicza cisza. W przyrodzie całej królowała rozkosz, w barwach przeróżnej roślinności — piękno, a w górze takie bogactwo zieleni, że człowiek czuł się prawie przygnębionym.

Zielonawo-brunatny wysoki do kolan mech, nigdy nie tykany, bujał w łagodnych falach po wilgotnawej ziemi odwiecznego lasu. Z niego wyrastały niezbyt gęsto sosny, których wiek można było zgadnąć, ale trudno odmalować ich piękność i rozmiary. Ich pyszne korony pieściły się z obłokami, a nad sobą znosiły chyba jedynie promienie słońca.

Na ziemi zrzadka leżały drzewa-olbrzymy, podryte i zwalczone wiekiem, albo rażone piorunem. Spoczywały w trawie, obrosłe po wierzchu mchem, puste i spróchniałe wewnątrz. Przy nich bujała młoda drzewina o szerokich gałęziach u dołu, a w górze strzelista, pełna młodzieńczej gibkości. Czasami słychać głosy ptaków.

Częściej za to tę prawie kościelną ciszę przerzynał szelest i trzask, jakby obłamywanie się suchych gałęzi i smutny, daleko rozlegający się szum. Rzadko kiedy wiatr rozchwiewał gałęzie. Ledwie przy najsilniejszym wietrze kłaniały się korony.

Zdawało się, że szum przychodził gdzieś z dalekich przestrzeni, plątał się w gałęziach, ciężkim oddechem rozchodził się po lesie i bił się z gąszczem drzew o wydostanie się na wolność.

— — — — — — — — — —

Kiedy gwizd lokomotywy przeciął po raz pierwszy ciszę doliny, wsuniętej między górskie ściany, przeszło coś przez stuletnie drzewa, jakby błyskawica.

Z lokomotywą zjawiła się garść ludzi. Ledwie się odważyli przestąpić niedostępny skraj odwiecznego lasu i sięgnąć w jego wnętrze.

Tu było niezwyczajnie.

Wszędzie martwa cisza — powietrze chłodne, wilgotne.

Żywica, wyciekająca z popękanej kory drzew, twardniała na powietrzu i przesycała je swoim zapachem. Wysoki mech przeszkadzał w chodzie. Twarde korzenie drzew, grube jak ramiona, wypełzały niby węże z mchu, a splecione ze sobą wlekły się potwornymi pierścieniami w głąb wrogo dyszącego i spowitego w zieloną ciemność lasu.

Jeden z przybyłych uderzył żelaznym toporem w stary smrek, na którego pniu rosły grzyby, jak wielkie jaskółcze gniazda.

Smrek wzdrygnął się. Odkąd pamięta, nie czuł na sobie topora. Cios poszedł po całym lesie — wszystkie drzewa wstrzymały oddech — rozległa się głucha, pełna oczekiwania cisza, i padło wolno, wyraźnie wymówione słowo: »rąbać!«

Jak po kościele przebiegło po lesie: »rąbać!«, »rąbać!« zadzwoniło tuż obok i zarazem w tej samej chwili w najdalszej odległości. Odzywało się jakby obudzonym ze snu krzykiem, ożywiło cały las i rozbiegło się trwożnie po wszystkich jego kątach, nie zamierając.

»Rąbać!« przeszło w szemrania. Z tego wszczął się strwożony szept, westchnienia, wreszcie powstał szum, jak przed wiatrem, napełnił sobą przestworze, że aż lęk brał, zbił się pod chmurami, aż wkońcu warknęła burza.

Niebo zaszło groźną, czarną barwą i zaczęła się ona górska burza. Spadały grube krople deszczu.

Zrazu po jednej, i takie ciężkie, że pod ich uderzeniem liście się trzęsły z szelestem; potem częstsze — wreszcie całe ukośne potoki.

Błyskawice biły w smreki, rozkłuwały najdorodniejsze pnie, a piorun próbował rozsadzać góry. Z takim łoskotem i hukiem potrząsał niemi, jakby je chciał zmusić do wyjścia z ich śmiertelnego spokoju. Zdawało się, że po górach toczą się olbrzymie kule, wyrzucane od czasu do czasu przez złocisto-ogniowe błyskawice.

Wreszcie ucichło, ale bez przerwy padał deszcz z głośnym chlupotem.

— — — — — — — — — —

W lesie pociemniało.

Nieruchomo, wstrzymując oddech, stały stare drzewa i przysłuchiwały się temu zjawisku, a tymczasem młode nieustannie kołysały się zlekka. Z krzaków, rosnących na kraju lasu, kapały na wyścigi wielkie krople deszczu, a w dolinie rozszalały potok parł naprzód swoje brudne, niesforne fale po kamieńcu, pienił się głośno, porywając ze sobą wszystko, co po drodze: kwiaty, suche gałęzie, pnie, darnie wyrwanej ziemi i pędził w niepohamowanej, wściekłej, zapamiętałej rozpaczy.

— — — — — — — — — —

Pewnego chmurnego poranku zaczęła się bitwa.

W wązką dolinę — umyślnie zbudowaną żelazną drogą, której szyny wiły się, jak srebrne żmije, wzdłuż biegnącego tuż koło nich potoku — wszedł ciężarowy pociąg.

Wrogi syk, przeszywający, przenikliwy gwizd obwieścił przybycie pociągu.

Przy końcu żelaznej drogi stanął, sapiąc i wyrzucając groźnie czarne pierścienie dymu.

Przywiózł wroga, który wysiadł.

O grubem obliczu, w podartej, brudnej odzieży, z niezgrabnemi, prawie zbezkształtniałemi rękami, uzbrojony w połyskujące topory, i ciężkie żelazne łańcuchy — taki wróg, wstrętny już na sam pozór widokiem swoim, przybył.

Orzeł, co niedaleko na stromej skale siedział i, nastroszywszy pierze, przypatrywał się wszystkiemu, zatrzepotał nagle szeroko skrzydłami, uderzył niemi gwałtownie i gniewnie — i wzbił się

w górę. Długo, jakby tknięty trwogą, krążył nad okolicą, a potem jak na nagłe wewnętrzne postanowienie, spuścił się ukośnie w dolinę. Tu zatrzymał się chwilę — wreszcie podjął się w górę na nowo, teraz już całkiem powolnym lotem, i zginął w siwych chmurach, jakby przepadł na wieki... Po górach niewypowiedziany smutek rozścielił jakiś przedśmiertny nastrój...

Wszystko czekało — drzewa ani drgnęły. Zbrojne w hardość i niedostępność, stały najstarsze i nie wierzyły w możliwość napadu. Tyle tu lat już stały — całe stulecia. Widziały, jak wiele z nich umierało i wyrastało, przeżyły niejedną wiosnę i niejedną zimę — oglądały tyle razy wschód i zachód słońca, przewspaniałego słońca, siejącego złotem, w którego płomiennem świetle kąpały się co rano, a które je błogosławiło co wieczór — oparły się niejednej wichurze... i teraz miałyby uledz innej śmierci, niż ich przodki, zwalone wiekiem, albo piorunami?

Śmieszne!...

Nie chciały sobą poruszyć — nawet najlżejszym szumem nie chciały okazać zwego zdziwienia. Jeno te młode... Żeby się jeno te młode tak łatwo nie chwiały!

Rozpoczął się napad.

Z dzikiem »hura!« rzucili się najemnicy. Z kocią zręcznością wdarli się na pierwszą górę, prześcigając się wzajem, jakby to było bohaterstwem na całe życie przyłożyć pierwszemu topór do pra-lasu. Ale natrafili na opór niełatwy do zmożenia. Zdradziecki, brunatno-zielony mech poddawał się ich grabieżnym rękom — ześlizgiwali się na dół. Krzemienista ziemia kruszyła się pod ich nogami, krwawili sobie ręce, czepiając się czegokolwiek, byle nie runąć na głowę. Z wilgotnego, wyrywanego z korzeniami mchu wyłaziło unikające światła, ohydne robactwo i rozbiegało się im po rękach i ciele.

Kiedy, pełni ochoty do walki, rzucili się na jakieś spróchniałe

drzewo, leżące na ziemi, aby je strącić w bezdeń, i kiedy się im udało ledwie niem zakołysać — wypełzły z pod pnia spłoszone gady i rozsyczały się na nich. Paru, gorzej obutych, pokąsały.

Kłujące krzaki dzikiej róży o wybujałych, wielkich i łukowatych gałęziach, splecione z powojami, bluszczami, tarniną, stały przed nimi, jak ściany nie do przebicia. Bujna, jasno-zielona paproć rozrzuciła się wachlarzami w swojej rozkosznej krasie wszerz i wzdłuż, a jadowite, o czerwonej barwie grzyby wyłaniały się na świat i jaskrawością ściągały na siebie uwagę. Młode jedle stały tak gęsto, tak odpornie wyciągały od siebie gałęzie, że posuwanie się w las głębiej było prawie niemożliwe. Wszystko kłuło w twarz, rwało włosy, chwytało wroga za odzież.

Bezkształtne, dziwne, garbate pająki porozciągały od drzewa do drzewa sieci, które przykrym woalem kładły się na twarz, a zbudowane ze suchej, sosnowej cetyny mrowiska dźwigały się z ziemi gładkimi garbami — i noga zsuwała się po nich, jakby po szkle.

Ale wróg szedł przebojem naprzód.

Głęboko w lesie, gdzie się już ziemia płaszczyzną ścieliła, błysnęło z czarno-zielonego tła boru coś połyskliwego. Było ono obwiedzione rozłożystemi sosnami, obwieszonemi blado-siwym mchem, co w kiściach spuszczał się prawie do ziemi, dalej bujnemi, krągłolistnemi bagiennemi roślinami i trzciną.

To było morskie oko.

Jak obramowane przygniatającem bogactwem zieleni zwierciadło, leżało ono nieruchome, senne, o gładkiej, pogodnej powierzchni, bezdenne — niby wieczne zwierciadło niebios i zielonych drzew — nietknięty okiem ludzkiem zakątek, w którym królowało piękno.

Ukośnie nad niem, do połowy w wodzie, leżała sosna. Gdzieniegdzie obrosła mchem, służyła za kładkę dla lżejszego zwierza

i była miejscem, gdzie się wygrzewały w słońcu jaszczurki, zwinne i nadwodne pliszki.

— — — — — — — — — —

— Hura!

Las zadrżał.

— Tu zaczniemy!...

Rozległo się echo: za-cznie-my!

— Tu uderzyć!...

U-de-rzyć!... — rozszedł się przeszywający okrzyk strachu. W półświetle zabłysły topory, a po lesie przeszedł huk, jak nagłe uderzenie gromu.

Opodal zatrzepotało się lękliwie ptactwo i — po raz pierwszy odbiły się w nieruchomej powierzchni morskiego oka inne zjawiska, niż drzewa i sklepienie niebios.

— — — — — — — — — —

— Naprzód młode...

Zmierzono.

Te, które miały jednaki wzrost i które były jednako zdrowe i smigłe, ścięto i obdarto z zielonej odzieży. Obcięto je równo po obu końcach i wymoszczono niemi drogę, wiodącą między góry, przez wązką dolinę, tuż nad potokiem. Musiały pełnić służbę tam, gdzie nie można już było prowadzić żelaznej drogi.

Kładziono jeden pień przy drugim, gotując w ten sposób drogę reszcie trupów. Skrętami między dwoma pasmami gór ciągnęła się ona daleko — i smutek brał, kiedy się na nią patrzyło. Tą drogą miano potem przewozić wiekowe drzewa.

Kiedy pnie układano rzędem na ziemi, dostawały w głowę i stopy uderzenia siekierą, żeby do siebie równo przystawały. Ciekła z nich krew. Biegnący tuż zaraz potok wciskał się pod nie, obmywał je, i zabierał ich krew ze sobą. Miejscami, gdzie pro-

mienie słońca igrały z jego perłami, osiadała ta krew na kamieniach, barwiąc je ciemno-ponsowym kolorem...

— — — — — — — — — —

Długi czas minął, nim się najemnicy z tem wszystkiem uporali. Tymczasem prawie zdziczeli. Nigdy nie schodzili w doliny, nigdy prawie nie spotykali się z niewiastami. Namoczyli swoją odzież w dziegciu, a wybujałe włosy ich i brody nadawały im dziki wygląd.

Koleją otrzymywali co tydzień żywność i czego im trzeba było, a przed wichrami i zimnem chroniły ich koleby, splecione z obciętych sosnowych gałęzi, których było podostatkiem wokół.

Zdarta z drzew, przesiąkła żywicą kora, susząca się w słońcu, jak olbrzymie, brunatne zwitki papirusu, buchała wieczór na wierchach po obu stronach doliny płomieniem i chybotała czerwonymi, pożądliwymi językami... — znak życia najmitów.

Tak zabierali się oni do walki z olbrzymami...

Wreszcie przyszła kolej i na nie...

Noc przedtem... to była światłem przepojona noc... księżyc świecił wielkim, matowo-czerwonym kręgiem.

Tonące w ciszy, zrośniętej z ciemnością, góry, ze swoimi czarnymi, niezmierzonymi lasami, wyglądały jak ojczyzna wiecznego spokoju. Księżycowy blask przenizywał lekko sinawe, nocne mgły, oświecał okolicę i udzielał się wierzchołkiem drzew, wieńczącym najwyższe cyple gór. Drzewa mieniły się w tem świetle i jakby się w niem rozpływały...

Niektóre porozprzestrzeniały swoje ramiona szeroko, niby o coś błagając.

A inne...

Ile ich jeno było — a było tak wiele, że niktby nie przeliczył — wszystkie wznosiły czoła w górę i błagały o życie! Nawet

powietrze było pełne tego żądania. Ziało pragnieniem o »więcej«, a było jak oddech tysięcy istot, pożądających życia.

Sam zapach, idący z głębin lasu, przypominał upajającą rozkosz i przepiękną pełnię dojrzałości, a porywał za sobą żywioły, co dotąd tkwiły w skrytem oczekiwaniu, teraz zaś zdradzały pożądanie życia całą piersią, jakby jaką wstydliwą tajemnicę.

Paproć zagadała proroczym szelestem; główki przeczystych kwiatów rozwinęły się w wykończone korony. Strach, że mogłyby jutro umrzeć, wzbudził w nich żądzę pokazania się po raz ostatni w majestacie piękna. Jutro już może będą potłuczone, ich korony połamane i odarte z liści — jutro już może nikt nie będzie wiedział, że one były i że były piękne.

Las ożywił się świętojańczykami, błyszczącymi z ciemnozielonego tła, jak krople światła, a ćma koników rzempoliła i odpowiadała sobie bezustanku.

Piękne były te nocne głosy lasu! Subtelniejsze od muzyki; był to raczej jakiś szept, zlewający się z miękką ciemnością nocy — a wśród tego szeptu padały z listka na listek krople deszczu, co spadł jeszcze za słońca.

— — — — — — — — — —

Długi, ciężki czas — i padły stuletnie olbrzymy.

Pozabijane, leżały nieruchomo w pościeli własnej zieleni.

Pniaki, co po nich ostały, i grube pokaleczone, aż nad powierzchnię ziemi wybujałe korzenie, sterczały z mchu.

Całemi masami leżały po górach wielkoludy — wierchy były zasiane ich trupami na wsze strony. Leżały ukośnie, napoprzek do siebie i równolegle. Gęsto przy sobie, głowa przy głowie, grupami, albo jeden na drugim, albo jak który upadł.

Zdaleka ich widok czynił wrażenie skoszonego lasu.

Góry, prawie do naga odarte ze stroju, co zimą i latem był niezmienny przez całe stulecia — te góry, zhańbione, sterczały

teraz ku niebu i napróżno starały się ostatkami dawniejszej odzieży pokryć niekształtne swoje członki.

Zdradzone orły i osierocone jastrzębie latały smutnie, bez celu — tylko gdy orły po krótkiem bujaniu, siadały co chwila, jeżąc srogo pierze i czarne wrogo błyszczące oczy zwracały bystro w dolinę, to jastrzębie zataczały cicho i powoli koła nad poległymi.

— — — — — — — — — —

Kiedy poległych ściągano z wyżyn, to była walka na zabój. Wielu ludzi straciło przy tem życie — wielu stało się na zawsze niezdolnymi do pracy — inni leżeli przez długie dni ciężko pokaleczeni w dolinach.

Olbrzymy strącali!...

Takie, co stały na miejscu sto lat, których korzenie zaryły się w najgłębsze wnętrze góry i tam się splotły z korzeniami innych drzew na wieki... Takie strącać, a nie uszkodzić siebie, nie zniszczyć młodej drzewiny, nie zniszczyć wszystkiego dokoła...

Jak nigdy niestrudzone mrówki, wdzierali się ludzie w najniedostępniejsze miejsca, zbrojni w łańcuchy i w inny sprzęt żelazny.

Naprzód zciosywano korę.

Niemało im pracy zadała. Wrosła silnie w ciało drzewa i stwardniała tak, że topór odskakiwał od niej; dopiero po długiem rąbaniu rozpryskiwała się w trzaskach i padała na kupę zwalonych gałęzi, które oddzielone od ciała, były skazane na uschnięcie.

Następnie silne, pogardzające wszelkim niebezpieczeństwem i przeszkodami ręce, jęły staczać odwieczne drzewa. Z głuchymi, równocześnie wydawanymi okrzykami, co miały dodawać odwagi, a przypominały raczej krzyki dzikiego ptactwa, niż harmonijne ludzkie dźwięki, dokonywali najemnicy tej pracy, podczas gdy z ich czół lał się pot strugami, a z poranionych rąk krew ciekła. Przebywanie w samotności i zdziczenie napełniło ich szaloną od-

wagą, a nadzieja dobrej zapłaty zapalała w ich oczach błyski zwycięstwa.

Niedaleko podnóża ograbionych gór budowano naprędce mosty z grubych belek. Toczone ze szczytów wielkoludy spierały się na tych mostach, a strącane znów stąd przez najemników — padały z głuchym łoskotem jeden po drugim na równą ziemię.

Nie leżały tu jednak długo. Wielkie żelazne haki wbijano im w głowy — a do haków przyprzągnięte konie wlokły je powoli drogą, wyścieloną młodemi drzewami.

Po takich zapasach aż do północy migotał na górach czerwony ogień, a bohaterzy-rębacze zasiadali swobodnie wokoło, zapalali fajki i omawiali odporną siłę zwyciężonych.

— — — — — — — — — —

Na poległych czekał w dolinie umyślny pociąg. Składał się z kilkunastu wozów przyprzągniętych do lokomotywy, co dyszała pełna niecierpliwości.

Na każdy wóz ładowano cztery do sześciu pni i wiązano je grubym, jak ramię, łańcuchem. Wiązano tak ciasno, że żelazo wgryzało się w ich z kory odarte ciało, miejscami ciekła krew. Zbierano ją, zlepiano w grudy i, zapaliwszy, świecono nią przy przewozie podczas mrocznych jesiennych wieczorów.

Z tak skrępowanymi pniami pędził pociąg w niziny, przecinając od czasu do czasu powietrze przenikliwym gwizdem tryumfu.

Na ostatnim wozie siedział dozorca.

Zaciąwszy topór w pierś jednego, leżącego na wierzchu olbrzyma, siedział z założonemi na piersiach rękami i tępem spojrzeniem wodził dookoła.

Tak często jeździł tą drogą! Tak często kładł swój wzrok na wierchach gór, tak często śledził zakręty żelaznej drogi, że teraz, już zmęczony, znieczulił się w sobie.

— — — — — — — — — —

Kiedy po męcząco długiej podróży pociąg wjechał w przestronną dolinę, jadący mógł dostrzedz tu i ówdzie stojące chaty. Z początku były one porozrzucane po górach, potem zbiegały w nizinę, aż obstąpiły wiejską drogę, która złączyła się z żelazną i nie odłączała się już od niej. Chaty były maleńkie, pokryte deskami, a czasem przygniecione kamieniami — niektóre pobite gontem.

Przy jakimś szynku, co stanął przy drodze, zatrzymał maszynista pociąg.

Miał zabrać obcych i robotników, którzy nań czekali. Tu też pokazali się mieszkańcy chatek.

Hucułami zwali się sami.

Wielcy i silni, o szlachetnych rysach twarzy, w malowniczem odzieniu, siedzieli, albo leżeli swobodnie.

Było to święto — zebrali się na hulankę. Dwu z nich grało na skrzypcach kołomyjkę. Inny znów leżał, jak długi, na ławie i wzrokiem pełnym niewyraźnych marzeń patrzył przez okno kędyś w przestrzeń. Pozwalał się oglądać — jak pozwalali oglądać się wszyscy, nie okazując przytem, jak dzieci, żadnego zakłopotania. A nie ciekawiła ich ani obecność przejezdnych, co się zjawiali zaledwie raz w rok w ich okolicy, ani żadne inne zjawisko. Kiedy pociąg każdorazowym swoim przyjazdem poruszał ich wszystkich sąsiadów, oni ledwie oczy zwracali w tę stronę. Tak obce, tak dalekie było dla nich to zjawisko, tak mało mieli z niem wspólnego, jakby przyszli z innego świata, jakby ze wszystkiem wkoło tyle mieli się stykać, co z obłokami na niebie.

Więcej zaciekawiały ich drzewa, skute w żelazne pęta i jadące teraz w niziny. Tak swobodnie wzrastali i oni, tak harmonijnie, naturalnie w swojej piękności i swoich zwyczajach. Na hardych wierchach, w samotnych ustroniach wiedli swe życie bez panów i bez najmitów. Nieoświeceni tak, że brał podziw i żal

zarazem — nieprzystępni kulturze wskutek swej żywiołowości, patrzyli na jej zdobycze z dziecięcym uśmiechem na ustach.

Takie były te dzieci lasów, co za żadną cenę nie chciały przykładać rąk do strącenia olbrzymów z ich wysokości.

— Co wy za wiara? — pytali z nieufnością tych, którzy przybyli obliczyć korzyści bitwy.

A kiedy to mówili, marszczyli groźnie czoła i ściskali w rękach topory.

Znali się na orężu.

Kiedy po raz pierwszy zobaczyli pociąg, żegnali się i spluwali w bok. W »tem« była nieczysta siła, i oni nie chcieli mieć z nią nic do czynienia. Trzymali się zdaleka od całego przedsiębiorstwa i między mnogimi najmitami, biorącymi udział w bitwie, nie było ani jednego Hucuła.

— Ścinajcie sami, co Bóg stworzył, a nas ostawcie w spokoju — odpowiadali chmurnie, kiedy ich wołano na pomoc do rąbania drzew.

I ostawiono ich w spokoju. Ich światem był las i góry, i tutaj jeno dojrzewali oni w pełni. Jak przepyszne ponsowe kwiaty, migotali oni w pięknych, malowniczych strojach między zielenią drzew, albo pędzili na szybkich, gęstogrzywnych koniach, których hodowla należała do ich najmilszych zajęć.

Lasami szła łuna ich smutnych pieśni.

To byli do drzew podobni ludzie...

Kiedy pociąg znów ruszył i przyspieszając odchodził z miejsca, z ostatniego wozu można było widzieć przez otwarte drzwi i okna karczmy, jak w wielkiem kole tańczyli mężczyźni i niewiasty, pełni dzikiego zapału. Widok nie do zapomnienia — przelotny jak błyskawica i, jak ona, pełen jaskrawego światła.

Prosta muzyka dwu skrzypiec wprawiła ich w taki zapał. Hulali z niepohamowaną, rozbujałą ochotą. W tańcu powiewały

ich chustki i odzież, a oni w rozbestwionej, prawie dzikiej wesołości od czasu do czasu hulali. Zdawało się, że z tańcem ma ich porzucić ich wszystko szczęście, więc chcieli się niem na całe życie nacieszyć...

Przed chatą stali inni grupami, albo leżeli, kurząc krótkie fajki, rozciągnięci przy swoich osiodłanych koniach. Przed pociągiem mignęła jeno chata całem bogactwem barw i życia. Jakaś piękna niewiasta, wdowa zapewne, pędziła na młodym, półdzikim koniu. Za nią, w tak samo szalonym biegu galopował rój młodych parobków. Nie dała się dognać — zwróciła ku nim głowę i, zostawiwszy koniowi swobodę, zanosiła się od szczerego śmiechu.

— — — — — — — — — —

W nizinie kipiało głośne życie.

Huczał tu wielki parowy tartak.

Ceglane, czerwone kominy przeróżnej wielkości podniosły się z ziemi i wyrzucały czarne chmury dymu pod nieboskłon, a w samym fabrycznym budynku panował taki huk i gwizd i syk, że wszystkie inne głosy gubiły się całkiem.

W około fabryki, na składzie, leżały tysiące przygotowanych do transportu desek, ułożonych w wysokie sterty, rzuconych na krzyż, wązkich i szerokich. Moc nie pociętych pni czekało jeszcze śmierci. Tu leżały olbrzymy o obwodzie kilku metrów, prawdziwe cuda starości i piękna — i młode, gibkie jedlice. Prawie bez przerwy toczono świeże pnie do fabryki, żeby je znów wkrótce, porozcinane na cienkie deski, wyprawić na dwór. Pociąg przywoził coraz to nowe ofiary, a nigdy nie spoczywający Moloch przerabiał je w krótkim do podziwu czasie.

Teraz znów.

Odpięto lokomotywę od wozów, a one razem z niewolnikami potoczyły się same kawał naprzód, na miejsce składu. Tu uwolniono pnie z żelaznych pęt i wyładowano je.

Kiedy je toczono poprzed bramą fabryki, posłyszały rozmowę majstra tartakowego z jakimiś gośćmi.

— Lasy kupiła od religijnego funduszu firma O-ba. Tniemy już siedm lat i mamy jeszcze trzy lata przed sobą. Dziennie trze się siedmset pni.

Siedmset pni!...

Siedmset drzew niszczono dziennie, a każde z nich potrzebowało dziesiątek lat — setek lat nawet, aby się rozwinąć do takiej ot wspaniałej objętości! A tu leżały jeszcze góry pni, jeszcze tysiące i tysiące leżały tam, w domu, jeszcze i na wierchach gór, skąd postanowiono stoczyć je na ostatku — a masami znów leżały one wstrzymane na mostach u podnóża gór, a trzy razy dziennie przywoziła lokomotywa tutaj swoje ofiary! Dlatego to się tak kwapiono z niszczeniem ich, tak się drożono z każdą godziną!...

Przybyłe napiętnowano rozpalonem żelazem i zostawiono je, pozwalając rozejrzeć się wkoło.

Widziały, jak tacy sami najmici, jak ci nawpół zdziczali po górach, pracowali i tu w dolinach, jak ze skrzętnością mrówek kręcili się po fabryce i koło niej, na dworze — i jak oni pielęgnowali krzykliwego, żelaznego Molocha i prawie poświęcali się dla niego, byle mu niczego nie brakło.

— Tak, tak... — słyszały, jak między innemi opowiadał robotnik, nazywany »Oszczerca« — jak to obce antychrysty niszczą nasze pyszne lasy, majątek naszego kraju. Bóg raczy wiedzieć, ale ich panowie źle niemi gazdują i za to kiedyś odpowiedzą na tamtym świecie. Teraz podobno to wspaniałe drzewo ma iść aż za morze! I co ma nasz kraj z tego? Spytajcie się tych, co rządzą tymi majątkami, co żyją w rozkoszy, aż ich grzeszne cielska pękają — spytajcie się ich, co nasz kraj ma z tego? A po chwili jakiegoś srogiego milczenia mówił dalej: — Już i w drugą stronę stąd budują kolej; słyszę: lasy sprzedane dalej na nowych dzie-

sięć lat! Tak, już »jeno dziesięć lat«, a potem znowu na dziesięć lat i przepadł majątek naszego kraju!... Przeklęci ludzie... Czemu ja nie tnę raczej ich plugawych cielsk, jeno to ot niewinne drzewo? Czemu te wszystkie piekielne piece pod naszemi nogami nie pochłoną raczej ich dyabelskich ścierw?...

Mowę przerwał mu głośny policzek od majstra.

— Czemu nie patrzysz raczej twoich małpich łap, jeno plujesz pyskiem bzdury, nierobo?!

Odpowiedź ukaranego utonęła w oszołomiającym huku, bo nowo przytoczone pnie miały iść pod piłę. Jedne szły pod piły o dziesięciu nożach, inne o piętnastu, a inne znów, olbrzymy, pod dwudziesto-nożowe. Z sykiem rozdzierającym uszy, którym mających umrzeć wpierw oszołomiono, wżarły się piły w ich ciało. Z błyskawiczną szybkością przerzynały ostrokończyste zęby pyszne drzewo, z którego, niby krew, buchały trociny, obsypujące trupy i pokrywające pomost dookoła.

Kiedy się noże po raz ostatni przez pnie przesunęły, rozniósł się po fabryce ostry, przejmujący syk, a harde kiedyś olbrzymy rozpadły się wachlarzowato na cienkie, białe deski, i przestały istnieć na wieki.

Uzbrojeni w wielkie taczki robotnicy zjawiali się skwapliwie, by zaraz odchodzić.

Zmiatali trociny rozsypane po ziemi, wywozili je i wsypywali w paszcze pieców. Spełniali tę pracę bez przerwy, dzień po dniu. Inni znów wyciągali rozlatujące się z pod pił deski i z taką siłą rzucali je na skład, że te padając, zwijały się jak sprężyste stalowe listki. Inni znów podsuwali śmigłe jedle pod zgrzytające piły, co rozcinały drzewo w wąskie łaty, a jeszcze inni kuli i ostrzyli piły, siejąc wokoło siebie czerwone, migocące iskry.

I wokoło fabryki kręciły się roje robotników. Jedni wynosili deski z jej wnętrza, drudzy odbierali i podawali je dalej, inni skła-

dali jedne na drugie, znaczyli i rozdzielali na wązkie, szerokie... Wszędzie był ruch, hałas, nawoływania, ludzie przychodzili i odchodzili; gorączkowa z matematyczną dokładnością obliczona praca, kierowana strasznym oddechem kolosa-maszyny, od której biła spieka nie do wytrzymania.

Zdawało się, że wielkie, czarne, obwiedzione skórzanym pasem koła obracają się, nie wydając najmniejszego szmeru — a jednak powietrze było pełne ich huku, co wypełnił całą okolicę, aż kędyś do samych lasów...

Tylko w nocy panowała tu śmiertelna cisza. Jak strażnik, stał tu wysoko w górze czarny komin i chmurnie patrzył na cały wojenny tabor.

Tu leżała moc nagich, trupich pni, oświetlonych łagodnym blaskiem księżyca. Pasma desek, wyniesionych do hardej wysokości migotały srebrzyście, a kiedy na nie było patrzeć z boku, wyglądały jak linie.

Pnie — wszędy, gdzie się wzrok zatrzymał, leżały pnie, drzewo, deski i odpadki; a między tem wszystkiem kręciły się cicho olbrzymie psy, jak mary, ciągnące za sobą wielkie, niezgrabne cienie i węszące po wszystkich kątach. Stróżowały te psy od czasu, kiedy raz fabryka zgorzała, podpalona przez kogoś nieznanego.

Ale nikt się nie wkradał i nikt nie mącił spokoju poległych.

Półgłośne, miękkie szemranie górskiej, niedaleko z pod cienia lasu połyskującej rzeki, przenikało okolicę, a las, który obstąpił całą dolinę dokoła, był jak mur, z poza którego mógł się wynurzyć chyba jeden księżyc.

A księżyc zjawiał się nad nim co noc.

Blady, cichy i nieruchomy, był jakby znużony smutkiem i jakby mu ulgę sprawiało, kiedy swoje promienie rozpuszczał w sinawo-przeźroczych mgłach nocy, albo kiedy je kąpał tu i ówdzie w ciemnej głębi wód.

Smutny szmer rzeki, którego zdławić nie był w mocy, nastrajał go żałobnie.

— Kędy, kędy, kędy?... — szemrały nieznużenie fale każdej nocy, całowały w smutku brzeg i z głośnym pluskiem obejmowały wielkie, nieruchome głazy, wyzierające miejscami z wody.

Ale nie otrzymywały żadnej odpowiedzi.

W taborze cicho.

Jak martwe, leżały pnie i porozciągane deski...

Ale księżyc czytał odpowiedź. Kędy jeno zwrócił swoje łagodne oblicze, czytał ją. Na deskach i pniach przeznaczonych do wywozu, stały czarnemi literami wypisane słowa: »Do Batum«, »do Batum«, »do Batum«...

— — — — — — — — — —

Lato.

Rozpalone promienie słońca lały żar w powietrze pełne duszności.

Porozrzucane z rzadka po błękitnem niebie chmury miały ciemną barwę. Od czasu do czasu podnosił się wielki wiatr i rozciągał je wszerz i wzdłuż w złowieszcze cienie. Zdawało się, że chce je zmusić do ucieczki stąd i pomódz słońcu usiłującemu je podrzeć na strzępy. Mimo to, właśnie w samo południe zatrzymały się chmury w swej drodze i siwo-czarnemi masami spiętrzyły się nad górami.

Było po bitwie.

Wokoło panowała bezduszna cisza.

Jak daleko oko sięgało, spotykało srogie spustoszenie, a odrażająca nagość wierchów budziła żal.

Białawe, nadbutwiałe pniaki sterczały gęsto jedne przy drugich, jak szkielety z pożółkłej trawy. Wiele nieprzydatnych drzew leżało wokoło, a niektóre z kory odarte pnie, co zdradziły się z chorobą, próchniały nietykane dalej. Wielkie, powypalane miejsca

na ziemi były, jak rany po pożodze, i świadczyły o zwycięstwie płomieni, co się tu tak często nocami przewalały i łakomie pożerały wszystko, co się w ich sąsiedztwie znalazło. Na trawie leżały masy napół przegniłych trzasek i stosy ciemno-brunatnych szmat i zwojów sosnowej kory. Stare, gromami naruszone i dlatego siekierą nietknięte smereki stały smutne, z wyciągniętemi daleko od siebie, napół uschłemi ramionami, jak bezradne starcy, usiłując napróżno zatrzymać wiatr w swoich gałęziach. Czasem rozległo się w powietrzu żałosne, przykre skrzypienie, idące od zdrowych, samotnie poustawianych jedlin, co młodzieńczo gibkie i nadzwyczaj bujnie wzrosłe, nie miały żadnych gałęzi, krom puszystych koron. Te ich wierzchołki gięły się teraz do ziemi, jakby w ich gęstej zieleni tkwił cetnarowy ciężar i jakby je sobą ciągnął ku dołowi. Oddane kaprysom wiatru, pozbawione ochrony i wszelkiego oparcia, kołysały się teraz z jękliwem skrzypieniem.

Młode sosenki, kiedyś prawie jasno-zielonej, lśniącej barwy, były teraz połamane i unicestwione na wieki. Paproć opuściła swoje ząbczaste, teraz połamane kiście, i pozbawiona cienia, więdła, konając powoli w słonecznej spiece.

Wysoki mech, powydzierany całemi płachtami razem z korzeniem, wyschnął na słońcu, a tą samą śmiercią ginęła i podeptana trawa. Przeróżne leśne krze, maliny, jałowiec i inne silne, odporne rośliny i kwiaty, co bujały kiedyś tonąc w rozkoszy, teraz poprzypadały do ziemi, a powyciągane były z ziemi prawie z korzeniami. Po tem wszystkiem toczono i wleczono tysiące, tysiące olbrzymów!...

Tu i ówdzie przygnieciona do ziemi, ale nie pozbawiona zupełnie swej siły kruszyna, ustroiła się mnóstwem czerwonych jagód, a te błyszczały zdaleka, z matowo-zielonego tła, jak skrzepłe kałuże krwi...

Nieśmiało ciekł po kamieńcu w dolinie rozpustny kiedyś potok.

Masa obciętych gałęzi, kory i trzasek głuszyła jego wesoły bulkot na długi, nieokreślony czas. Orły i jastrzębie porzuciły swoje gniazda i tylko rzadko pokazywały się tutaj. Ledwo, że raz albo dwa razy w roku przelatywały wiosenną porą ponad tą swoją, kiedyś wspaniałą, ojczyzną.

I kukułka zamilkła.

Oczekując napróżno echa swego krzyku, które dawniej gnało poważnym milczącym lasem, jakby na wyścigi z jej własnym głosem — milczała teraz uparcie, jakby zapomniała o swoim zwyczaju.

Spustoszone, opuszczone, ograbione z wszelkiej krasy i dawnego bogactwa góry, ostały się, jakby na urągowisko, i nie mogły przeszkodzić temu, że gorące światło słońca wypalało niemiłosiernie te ostatki roślin, które dla swego istnienia wymagały najgłębszego cienia. Pozostałe z pogromu, ledwie co nad ziemię wzrosłe, a tylko dzięki przypadkowi nie uszkodzone jodełki i sosny stały smutne i opuszczone. Burza i słoneczne upały przechodziły naprzemian ponad ich młodziutkiemi koronami, nie tak jeszcze mocnemi, by zdołały znieść wszystkie zmiany i uderzenia czasu.

Stuletnie ojce i dziady ochraniały je dotychczas swemi szerokiemi ramionami przed wszystkiem — ale teraz? A choćby się nawet wszystkiemu oparły? Całemu żarowi słońca, co tak pożądliwie wypija ich młode soki, wszystkim burzom, usiłującym połamać ich ciała, wszystkim grudniom i wszystkim innym żywiołowym klęskom?... Czy nie zawisłaby i nad niemi, kiedyby stały właśnie w najrozkoszniejszej pełni rozkwitu, dumne potęgą, uznając nad sobą jeno niebiosa — czy nie zawisłaby i nad niemi ta sama ręka mordercy?...

Postanowiły umrzeć...

NATALIA KOBRYŃSKA

DUCH CZASU.

Był mglisty dzień zimowy. Grube, siwe chmury wisiały tuż nad ziemią i od nich robiło się to ciemno, to szaro. Zamarzłe błoto pokrywało się płatkami białego śniegu, który zlekka układał się w grubą warstwę.

Pani Szumińska zamiast położyć się po obiedzie spać, wzięła pończochę i usiadła przy oknie. Nic nie mąciło ani dokoła niej, ani w niej cichego nastroju. Wiedziała co, gdzie i jak robi się w gospodarstwie. Wiedziała, że dziewki myją naczynie w kuchni, a parobcy czyszczą stajnie i kręcą się koło bydła. A zresztą, w zimie nie dogląda się tak ostro czeladzi. Wiosna, jesień i lato, to czas robót, kiedy pilnie trzeba ręce przykładać.

* * *

Była kobietą nie młodą, prawie sześćdziesięcioletnią, oczy jej już niedopisywały. Dobyła z kieszeni w róg oprawne okulary, założyła je na nos, rzuciła w kąt kłębek z bawełną, rozłożyła druty i prędko poczęła nimi przebierać. Nitka bawełny wiązała się w oczka, które bezpowrotnie ustępywały miejsca nowym, jak dni, miesiące, lata w życiu ludzkiem. A ile te dni uniosły ze sobą chwil przykrych i przyjemnych, smutku i radości — kto spamięta! Jednostajna robota pogrążyła ją w zadumę. Dawno przeżyte czasy

i zdarzenia poczęły żyć na nowo, poczęły nabierać dawnych barw i jaśnieć pierwotnem swem światłem. Pani Szumińska poleciała na skrzydłach myśli w odległą przeszłość, w chwile najmłodszych dziecięcych lat, które zmartwychwstały w jej stępionej pamięci tak żywo, jak gdyby to działo się bardzo niedawno — wczoraj.

Przebierając drutami przypomniała sobie, jak ją, jej starsza siostra tej sztuki uczyła. Jak niezręcznie wówczas gmatwały się jej palce, czepiały druty, wyciągała nitka, przytrzymywana ręką nauczycielki. Wspomnienia dawnej przeszłości mieszają się jak senne widziadła. Tu zawisną na źdźiebełku kwiatka, zaszczebiocą niewyraźnie jak dziecko i przechodzą do zdarzeń i momentów poważnych, aby wnet wrócić do szczegółów niewyraźnych, zarywając po drodze to, co było w życiu największego i najpoważniejszego. Gdyby kto spojrzał był na twarz zamyślonej kobiety, to mógłby po lekkich odruchach poznać, że myśli jej zrobiły wielki skok. I rzeczywiście, przed jej oczami stanęła najważniejsza chwila w życiu, chwila, w której stanęła przed ołtarzem.

* * *

A miała wtenczas zaledwie lat szesnaście. Jej narzeczony, teolog, był synem księdza, z tego samego dziekanatu. Nie znała go wcale, gdyż widziała raz jeden tylko, kiedy z ojcem swym przyjechał do nich na »prażnik«. Ojciec jego celebrował, potem zostali obaj na obiedzie i odjechali dopiero wieczorem. Nie wiedziała, że na nią wybór padnie, ale nic przeciw temu nie miała. Jej familia była tego zdania, że jest to partya zupełnie odpowiednia i ona nie miała powodu inaczej na tę sprawę patrzeć. Nie zwlekano długo, zrobiono wesele, a na poznanie mieli potem czasu aż nadto wiele...

Na jej czole zarysowała się gruba zmarszczka. Nić snuła się jednostajnie z kłębka i wiązała w węzły, a myśli biegły dalej. Pierwsze uczucia macierzyństwa przejmowały ją wstydem i grozą. Żenowała się każdego obcego oka, wstydziła się samej siebie i prawie, że znienawidziła swego męża. A kiedy jej matka przedstawiała, że właśnie ten stan zaszczyt jej przynosi i że godność kobiety mierzy się ilością dzieci — nie mogła zgodzić się z poglądami matki i czuła do niej żal za ten brak serca.

Mało która z matek zdoła wychować wszystkie dzieci, i pani Szumińskiej zostało się tylko dwóch synów i dwie córki, druga połowa poleciała zawczasu w krainę wiecznego spoczynku, nie zaznawszy jeszcze życia.

* * *

Śmierć i życie wypadały naprzemian wśród jej dzieci i mieszały w jej duszy uczucia żalu i przykrości, radości i uciechy. A chociaż niemało żałowała umarłych, to jednak patrząc na żywe, zapominała o stracie; tyle nadziei wiąże się z każdem życiem. Myślała o ich przyszłości, ǫ sobie i o tem, jak kiedyś, otoczona wiankiem dzieci i wnuków cieszyć się będzie ich szczęściem, szacunkiem i przywiązaniem. Dumna i szczęśliwa swojem macierzyństwem, siedzieć będzie w ich kółku, gdzie każde jej słowo, każde zachcenie będzie spełnione. A gdyby oczy na wieki zamknęła, to te jej dziatki, które Bogu na usługi oddała, wyszłyby ze świecami w rękach na jej spotkanie i zawiodły przed majestat Stwórcy.

Przyszłość dzieci była jej jedyną myślą, jedynem życzeniem, wszystkiem. Ale ta przyszłość, o której tak często myślała, nie była dla niej czemś zagadkowem, czemś niedoścignionem, lecz przeciwnie, ona ją sobie przedstawiała jasno, jak jasne i obmyślone były jej plany. Chciała, aby wszyscy jej synowie byli popami,

a córki popadiami i aby żyli w dostatkach i dobrobycie. Nie odrywała rąk od pracy, sama wszystkiego doglądała, aby im tylko więcej majątku przyspożyć, spełnienie innych życzeń pozostawiając Bogu. Nikt nie modlił się tak szczerze i nie klęczał tak przykładnie przez całą mszę, nie odrywając oczu od grubej, polskiej książki do modlenia, którą od babki w spadku otrzymała. »Na intencyę« każdego dziecka dawała ofiary do cerkwi, obrus, poduszkę na ołtarz, lub do świec bukiety. Na intencyę najstarszego syna, robiła sama wstawkę do alby, aby go Pan Bóg poprowadził według jej woli. Na najstarszym synie spoczywa największa nadzieja matki, popadii. Chroń Boże, aby się najstarszy syn w jakibądź sposób zwichnął, bo któżby w razie nieszczęścia przygarnął biedną matkę i młodsze rodzeństwo. Wprawdzie mąż jej był zdrów jeszcze i rzeźki, ale codzienne widoki śmierci naprowadzały jej na myśl obrazy nędzy i rozprzężenia po śmierci ojca rodziny.

Z pomiędzy tych smutnych myśli wyłaniały się niektóre weselsze. Kiedy nieraz siedziała nad swoją robotą i układała ścieg za ściegiem, nić za nicią, a z pod jej palców wychodziły piękne listeczki i kwiaty, to wtenczas i myśli jej wypogadzały się. W tej albie przedstawiała sobie swego syna podczas pierwszej mszy, jak śpiewa, wychodzi na środek cerkwi i ściska głowy ludowi, jej i młodziutkiej przy niej stojącej synowej. Jak razem z mężem dumnie wychodzi z cerkwi, a gazdowie i gospodynie całują ich ręce, winszując takiej pociechy.

— Ty będziesz księdzem... — mówiła do małego chłopczyka, igrającego się u jej nóg.

— Ja będę księdzem — odpowiada dziecko poważnie, a matka za to serdecznie je całuje. I teraz nawet, po tylu latach, usta jej składają się do uśmiechu, kiedy przypomni sobie, jak razu jednego jej luby synaczek, będąc maleńkiem dzieckiem, dał swojej niańce

kawał sznurka i przykazywał, aby go sobie schowała, bo kiedy będzie księdzem, to da jej pełny worek kołaczy, więc aby miała czem zawiązać...

* * *

Lata szybko mijają. Nie oglądnęła się pani Szumińska, a dzieci już urosły. Synów oddano do szkoły, młodsza córka uczyła się z guwernantką, a starsza dorastała. Jaka z niej była zgrabniutka panienka! Wiotka, jak wiosenny kwiatek... A oczy! ani wymalować...

Pani Szumińska westchnęła głęboko, a druty drgnęły nerwowo w jej palcach. To dziecko dało jej najwięcej radości, ale też i najwięcej smutku. Już w szesnastym roku miała, podobnie jak jej matka, starających się, ale matce żal było rozłączać się tak prędko z kochaną córką; chciała jeszcze choć dwa lata mieć ją przy sobie. Pamiętna ciężkich obowiązków żony, mówiła nieraz, że kobiecie tyle szczęścia, ile przy matce. Lecz wkrótce musiała pani Szumińska żałować swojej rady. W następnych dwóch latach nie było starających się o córkę, dopiero w trzecim zjawiło się ich dwóch naraz.

Obydwaj byli kandydatami duchownego stanu, ale nie jednego pochodzenia. Jeden był synem poważnej księżej familii; rodzice byli mu przychylni, panna również, a zwlekało się tylko dla ludzkiego oka, aby nie mówiono, że się chwyta zięcia. Po »prażniku«, który przypadał za kilka tygodni miała się ostatecznie cała sprawa rozstrzygnąć. Wtem zaszło coś, co wszystkie plany zepsuło. Na tym samym »prażniku« poznała panna swego późniejszego męża i o nikim więcej nawet słyszeć nie chciała. Piękny był mężczyzna i wcale gładki, prawda, ale w oczach pani Szumińskiej miał dwie chyby. Jedną, że był synem chłopa, a drugą, że kończył nauki dopiero za dwa lata. Chociaż pani Szumińska nie należała

do tych, którzy niższych od siebie nie uważają za ludzi, ale w każdym razie to chłopskie pochodzenie obniżało nieco jego wartość. Możeby to nie dawało się tak bardzo uczuwać, gdyby u księży, podobnie jak i u panów, brano ślub tylko przy świadkach. Tymczasem popowskie wesele, to ambicya domu, a tu zamiast księdza dobrodzieja i jejmości dobrodziejki — siędzie tatuś w kożuchu i matka w chustce, a przy błogosławieństwie córka całować będzie ich ręce!... Po weselu to już obojętne; niech sobie rodzice będą czem chcą, ona z nimi żyć nie będzie, tylko z mężem...

Ale ten jeden, jedyny dzień!... Mówiła o nim z córką; a gdy starała się jej jak najdokładniej przedstawić kłopotliwość swego położenia, ta bladła i czerwieniała, odpowiadając stanowczo, że nie ustąpi, i że dla jednego dnia nie myśli poświęcać całej przyszłości. Gdyby przynajmniej zaraz mógł się żenić, ale to aż za dwa lata — taż to sporo czasu!... Bóg wie, co się stać może, jakie plotki mogą urość, wesele rozbić i panna może usiąść na lodzie...

Przeszły wreszcie te kłopoty, dwa lata minęły i widziała swoje dziecko szczęśliwe przy boku ukochanego człowieka.

* * *

Często w spokoju i zadowoleniu z życia zapomina człowiek o tem, co przebył i przecierpiał, aż znowu nowe niepowodzenia rozranią stare, zabliźnione rany. Ten rok był dla pani Szumińskiej pomyślnym; wydała córkę, syn zdał maturę, wszystko się jakoś wiodło. Pieniądze, wydane na wesele miały się w ten sposób zwrócić, że syn pójdzie do seminaryum i koszta na jego utrzymanie będą dużo mniejsze. W tem naraz nowa bieda: syn oświadczył, że ani myśli być księdzem. Ten syn, który jeszcze dzieckiem będąc, dał swojej niani sznurek, aby miała czem kołacze zawiązać, ten syn, na intencyę którego darowała albę, ten syn, z dziada,

pradziada popowicz, nie chce być popem!... To się jej w głowie nie mogło pomieścić.

— Co z tobą, synu? — pytała się matka. — Dla czego wyrzekasz się swojego stanu? Czyż może być piękniejszy stan, jak popowski?

— Tak, matko. Przypuśćmy, że niema piękniejszego, ale mię do niego nie ciągnie.

— Jakto, nie ciągnie?... Co to znaczy: nie ciągnie?...

— To znaczy, że nie mam do niego powołania.

— Ależ do niedawna o niczem innem nie myślałeś!... Skądże ta nagła zmiana?

— To prawda, że nie myślałem, ale cóż ja na to poradzę, że myśli moje zmieniły się? Taki już duch czasu powiał. Szanuję ten stan bardzo, ale czuję, że byłoby mi w nim ciasno, że moim myślom postawionoby granicę, a ja potrzebuję przestrzeni, wolności w nabywaniu wiedzy i nauki.

— Więcej przestrzeni, nauki!... Taki już duch czasu... — powtórzyła pani Szumińska, wpatrując się osłupiałemi oczami w swojego syna. »Duch czasu taki!« Co to za duch czasu? I coś nieznanego, wielkiego zjawiało się przed nią, coś co porywało i unosiło cały jej spokój, przez co ginął stary ład, co rozluźniało te cząstki, które do niedawna tak dobrze trzymały się razem. Nawet we śnie widziała przed sobą tę nieubłaganą zmianę. Widziała jakąś tajemniczą rękę, która naczynia przenosiła z komory do pokoju, a z pokoju do komory, wszystko ze strychu zsuwało się na dół, łóżka i stoły ruszały się, krzesła układały się w jedną piramidę, obrazy występywały ze swoich ram, nawet sprężyny starego zegaru trzaskały i odlatywały, a kółka i drobne ogniwa łańcuszka roztaczały się na wszystkie strony.

* * *

»Taki duch czasu!« Ha! Czy ona go nie znała aż nadto dobrze? Czy nie on to był, kiedy jej córka miała odwagę przyznać się, że kocha i że tylko z miłości za mąż pójdzie?...

* * *

Druty poruszały się prędzej i prędzej, robota w rękach rosła, a nić wiązała się w coraz to nowe węzły. Podobnie i życie mija, myślała pani Szumińska, dąży do celu i, jak spuszczone węzły, zostawia za sobą sny, nadzieje i sercu drogie osoby. Ile tych ofiar ona przebolała?... O Boże!

Na czole zadumanej kobiety przybyło kilka zmarszczków, które ułożyły się w grube fałdy. Westchnęła głęboko, starając się opędzić smętnym myślom, ale daremnie. Ociężała bezwładność ogarnęła jej ciało, a zwiędłe ręce opadły na kolana. Biedna matka nie mogła spokojnie myśleć o okropnej śmierci, która jej zabrała w samym rozkwicie lat najszczęśliwsze z dzieci. Śmierć rodziców jej i drobnych dziatek była wprawdzie bolesną, ale pozornie przynajmniej naturalną, gdy tymczasem zgon zamężnej córki w trzydziestym roku życia, był dla niej czemś tak strasznem, tak wstrząsającem, że przeboleć tego nigdy nie mogła. Rozdzierające obrazy jej konania, rozpacz męża i przykre wrażenie, kiedy na wychowanie przywieziono jej małą sierotę, jedyne dziecko zmarłej, stanęły przed nią tak żywo, jak gdyby się to wszystko wczoraj dopiero działo.

I długo było słychać łkanie nieszczęśliwej matki.

* * *

Podniosła wreszcie głowę i podjęła opuszczoną robotę. Z początku zwolna i leniwie poruszały się druty w jej palcach;

ale ta sama cisza, która na nią cisnęła falę wspomnień smutnych, cofnęła ją napowrót. Ból, który podnosił pierś spłakanej kobiety, począł cichnąć. Wzburzony umysł wracał do pierwotnego spokoju, jak zmącone źródło polne, w którem wzburzony piasek osiada zwolna na dnie drobnymi pyłkami. I oto na drżącej, przeźroczystej szybie znowu poczynają odźwierciedlać się najbliższe przedmioty; złamany pień, kiście trzciny, oraz niebieski albo żółty kwiatek. I w drżącej jeszcze od wzruszenia duszy pani Szumińskiej jął odbijać się w niezmiennych kształtach jej świat, który ją pochłaniał, jej dom, który był jej światem. Tyle przestrzeni widziała, ile z jego okien dojrzeć mogła, i poza obręb ścian jego nie wybiegała myślami. W nim zamykało się całe jej życie, niczego nie życzyła sobie ponad to, co w jego obręb wchodziło. Ten dom, na pozór tak cichy, był całem jej szczęściem, we wszystkiem jej wystarczał. Gdyby nie on, nie duch czasu, nie ten szatan, który wszystko, co drogie, psuł i niszczył!...

On to wsuwał się pod rozmaitemi postaciami we wszystkie szpary jej domu, wyglądał z każdego kąta, burzył odwieczny porządek; zataczał magiczne kręgi swej niezłomnej woli, niewzruszony ni łzami, ni skargami matki. Wszystko, choć jak sprzeczne z jej wolą, spełniało się, gdy on zażądał. Wszystkie jej dzieci, synowie, córki, wnuki, poszły nie temi drogami, które ona dla nich obmyślała. Gruchotał on najdroższe i najbardziej ukochane nadzieje jej serca.

* * *

Synowie sprzeciwiali się ojcu, a córki matce. Czyż ten syn, który pierwszy nazwał właściwem imieniem tę złośliwą moc, nie byłby o wiele szczęśliwszym, gdyby był poszedł drogą swoich ojców, nie słuchając wcale wezwania tego »ducha czasu«? Byłby

już dawno księdzem, żonatym, miałby swoją rodziuę, a tak co?... Poszedł na tego »profesora« — i co z tego?...

Sama przybita, złamana, musiała, nie bacząc na swój smutek, godzić ojca z synem, bo z upartością wielką stanęli przeciw sobie.

Ta sama utajona, potężna siła zawładnęła i jej młodszą córką, Olgą. I jej, podobnie jak bratu, sprzykrzył się stan popowski. Miała kilku starających się seminarzystów, ale żaden się jej nie podobał; chciała wyjść za wolnego człowieka. I coby teraz dała za to pani Szumińska, gdyby Olga zakochała się choć tak, jak jej starsza siostra! Ale na to nie zanosiło się...

Każda nowość, którą córka wprowadzała, każde inaczej postawione krzesło, nowa etykieta, lub nowa książka drażniły i gniewały matkę do najwyższego stopnia. A najwięcej irytowały ją książki, które niewiadomo jakim sposobem, zjawiały się w ręku córki. Pani Szumińska nigdy sobie tego ani darować, ani też bez wstydu o tem myśleć nie może, jak pewnego razu, w czasie nerwowego podniecenia, wyrwała z rąk córki jakąś nowiuteńką książkę i podarła ją na drobne kawałki. Ale była tak biedną, w tak rozpaczliwym nastroju ducha, że nie wiedziała, co robi. Przeczuwała, że z tych książek wieje czemś obcem, że są to może wysłańcy i narzędzie złego ducha, że wypływał z nich prąd, który coraz bardziej podmulał brzegi jej spokojnej przystani.

* * *

Palce pani Szumińskiej poruszały się żwawo, lśniące druty migotały w drobnych węzłach, a myśli snuły się jak nić z kłębka... Kiedy najmłodszy syn zdał maturę i oznajmił rodzicom, że idzie na prawa, już mu się nikt nie sprzeciwiał.

— Niech już będzie, czem sam chce — rzekli oboje starzy — niech tylko potem nie narzeka, bo niema nic okropniejszego nad narzekania dzieci, że im rodzice szczęście zagrodzili.

Z ciężkiem sercem wyprawiała go matka na uniwersytet. Dotychczas był dzieckiem, choć nie u rodziców, to blizko rodzicielskiego oka, a teraz sam jeden rzucony będzie w wir wielkiego miasta, w tę straszną otchłań zepsucia...

I znowu życie jednego dziecka zakrywało się mgłą oddali, w której gubiły się wszelkie upomnienia i ginął głos matki.

* * *

Z bojaźnią i niepokojem w sercu śledziła matka każde słowo i każdy ruch syna, kiedy przyjeżdżał z kolegami na wakacye do domu. Przysłuchiwała się pilnie ich rozmowom, a im więcej ich słyszała, tem więcej krwawiło się jej serce. Obijały się o jej uszy zdania, zupełnie niezrozumiałe: »Lud, równość, wolność, rewolucya francuska, eksploatacya chłopa, rok czterdziesty ósmy!«

I tem większą grozą przejmowały ją te wyrazy, im mniej były jej zrozumiałe. Najbardziej jednak trwożyły ją uwagi o Bogu, o prawdziwości jego istnienia i opieki. Przekonała się również, że syn jej nie modli się, a w cerkwi zachowuje się jak poganin, bez nabożności i skruchy.

— O Boże! — mówiła nieraz do siebie — skądże wziąć się ma łaska twoja, jeżeli ludzie nie uznają ciebie!... O mędrcy! mędrcy! Niema Boga? a skądże wzięło się wszystko na świecie, drzewa, ptaki, zwierzęta? Kto stworzył to wszystko, jeżeli nie Bóg?

* * *

Zawsze, skoro tylko burza powstała w jej duszy, a serce bolem dotknięte drżało, posyłała do Boga posła niewidzialnego — modlitwę. I czuła, jak wywołany przez nią anioł boży zbliżał się i przynosił spokój. Siła modlitwy była wówczas jeszcze bardziej

dla niej potrzebną, niż zwykle. Ażeby odwrócić sprawiedliwy gniew boży od niewiernego syna, brała do rąk swój modlitewnik i odmawiała modlitwę »od smutku i cierpienia«. Ale słowa modlitwy zamiast zmniejszać, zwiększały jeszcze jej smutek. Był to hymn do Pana Boga, wysławiający jego wszechmoc, siłę i dobroć bezgraniczną, której ludzie poznać nie chcą. Hymn kończył się prośbą pokornej niewolnicy:

Niechaj twe gromy w tych niewdzięcznych biją,
Co cię znać nie chcą, choć z twej łaski żyją —
Oto jest prośba pokorą bezmierna,
Którą zanosi twoja sługa wierna...

Słowa hymnu płonęły przed nią ognistemi strzałami, a zimny pot oblewał jej czoło. Modliła się tak przez lat wiele i błagała o zemstę na niewiernych, a teraz owa zemsta sunie się do niej samej, zawisa jako chmura czarna nad jej własnem gniazdem i grozi gromem...

* * *

Zdało się jej, że ten grom już niedaleko, że w powietrzu słyszy odgłos jego głuchego huku, że pierwsze błyskawice już przedzierają horyzont. Pewnego razu czytał jej mąż w gazetach, że »młodzież teraźniejsza oddaje się fantastycznym mrzonkom, pragnąc zmian w ustroju społecznym, jest to jednak fantazya tylko i urojenie młodych głów. Odwiecznego ustroju nikt zmienić nie może, a zmienia się on sam przez przemysł i odkrycia. Ci, którym się zdaje, że stosunki społeczne można zmieniać jak odzież i przerabiać jak mundur oficerski na frak balowy, lub krótką kurtę na poważną czamarę, ci nie wiedzą chyba, że postępowaniem swojem sprowadzają krwawą katastrofę, że korzyści ani dla siebie, ani dla ogółu nie zdobędą, a staną się tylko ofiarą swojej chwilowej

pomyłki, lub narzędziem w rękach ludzi, goniących się za zaszczytami«.

Rozumiała ona z tego nie wiele, ale przeczuwała w sercu, że stoi to w pewnym związku z tem, co od syna i jego towarzyszy słyszała i że rezultat może być zgubny. Widocznie Pan Bóg opuścił tych, którzy go znieważają i schodzą na bezdroża, nieoświeceni jego mądrością i łaską. Wstrząśnie się ziemia od szumu walki i od huku ciężkich ciosów; jedni trupem upadną na miejscu, inni w powietrzu zawisną, tylko kruki zakraczą nad ich trupami, zgniją oni w bezdennych gardzielach więzień, zamkniętych żelaznemi bramami.

I dlaczegoż nie siedzieć w spokoju, chwaląc Boga, który wszystkimi nami włada?...

* * *

Pończocha była na ukończeniu, ale palce i myśli starej kobiety nie przestawały pracować. Duch czasu stał przed nią w całej swej groźnej postaci. Nie zostawił jej żadnej pociechy, nie oszczędził ani jednego dziecka. Rzucił już nawet okiem na jej wnuczkę, jedyne dziecko zmarłej córki. Spodziewała się, że choć tę jedną roślinkę zdoła ochronić. Tymczasem dowiedziała się, że ten duch przeklęty nawet ją opętał swym zaraźliwem tchnieniem... Siedziała tak, jak teraz, i przebierała na zasiew nasienie jarzyn, gdy wnuczka przystąpiła ku niej.

— Dobrze, że przyszłaś. Pomożesz mi nasienie przebierać.

Dziewczątko pomagało, ale paluszki jej drżały, a twarzyczka jej była bledsza, niż zazwyczaj.

— Co tobie dziecko? Czyś nie chora? — pytała się troskliwa babcia.

Dziewczę zaprzeczyło główką, ale dwie łezki stoczyły się

z jej oczu na papier. Babcia obrzuciła ją pytaniami, na które wnuczka tylko coraz obfitszemi łzami odpowiadała. Wreszcie oświadczyła, że więcej chciałaby się uczyć.

— Czyż nie uczyłaś się dosyć? — pytała zdziwiona babka — czyż nie miałaś guwernantki?

— Prawda — szeptało dziewczę — ale ja, ja chciałabym tak się uczyć, aby mieć swój własny chleb, ja chciałabym być nauczycielką!...

Babkę, jak gdyby kto nożem przebił. Koszyk z nasieniem zachwiał się, długie okrągłe ziarenka rozsypały się po ziemi i potok gorzkich słów popłynął z jej ust:

— Córka mojej córki — nauczycielką!... Och ty niewdzięczna! Czyś taka biedna, że już sama na siebie zarabiać musisz? Czy my nie jesteśmy w stanie dać ci posagu? Wkońcu masz ojca, czyż on nie troszczy się o ciebie?

Dziewczę zdławiło rękami głośne łkanie i cicho wyszło do drugiego pokoju. Tu, skrywszy się w najciemniejszym kącie, długo płakała.

* * *

Trudno opisać, jak te łzy bolały panią Szumińską. Widziała ona, iż przedział pomiędzy nią, a tymi, którym życie dała rósł z każdą chwilą i obejmował coraz szersze kręgi. Wszyscy oni porzucali ją i grupowali się osobno. Ach! jak odmiennym był ten obraz od tego, który układała sobie wtenczas, gdy to wszystko drobiazgiem kręciło się u jej nóg! Jaki kontrast pomiędzy rzeczywistością, a marzeniami, w których przedstawiała sobie, jak siedząc w kole dzieci, będzie dla nich najwyższym autorytetem, jak każdą jej uwagę, każde jej słowo spełniać będzie posłusznie, szanujące jej wiek i doświadczenie młode pokolenie. Wprawdzie kochali ją i szanowali, ale nie tą miłością, którejby pragnęła.

Czyż nie była podobną do owej kwoki, która wysiedzi kaczęta?... Tak długo biedaczka odmawiała sobie wszelkich przyjemności, siedziała tak przykuta na jednem miejscu, aby kiedyś módz w otoczeniu swoich piskląt wyjść w szerokie pole, uczyć je dziobać maleńkimi dzióbkami, zwoływać do znalezionej zdobyczy i zgromadzać pod swe opiekuńcze skrzydła... A doczekawszy się tej chwili, kiedy wszystkie jej dzieci uwolniły się z ciasnych skorupek i mogą się już poruszać swobodnie, wyprowadza je, szczęśliwa, na brzeg potoku. Młodziutkie stworzenia nieśmiało i ze strachem zbliżają się zrazu do nieznanego żywiołu, ale umaczawszy dzióbki, nabierają śmiałości i zamiast z brzegu wyciągać główki, puszczają się na wodę. Daremnie matka biega wzdłuż brzegu i woła rozdzierającym głosem. Młode pokolenie nie ogląda się, choć słyszy jej głośne wołania. Porywa je rwąca fala — odnosi, odnosi...

A. KRUSZELNICKI

NA PROGU ŻYCIA.

FRAGMENT.

Nadeszły święta Bożego Narodzenia. Hania przygotowała się tak, jakby to były ostatnie święta w jej życiu. Napiekła, nagotowała różności — a teraz ciągle biega i pilnuje, aby się co nie przypaliło, nie zbiegło, aby bułki nie popękały, aby gołąbków nie przesolić.

Aż odetchnęła swobodniej, skoro się wszystko udało.

Wigilia.

Już stoły nakryto, już świece zapalono, a wszystkim ciągle się zdaje, że kogoś brakuje. Matka Hani, która dopiero co poczęła powracać do zdrowia, chodzi z pokoju do pokoju, oglądając, czy wszystko w porządku, a wkońcu mówi:

— No, cóż? Siadajmy.

Te słowa pchnęły Hanię w serce, jak cienki nóż... Co z nią? Skąd ten strach?... Zdawało jej się ciągle, że ktoś przyjedzie, brat, siostra... ciągle do okna zazierała i nadsłuchiwała ilekroć dzwonki na wsi usłyszała, czy sanie na ich podwórze nie nawrócą. Nie i nie i nie. A może jeszcze przyjadą... A może później, później...

— A więc siadajmy. Nie mamy powodu czekać — rzekł ojciec i rozpoczął modlitwę.

Siedli.

Ojciec i matka poczęli w milczeniu jeść barszcz. A Hania też nie może mówić. Je i nie je, głowę nad talerz pochyliła, myśli.

O czem?

O tem, jak tarza się po sianie pod stołem, a po wieczerzy bawi się z bratem i siostrą.

— Ja będę tu spał na sianie... przez całą noc tu, na sianie.

— I ja, Wasylku...

— I ja, i ja!...

Śpiewają, kolędują, śmieją się... Coraz ciszej, ciszej, aż w końcu wszyscy troje zasypiają na sianie.

— Cóż matko, niema nas do pary — rzecze ojciec.

— Trudno... Ale wnet będzie nas znowu do pary.

— Jakto?

— A tak, zostaniemy oboje, i będzie para.

Hania jeszcze niżej głowę nad talerz pochyliła. Chociaż nikt jej imienia nie wyrzekł, ale ona wiedziała o tem, że o niej mówią.

— A może znowu zostanie kto z nas bez pary... Tak to, tak!...

I znowu cicho.

— A to kto? Czy nie Wasyl?...

Na podwórzu ozwały się dzwonki.

— Haniu! A idźno, zobacz!

Hania chce wstać, ale nogi jej nie słuchają.

— Pójdę, pójdę, muszę pójść!...

Siłą woli podniosła się z krzesła.

— A ty którędy? Nie wiesz, że drzwi na zimę założone?... Prowadź ich przez kuchnię.

Kogo? Dlaczego ich? Czy kto z Wasylem przyjechał? A może to nie Wasyl?...

— Wasylu, Wasylu!...

Czy ściskała go kiedy tak szczerze, czy całowała? Sama nie wie, dlaczego...

— Pan Osyp Justyszyn... mój przyjaciel...

Zobaczyła, teraz dopiero zobaczyła, że wszedł razem z Wasylem i otrzepywał śnieg z płaszcza.

— Porządnie namarzliśmy się, Osypie! Zagrzejmy się!... Ale któż mógł spodziewać się takiej kurzawy? Cóż? Czekaliście na nas z wieczerzą? Nie, nie, widzę, że nie, no tak, pisałem przecież, że rano przyjedziemy.

— Pisałeś? — spytała zdziwiona Hania, prosząc ich do pokoju.

Pisał... Dlaczego nikt mi o tem nie wspomniał. A ja ciągle spodziewałam się kogoś.

Poszła nieco w kuchni zarządzić.

— Jak się nazywa? Osyp... nie, nie zgadnę. Brunet, a oczy ma takie ostre... Poco on przyjechał? Czy jeno tak? Na święta?

— I dlaczego Wasylko nic mi nie napisał, że ktoś przyjedzie? Byłabym się przygotowała... Byłabym sobie coś uszyła... Ach, a ja w takiej sukience, codziennej, czarnej, brudnej... Teraz już nie wypada przebierać się.

— Co ty, Haniu, bawisz się tak długo? Daj nalewki, barszcz. Panowie zmarzli.

— Daję, daję...

I usiedli do stołu.

Całą noc nie spała.

Minęła noc. Minął ranek. Zjedli obiad, rodzice położyli się spać.

— Cóż będziemy robić? Haniu, jaką wymyślisz zabawę?

— Alboż ja wiem?

— A cóż my wiedzieć możemy? Pani, panno Haniu, jako miejscowa, prędzej wie, co z nami począć.

— Och, jaka ty dzisiaj Haniu zamyślona... nawet nie słyszysz, co mówimy. Zakolędujmy chyba.

I jęli kolędować. Jedną, drugą, trzecią kolędę.

— Czy wesoło pani żyje się na wsi, panno Haniu?

Chciała odpowiedzieć »w tej chwili wesoło« — słowa te tkwiły już na końcu języka, lecz obróciła się: niema brata.

— Gdzie Wasylko?

Osyp również zmieszał się. Spojrzał po izbie.

— Czy przestraszyła się pani?

— Nie, ale...

Twarz jej spłonęła jak ogień.

— ...ale był tu przed chwilą, i...

— Panno Haniu...

Znowu »panno Haniu«. Pomimo woli cofnęła się o dwa kroki wstecz.

— Panno Haniu, znamy się nie cały dzień...

Ach, czy już teraz...

Chłodny dreszcz przebiegł po jej ciele. Drgnęła.

— Czy zdziwiło to panią, że od tego zacząłem? Lecz nie mogłem inaczej. Widzę panią nie cały dzień, a znam od lat kilku.

— Pan? Mnie?

— Tak. Słyszałem wiele o pani.

— O mnie?

— Tak. Od Wasylka.

Już nie wątpiła. Już teraz... Ach, jak chętnie uciekłaby stąd. Skryłaby się pod ziemię! Wszystko, wszystko, byleby tylko nie stać tu i nie słyszeć tego, co musi za chwilę usłyszeć.

— Panno Haniu, czy odda mi pani swoją rękę?

Nie, nie, niechce tego dalej słuchać... Uciekać, uciekać... Ale dokąd? Którędy?... Co, co on jej powiedział?

Łzy trysnęły jej z oczu. Zerwała się i rzuciła do drzwi.

— Którędyż ty biegniesz? Gdzie Wasylko?

— Ach to mamcia...

We drzwiach stała matka

W głosie jej dźwięczy zdziwienie, ale na twarzy gra uśmiech i oczy aż iskrzą radością.

Wieczorna narada.

Ojciec, matka i ona.

— No, Haniu, czy pójdziesz zamąż?

— Nie, nie chcę, nie pójdę. Zostanę w domu.

— Poco?

— Po-co?...

Szeroko rozwarła swe załzawione oczy.

Jak to poco? Alboż ona wie poco? Nigdy nie słyszała tego słowa »poco«? Nikt się jej nigdy nie pytał, poco siedzi w domu.

— Chyba nie wiesz, że wiecznie w domu nie możesz być. Stepka wnet szkołę ukończy, a obydwie w domu nie będziecie siedzieć.

— Dlaczego?

— Jakto: »dlaczego«? Trzeba ją będzie zamąż wydać, a tu ty jeszcze siedzieć będziesz?...

Zrozumiała. Musi wyjść zamąż. Musi Stepce miejsce zrobić. Obydwie w domu siedzieć nie mogą.

— No, otóż?

— Niech będzie tak, jak mamcio i tatko każą...

ŚLUBNA ŻONA.

— Parasko, Parasko...

— A co tam?

— Wstawajże.

— Ta poco?

— Zdaje mi się, że ktoś dzwonił.

Przenikliwy dzwonek elektryczny jął znowu dzwonić.

— Zdaje się, że pan z miasta wrócił.

— Aaaa... Do licha z takiem życiem. Ani się wyspać, ani wypocząć; to wstawaj, to kładź się, to kładź się, to wstawaj.

— Idź no, idź, bo się będzie gniewał.

Paraska zerwała się z ławy, zarzuciła chustkę, wzięła do rąk zapaloną latarkę i klucze od bramy i wyszła z izby.

Co tylko za sobą drzwi zamknęła, jak dzwonek ozwał się znowu.

— Pfu, przeklęty! Ostatniaby ci godzina była! Dzwoni i dzwoni, aże w uszach szumi!

Wasyl obrócił się na łóżku i utkwił oczy w oknie, przez które przedzierało się światło księżyca.

— Ihi... nawet i księżyc jak nie księżyc! Zupełnie, jak gdyby się bał jasnem okiem zajrzeć do tej nory. Patrz, świeci tak, jakby łaskę robił.

Na schodach zadudniały kroki.

— To on... Dyabli by mu... Hula do północy Bóg wie gdzie, a teraz ściel mu... Nie wstałby z tej pościeli...

Splunął ze złości i zacisnął pięście.

— Niechby on tu jedną nockę przespał, to z pewnością powędrowałby na Łyczaków. A tak, myśli se, że łaskę nam robi. Gdzież to stróżowi takie pomieszkanie!...

I powiódł ręką po izbie, jakby ją komu pokazywał.

Była to piwnica, pięć metrów długa, a cztery szeroka, z małem, zakratowanem okienkiem. Ze ścian aż lała się wilgoć, a powietrze było w niej takie, jak w murowanym zamkniętym szczelnie grobie. Pod oknem stał stół, przy nim ławka i stare połamane krzesło; na kuchni dwa-trzy czerepiane garnki, a koło drzwi konew z wodą. W kącie łóżko i skrzynia z ubraniem — to wszystkie sprzęty.

— Hej, hej!... Alem ci się z żoną dorobił! Nie lepiej to było nie żenić się? Gdziebyś się przespał, tam przespał, a tak musisz mieć chatę. I jaka jest, taka jest — ale jest; zawsze już nie pod gołem niebem. Bogu dzięki i za to.

Ziewnął na całą izbę, przeżegnał usta i zarył głowę w zagłówek. Z początku wirowały mu po głowie jakieś niewyraźne myśli, potem rozpływały się w nich jakieś wspomnienia, dawne, dalekie i migotały w mózgu jak płomień gasnącej lampy, wkońcu gasły i rozchodziły się jak mgła pomroczna.

Przymknął powieki i usnął.

* * *

Paraska, wyszedłszy za drzwi, poczęła się trząść, jak w febrze.

— Ach znowu się zacznie!

Otworzyła panu bramę i poszła z nim na górę do jego mieszkania.

Poczęła słać łóżko.

Pan chodzi zamyślony po pokoju i gwiżdże. Naraz Paraska

słyszy, jak staje koło niej. Dech w niej zamknęło. Twarz ogniem płonie, serce tłucze się, jak mysz w pułapce. Świat się jej kręci.

Objęło ją silne ramię. Nie spostrzegła się nawet, jak usiadł na łóżku i posadził ją na kolana.

— Panie... — błagała, a głos jej dziwnie syczał.

— Parasiu, Parasuniu...

Głowę jej przygarnął ku sobie dłonią i namiętnie jął całować ją w usta. Te całunki paliły ją jak ogień, i mroziły jak lód.

— Panie, jestem ślubną żoną.

I łkać poczęła.

— Płaczesz, Parasiu? I poco te płacze? Nie jestem ci wrogiem. Przecież widzisz, dałem wam służbę, izbę, pomagam wam... Parasiu, ty mi się tak podobasz. Chodź... chodź...

— Co?... Nie, nie panie, proszę mię puścić.

Starała się wyrwać.

— No widzisz, jaka ty jesteś!... Tak długo cię proszę — tydzień, dwa, miesiąc, a ty nie i nie... Jakże więc, dobrze?

Cicho. Milczą oboje.

— Dobrze, Paraniu? mów! Pójdziesz, prawda, że pójdziesz? Chodź...

— Nie panie. Proszę mię puścić. Dalibóg nie pójdę.

— Nie?...

W głosie jego zadźwięczała złość. Jak gdyby nożem zgrzytnął po żelaznym garnku.

Puścił ją. Myśli. Zmarszczył czoło, zesunął brwi. Na ustach przewleka się ironiczny uśmiech.

Stanął przed nią.

— Nie?...

Ona milczy.

— Powiedz więc swemu mężowi, niech pierwszego szuka sobie miejsca.

Cedził zwolna ostatnie słowa. Jak trucizną sączyły się kroplami z jego ust, zatruwając krew Paraski. Oszołomiona stała przez chwilę, a potem zatoczyła się, jak pijana, i runęła do jego nóg.

— Panie kochany! Nie gubcie nas, nie wypędzajcie... Gdzież my teraz służbę dostaniemy? Panie, dobrodzieju nasz, nie zostawiajcie nas bez chleba.

Odwrócił się od niej. A ona twarzą do ziemi przypadła i wyła.

— Albo nie!... Zrobię, czego pan chcesz. Poddam się. Wasylko dawno mi mówił: »Wypędzi, jeżeli się nie poddasz«.

Taka myśl strzeliła jej do głowy. Podniosła się, otarła fartuchem łzy i usiadła na łóżku.

Ździwiony pan, uśmiechnął się wesoło i rzekł od niechcenia:

— No i cóż?...

— A cóżby?...

Te wymuszone, na pozór wesołe słowa Paraski burzyły w nim krew.

Siadł koło niej i otoczył ją ramionami.

— Dobrze tak?

Kiwnęła głową.

* * *

— Dawnoś wróciła Parasko?

— Przed chwilą.

— Co ci jest? Płaczesz może?

Wstrzymywany płacz wybuchł całą siłą.

— A czegoż ty?

— Już po wszystkiem.

— Po wszystkiem?...

Niby przeląkł się, niby gniewem zawrzał. Obrócił się, silniej pięści zacisnął, a wreszcie ręką machnął.

— Wiedziałem o tem dawno... Idź, kładź się spać!

BOHDAN ŁEPKI

PRZED ŚMIERCIĄ.

— Jegomość! Wstawajcie! Do chorego trzeba.

— Co? Do chorego? Po dyaka niech skoczą. Niechaj cerkiew otworzy i wszystko, co rychlej, przygotuje. Ja zaraz wstanę.

Służąca zamknęła drzwi, i słychać było, jak w kuchni powtarzała zlecenie jegomości.

— Do chorego? Cóż robić? Trza iść, choćby się spało.

Nigdy sen nie wydaje się tak smacznym, jak wtedy, gdy nam spać nie dają. Poprawił kołdrę i na chwilkę przymrużył powieki. Myśl o chorym przypomniała mu dzwony, i pod wrażeniem ich dalekich dźwięków ukołysał się i zasnął na nowo.

— Jegomość, proszę, dyak już dawno czeka.

— Czeka? Powiedz, że idę.

I za godzinę ulicą wiejską ciągnęły dwie postacie. Tonęły we mgle, niby w mlecznem morzu, i nie widziały siebie. Na przenikliwy odgłos dzwonka klękali przechodnie, jako się winno zawdy czynić, kiedy ksiądz idzie z Panem Bogiem.

Na dworze był jesienny przymrozek. Wiejskie, jak ciasto w dzieży, wymieszane błoto ścięło się i świeciło brudnymi kryształkami, które łamiąc się pod nogami, chrzęściały jak szkło stłuczone. Ksiądz poczuł zimno i spieszył, dyak kroczył przed nim poważnie i co dwa, trzy kroki — dzwonił. Tak przeszli długą ulicę i stanęli przy studni, obok szkoły.

7*

— To tutaj — oznajmił dyak.

— Tutaj? — powtórzył ksiądz, uważnie wsuwając się we wrota. Ździwiony był niepomału, że nikt nie wyszedł na jego spotkanie, że ani sąsiadów nie widzi, ni krewnych, ani lekarzy wiejskich, ni lekarek.

— Może to nie tu? — zawahał się.

— Tutaj, wiem dobrze, toć Skrechota chory. Wejdźmy!

I weszli. W chacie było cicho. Pusto, jak wymiótł. Pościel rozrzucona, ale chorego nie widać.

— Hej, jest tu kto? — wyhukiwał dyak, zaglądając do kuchenki i do świetlicy. Ale nikt się nie odezwał prócz drobiu na bantach.

Siedli na ławie i czekali. A tu i słońce zaświeciło, i mgła się podniosła na chłopa od ziemi. W tem słyszą z pola:

— Aciu, aciu do chlewa!...

Postąpili za próg i zobaczyli staruszka bosego, z pomierzwionem ponad czoło włosem, jak uganiał za podświnkami, chcąc je namówić, by zaszły do chlewa. Lecz one, widząc jego niemoc, biegały po całym podwórzu i miały widoczną chęć zaglądnąć do sadu, tembardziej, że płot był lichy, a furtka ladaco. Starzec wołał za niemi rękami i głosem, wlokąc bezradne i bezsilne nogi.

Ksiądz patrzył się na to chwilę, wreszcie się począł niecierpliwić.

— A co to wy — powiada — co wy se myślicie? Zwołujecie mnie z łóżka, nie wiedzieć poco i naco? Kto u was chory?

Stary popatrzył i przykiwnął głową.

— Ta to ja, proszę jegomości, to ja umieram.

— Co to, wy kpicie sobie ze mnie, czy co? Umiera i za bezrogami lata po całem obejściu...

— A jakże, proszę ojca duchownego... Jak wyszły, to trzeba zegnać. Poszłyby w ogród, albo do sąsiada... Aciu!...

Kto wie, jak długo jeszcze trwałby ten pościg nierówny, gdyby nie dyak. Ten położył na ziemi dzwonek i latarnię i podążył staremu na pomoc. Wieprzki, widząc przed sobą tak poważną osobę, dały się zaraz uprosić i zaszły do chlewa. Stary jeszcze raz skarcił je słowami ostro i zamknął drzwiczki na grabowy kołek. Teraz dopiero podszedł do kapłana i pocałował go w rękę.

— Niech też jegomość nie gniewają się na mnie. Bo jak to zwyczajnie — wyrwały się, to je trza pozganiać.

— Ja nie gniewam się na was — odrzekł ksiądz — lecz trudzić mię bez naglącej potrzeby, to niesumiennie. Wy przecież moglibyście w niedzielę przyjść do cerkwi i wyspowiadać się.

— Boże ty mój kochany! W jaką niedzielę! Ja przecież do południa, kto wie, czy dociągnę. Ciało mi cierpło, by spowiedzi doczekać. Bóg widzi, że nie kłamię.

— No, zobaczymy — mruknął ksiądz, wchodząc do izby.

Staruszek zaś poszedł do komórki, aby się przebrać. Wnetki wrócił biały i uczesany. Ksiądz nie spieszył się zbytnio, nie widział potrzeby. Rad zaś był pogawędzić ze starym, co umierając, świnie jeszcze chciał pozganiać.

— A dawno-ście wy chorzy? — spytał, siadając przy nim na ławie.

— O, dawno, dawno!... Tak niby boleć, to mnie nic nie boli, jeno siła ze mnie wyszła i już jej nie czuję. Siła wyszła, a niemoc wstąpiła i zimno jakoś wkrada się do piersi: wyraźnie śmierć.

— I wy tak sami?

— Nie sam, mam dzieci, dobre dzieci, grzech byłoby narzekać. Dziś żadne z chaty iść nie chciało. Obstąpili mnie i płaczą. Ale ja mówię: Poco tu te płacze? Idźcie każde do swojego. Mnie nikt nie ukradnie. A jak mam umrzeć, to i bez was umrę. Ty, Hryńku, powiadam do starszego syna, idź na Zmyjnę. Rola gotowa, dawno zasiać trzeba. Może przyjść pogrzeb, znowu się przeciągnie...

Ty, powiadam do córki, idź do miasta i kup, co potrzeba. Przyjdzie co do czego, to tu na miejscu u żydów dwa razy drożej. Synową posłałem do sąsiedniej wsi, aby dała znać swoim, a zięć miał pójść po księdza i wstąpić do cieśli. Zostałem oto sam i cicho leżę na pościeli, gdy wtem słyszę: podświnki się wypuściły. Patrzę przez okno — ryjkami wrota podnoszą. Trza je pozganiać — myślę se — i jakoś, Bogu niech będzie chwała, pozganiałem...

— No, i jakże wam, nie straszno przed śmiercią?

— Czego się mam bać? Nikomu człek życia nie skrócił, nikogo nie okradł. Przeżył swoje i wynoś się. To tak, jak ten najemnik na polu. Ukończył pracę — i hajda do chaty! Już drugi miesiąc, sprawiedliwie mówiąc, chleb święty trwonię. Siła uciekła, nic robić nie zdolę, a tak podaremnicy dzieci objadać, to niepieknie. I w gardło nie chce iść. Ot, Bogu dzięki, że koniec nadchodzi. Czego się mam bać? Dzieci na ludzi wyprowadziłem, wyposażyłem je, czem mógł, rozumu trochę przyuczyłem...

— Możemy zacząć?... — odezwał się pleban.

— Zacznijmy z Bogiem — szepnął starzec, żegnając się trzy razy.

* * *

Co tylko ksiądz powrócił do domu i brał się do śniadania' gdy z dzwonnicy odezwały się dzwony: Bam! Bam! Bam!

Stary Skrechota umarł.

Pszenica już zasiana, i podświnki w chlewie, córki z miasta tylko co nie widno — mógł spokojnie umierać...

SZCZĘŚLIWA GODZINA.

Muzyka grała, a miód się lał — to Gonczarze wesele sprawiali.

Nazjeżdżało się bogaczów pełna chata. Co, chata? — całe podwórze, jeszcze u sąsiadów wozy stoją i nocują goście.

Wrota rozwarte, drzwi także i naród płynie, jak fala. A stary Goncarz z flaszką w ręku chodzi i wszystkich częstuje.

— Pijcie, ludzie dobrzy, spożywajcie, co Bóg dał i weselcie się wraz z nami!

A Goncarzycha pomiędzy kobietami, jak paw chodzi. Nawieszała korali z dukatami, zakasała rękawy po łokcie i ciągle tę szalinową chustkę poprawia, a ludzi prosi:

Nno-no, swacho, a proszę, nie smućcie mię w taką radosną godzinę. A no-no!

Czasem zejdą się oboje i żartują:

— Och, stary! Drugich zapraszasz, a sam pijesz, popatrzże, jak twoje nogi tańczą!...

A on jej na to:

— Patrz pierwej na siebie. Gdzie twoja chustka, gdzie czepiec, gdzie twój wstyd, kobieto?...

Potem stają i razem proszą:

— Jedzcie sąsiedzi dobrzy i uprzejmi, jedzcie kochani goście nasi, nie objecie nas. Jest tyle dobytku, że dla wszystkich starczy.

A na nas nie gniewajcie się, że prosić nie umiemy, bośmy starzy i niedołęstwo już nam niedalekie.

Potem rozchodzili się znowu. On w izbę, ona do alkierza, i dalej prosili.

— Ależ bo tej uczcie końca nie widać! — mówił swat. — Już mię ręka od łyżki zbolała, nic, ino dźwigaj ją z miski do gęby i dźwigaj. Prawdę mówiąc, jakbym cepem do południa walił.

— A ja — dorzucił drugi — dalibóg z ławy nie wstanę. Tak, jakby mię kto do niej przymocował.

— Gdyby to w domu, to kazalibyście żonie, aby was na pościel trąciła i już.

— Kazałbym, ale tu nie godzi się.

— U mnie, moi wy mili — rzecze na to gospodarz — bądźcie jak u siebie w domu. Wszyscy my ludzie prości, zwyczajów pańskich nie znający. U nas: co w sercu, to na języku.

— A co na misce, to do gęby — dokończył Onyszko.

— O, już to Onyszko, jak co rzekną, to warto posłuchać — chwalił gospodarz i dalej szedł i dalej prosił ludzi.

Gwar rósł z każdą nową misą, z każdym kieliszkiem. Każdy chciał mówić, a słuchać nie było komu. Mówili o wszystkiem — tylko o chłopskiej biedzie najmniej, bo to rodzina bogaczów, bo to pierwszy gazda we wsi swoją ostatnią córkę zamąż wydaje. Zrazu mówili o wszystkiem, a potem jęli się chwalić. Chwalili się polem, bydłem, dziećmi i Bóg wie czem.

— Nasza wieś — mówili jedni — choć nie bogata, ale za to piekna i najmilejsza ze wszystkich.

— A u nas znowu są wielkie porządki. Co prawda, to prawda, ale takiej szkoły jak nasza, to nawet i w mieście niema. Albo sklep, co? Widzieliście?...

I tak w nieskończoność.

A potem przyszła kolej na cerkiew i księdza.

— Nasz jegomość taką słodką mają wymowę, jak miód. Nigdy wam inaczej nie przemówią, ino: duszko lub kochanku. A w cerkwi to jeszcze nie rozpoczną kazania, a lud płacze. Taki już sposób mają.

— Nasz znowu, daj im Boże zdrowie, pieknie śpiewają. Jak pociągną, to tak, jak gdyby z pod ziemi głos wychodził, aż po nogach łechce. A potem jak podniesą, jak zakręcą, zadzwonią, to jak gdyby pod kopułą ptak śpiewający zawisnął i Boga pieśnią wysławiał... Pieknie śpiewają!

— Nasz staruszek, niech mu Bóg jeszcze kilka lat życia udzieli — to znowu kadzi; strach, jak kadzi!... Jak zacznie kadzielnicą wywijać, fu, fu, fu, to cała cerkiew dymem się napełni, aż w nosie kręci. A naród kicha, jakby tabaki zażył — to ci kadzenie!

Potem chwalono dyaków i poddyaczych, wreszcie i kościelnych, za to, że umieją dzwonić.

— Razu jednego zachorował nasz kościelny i począł dzwonić grabarz. Ale dzwonił niezgrabnie. Odrazu nie podobało się ludziom to jego dzwonienie. Mówią mu, aby tak dzwonił, jak kościelny, a ten na to, że tak, jak on, to lepiej. I pewnie, że lepiej, ale nie dla ludzi, tylko dla niego. Bo co jednemu na śmierć zadzwoniono, to drugi na pościel lega. Pogrzeb za pogrzebem idzie. Najstarsi takiego pomoru nie pamiętali i to tak bez żadnej racyi, bo choroby żadnej nie było. A pomyślcie ino, ile on od każdej jamy bierze?... Domyślił się naród wszystkiego i takiej zawziętości nabrał, że go raz jak psa pod dzwonnicą zabić chciano, aż jegomość z pokojów wybiegli i uratowali złodzieja. Na szczęście kościelny wyzdrowiał, i co wy na to powiecie, jak tylko dzwonić począł, zaraz we wsi, jakby ręką odjął, mór odszedł.

Gwarzyli, a słońce staczało się na dół, aż snopem na podłogę legło, jakby i ono na wesele przyszło.

A wtenczas największą radość miały dzieci. Koniecznie chciały je w swoje drobne garście uchwycić.

— Sitem, dzieci, sitem, — wołali starzy.

Dzieci przyniosły sito i płakały, że słońce z niego ucieka.

Wtem na podwórzu ozwała się muzyka. Potrójna. Stary Tir, rozsiadł się jak jaki pan, ujął bas przed siebie i huczy: butum, butum, butum bas!...

A Toma nogą przytupuje i w rzeszotko kułakami wali, albo palcami po niem jeździ.

Ale najładniej ślepy Stach wygrywa. Przechylił głowę, jak sroka do słońca, tem jednem okiem gdzieś po niebie błądzi, a smyczkiem ciągnie, a palcami po szyjce przebiera... Boże! I płacze ta skrzypka i śmieje się, jak dziecko, aż serce ku niej rwie się. Ile wsi dokoła, nigdzie takiego grajka niema, takiego muzykanta.

A tu tymczasem tyle młodzieży się naszło, tyle dziewcząt, co kwiatów na łące — pełne podwórze. Dzieci płoty obsiadły, jak wróble, i myślą sobie po cichu, kiedy to one tańczyć będą. Niektóre już i nie czekają, próbują zawczasu.

— Patrzcie-no ludzie dobrzy, jak one drepcą, jak się na pięcie wykręcają, jak stare!...

Na murawie dwoje dzieci tak zawzięcie tańczyło, jakby to dla nich wesele zrobiono.

— A zawołajcież gaździnę. Niech wyjdzie i zobaczy, jakie to teraz czasy, jaki tańcujący naród.

Wyszła gaździna i w dłonie klasnęła.

— Ach, wnuczętaż wy moje kochane, bodajby ja waszego wesela doczekała, bodajbym was do ślubu wyprawiała!...

Przywołała synów, córki i wszyscy się dziwowali, jakie to teraz dzieci mądre.

— Świat mądrzejszy, moiściewy, i dzieci mądrzejsze — zawyrokowali starzy.

Tańczą dzieci, muzyka gra, a słońce się śmieje. Ile promieni, wszystkie tu zebrało, aby oświetlić tę radosną chwilę.

— Tak mi dobrze — mówiła Gonczarycha ludziom — tak mi wesoło, że wszystkich do sercabym garnęła...

I chodziła po podwórzu, i całowała synów, córki, synowe i zięciów, od najstarszego do najmłodszej.

— Gdybyście wy wiedzieli, jak ja was miłuję!... Serce dla wasbym dała... I ciebie, Mykoło — mówiła zwracając się do pana młodego — i ciebie też kocham... A wy ludzie nie dziwcie się, że za najmitę nasza córka idzie... Pokochali się, to niech z Bogiem żyją... Pieniędzy nam nie trzeba, mamy ich dosyć. Powiadam wam: takam szczęśliwa, że wytrzymać nie mogę... Ano, muzyko, graj!... Niech i ja sobie taniec zbaczę!... — i wysunęła się na ubitą, wytańczoną ziemię. Wszyscy ustąpili się, a ona we środku, do muzykantów twarzą zwrócona, stanęła.

— Opamiętaj się stara! — krzyknął Goncarz. — Uważaj, bo kości potracisz, a co potem na dolinie Józefata będzie?...

— E-et, co ty wiesz... — odparła, biorąc się pod boki. — Zagrajcie mi drobniutkiego, tego z pod samego serca.

Rozpłakała się skrzypka, bas huknął, brzęknęło rzeszotko, aż szyby w oknach zadźwięczały.

Patrzą się ludzie, co to będzie, obstanęli kołem, a Goncarzycha w środku. Pod boki się ujęła, głową kręci, nogami przebiera:

Szczasływaja hodynońka
    De schodiat' sia dity.
Syny moi, jak hołuby
    Deż meni was dity?
Syny moi, jak hołuby
    Doczky — perepiłky,
Ziati moi, jak sokoły,
    Newistki — sokiłky.

Ciągnął się głos jak cieniutka, lniana nić na wietrze, który w jesienne południe nad ściernią przelata. Ciągnął się, snuł i splatał całą tą liczną rodzinę, serce ze sercem. A naród wydziwić się nie mógł, skąd stara Goncarzycha takiej pieśni i takiego głosu dobrała.

— Zaśpiewajcie nam jeszcze raz, matulu, — prosiły dzieci.

— Zaśpiewajcie raz jeszcze! — domagali się goście, nawet muzykanci chcieli, aby powtórzyła. Ale nie powtórzyła.

— Raz w życiu taka szczęśliwa godzina... — powiedziała głosem cichym i zalała się łzami.

PO LATACH WIELU.

Dzwoniono na nieszpory i lud ciągnął do cerkwi, gdy na skręcie murowanej drogi rozległ się turkot kół. Chude konie, powóz jak arka Noego, woźnica żyd — słowem, jeden z tych staroświeckich fiakrów, kursujących pomiędzy naszemi głuchemi miasteczkami, a dworcami kolejowymi. We wsi, leżącej przy trakcie, nikt nie zwracał uwagi ani na fiakra, ani na podróżnego, który rozparł się na starem, wytartem siedzeniu i ciekawie spoglądał dookoła.

Był to trzydziestoletni mężczyzna, przystojny, z powierzchownością człowieka światowego.

Tem dziwniej, że tak bardzo obchodziła go każda wiejska chata, każde drzewo przy drodze, że tak pilnie, z takiem żywem zajęciem przypatrywał się wszystkiemu swojemi rozumnemi, siwemi oczami. A kiedy oczy te spoczęły na starej cerkiewce i na plebanii, pomiędzy rozłożystemi lipami, to zdało się, że podróżny radby niemi przebić te białe, ciche ściany i zajrzeć do wnętrza.

— Pr-roszę pana! — odezwał się woźnica. — Tu jest karczma dobra i zajazd, trzeba spocząć.

— Co? Spocząć? Znowu popas? Czy co godziny będziemy popasać?...

— Jakto co godziny? — bronił się żyd. — Jedziemy już trzy i nie popasamy.

— Hou! Stań trochę! Słuchaj-no chłopcze! — zawołał podróżny do przechodzącego wyrostka. — Powiedz mi, kto u was proboszczem?

— Co-o?

— Kto u was proboszczem, pytam się?

— Nie wiem! — odparł chłopak.

Tu wdał się w rozmowę woźnica.

— A to głupi chłop, on nie wie, kto u nich księdzem.

— Księdzem u nas młody »jegomost'«. Gdzieżbym nie wiedział! — odparł chłopak obrażony, i poszedł dalej.

Dopiero jakiś stary gazda, podchodząc, objaśnił, że stary ksiądz umarł i że teraz nastał młody, zięć nieboszczyka, ten, co ożenił się z panną Halą.

Jak się nazywa — też nie wiedział.

— Jakoś tak dziwniutko: Jur... Jur... Niedawno przyszedł i jeszcześmy nie zdołali spamiętać.

— Może Jurczak? — pomógł mu podróżny.

— To, to! Jurczak, panie, Jurczak.

— Czarny i nizki, prawda?

— Tak, tak, tak, panie! Nizki, taki jak ja, a może trochę niższy.

— No, to ten sam. Zawracaj na probostwo! Dziękuję wam, ojcze!

Wóz cicho wtoczył się na podwórze, a bywałe konie od razu skręciły pod bróg świeżego, pachnącego siana. Podróżny zlazł, otrzepał ubranie z prochu, poprawił kapelusz i puścił się ku werandzie.

Na podwórzu było cicho. Tak cicho, jak tylko na wsi w niedzielę być może. Prawdziwy dzień spoczynku. Nawet psy gdzieś się podziały i nikt go nie witał.

Wszedł do ogródka i tu również cicho.

Ścieżki wystrugane, niewydeptane, po nich wróble skaczą ze świergotem. W trawie chrząszcz brzęczy, a z grządek, jak z amfory, rozlewa się woń rezedy i lewkonii. Pomiędzy lipami drzemie milczący dom.

Odemknięte okienko chwieje się ledziutko, ale nikt przezeń nie wygląda. We wnętrzu domu też cicho. Aż oto wypłynął szelest. Ktoś szedł, ktoś fortepian odemknął i ręce położył na klawiszach.

Zmieszane, niepewne akordy, urwane, ledwie poczęte melodye, a potem przejście, jeszcze kilka tonów — pauza — i smutna bardzo, a głośna muzyka Bramsa.

Gość cicho wstąpił na ganek i stanął w cieniu dzikiego winogradu. A muzyka falami toczyła się przez otwarte okno, wypełniając cały ogród, zlewając się z zapachem kwiatów, z błękitem nieba, z niezrównaną harmonią pogodnego, letniego popołudnia. Dziwna muzyka. Słyszał przecież najsławniejsze koncerty we świecie, ale ten, wiejski, wywarł na nim najmocniejsze wrażenie; wprost oczarował go, tęsknotą otoczył, wspomnieniami owiał i do głębi wzruszył.

Skończył się krótki piąty taniec. Ostatnie tony umarły same w sobie; nie wybiegły przez okno, nie rozwiały się w przestrzeni, lecz skonała ta dziwna muzyka w agonii swoich własnych tonów, jak kona wieczór w agonii barw.

Cicho. Znowu rezeda, lewkonie, znowu łagodny nadwieczorny gorący błękit, znowu wielka symfonia przyrody. Zapomnieć się można. A tego nie chciał. Nie! Za żadną cenę! Każdej chwili mógł kto wyjść, zobaczyć — opamiętał się i ujął za klamkę.

Na widok gościa od fortepianu podniosła się postać smukła, niemal rozwiewna. Na twarzy widać wzruszenie, wywołane grą. Na policzkach wypieki, w oczach, jak stawy głębokich, dziwne ognie. Zdziwienie. Na czole zarysowuje się niby zmarszczka gniewu,

usta zacinają się, jak gdyby w złości, że pamięć nie dość prędko wiąże się i działa.

— On, czy nie on?...

Gość ukłonił się i stał w milczeniu. Obejmował ją wzrokiem. Była ta sama. Ta, co przed latami. Tylko kształty jej rozwinęły się i wyrównały, a przytem, rzecz dziwna, nic nie utraciły z dawnego uroku. Wiał od niej smutek, czar, melancholia.

Poznał ją — i ona go poznała. To był on... I teraz zamiast zmarszczki gniewu zjawił się na jej twarzy jakiś nieokreślony wyraz przestrachu, jakieś rozpaczne postanowienie koniecznej samoobrony wobec groźnego, niespodziewanego wroga, który szedł ku niej, dobrze jej znaną, choć chwilowo zapomnianą, niepokonaną mocą.

— Poznała mię pani? — zapytał po chwili, kiedy milczenie poczęło jej i jemu ciężyć.

— Tak, to pan... Panie Iwański... Rzadki gość... Witam pana.

W jej słowach przebijał się wymuszony spokój.

— Proszę bliżej... — podała mu rękę.

Iwańskiemu zdawało się, że ta ręka z płomieni i że iskry idą z niej po żyłach. Podniósł ją do ust.

— Siadaj pan. Proszę. Pozwoli pan papierosa? Prawda? Oto tytoń. Ja zaraz wrócę.

— Niech pani nie odchodzi. Ja... zaraz odjeżdżam. Wstąpiłem tylko na chwilę... po drodze... zanim konie wytchną.

— Domyślam się. Ale puścić pana nie mogę. Co powiedziałby na to mój mąż? Jesteście przecież przyjaciółmi.

— Tak, przyjaciółmi... — powtórzył nieswoim głosem.

— Mąż mój jest w cerkwi na nieszporach, a potem czeka nań pogrzeb, wszystko to jednak nie potrwa długo i za godzinę, spodziewam się, będzie. Nie uciekajże pan! — dodała, wychodząc z pokoju.

Iwański został sam. Chciał otrząsnąć się z pierwotnych wrażeń, lecz nie mógł. Człek światowy, jak mówią, który we wszystkich stosunkach umiał być swobodnym, gładkim, tu tracił pewność siebie i nie wiedział co i jak mówić. I po raz setny w życiu poznał, że nad kulturę, nad ogładę, nad wszelką sztukę życia, jest coś większego — samo życie.

Wracał z zagranicy, gdzie kończył studya. Jechał do poblizkiego powiatowego miasta, aby objąć dobre, »wysokie« miejsce. Po wielu latach bezdomnej tułaczki okręt jego życia miał zawinąć do cichej przystani. Lecz w tej oto chwili stracił nadzieję, aby ta przystań mogła być spokojną. I żałować począł chwili, która go tu, do tego domu przywiodła. Poco? Poco wstępował w te stare, dobrze znane progi? Ale cicho! Bo myśli odbijają się na twarzy, a on za żadną cenę nie chce okazać po sobie, że jest wzruszonym, przybitym, może nieszczęśliwym. Za żadną cenę. Wstał i począł oglądać dobrze znany pokój.

Jak wesoło, jak jasno tu było przed latami. Rozbrzmiewały śpiewy i ożywione rozmowy, czasem pary wirowały w żwawym tańcu. Ojciec jego mieszkał w sąsiedztwie, a tu mieszkali rodzice Heleny. Podczas wakacyi obydwa domy zlewały się w jeden. Tygodniami całymi bawił Iwański u rodziców Hali, z jej braćmi, z nią.

Gdzie się to wszystko podziało?

I wspomnienia tych dawnych, a niedawnych czasów leciały do pokoju tłumnie, jedne przed drugiemi. Wciskały się przez okna, wysuwały z kątów, z pod obrazów, nawet z pod podłogi. Cichutko opadały z sufitu i szczelnie wypełniały izbę. Iwański nie mógł się przed niemi obronić, stał, wsparty o fortepian i podał głowę wspomnieniom.

Tak zastała go dawna panna Hala. Spojrzała nań i zdało mu się, że zajrzała mu do serca.

— Opowiedzże pan teraz, co pana do nas przyniosło — mówiła tym samym wymuszenie spokojnym głosem, wskazując mu miejsce obok siebie.

Zamiast odpowiedzi, przytoczył żartobliwie słowa znanej pieśni:

Oj, co ciebie przyniosło, przyniosło, przyniosło?
Czy kary koń, czy wiosło, czy wiosło, czy wiosło?...

— Przyniosła mię, proszę pani, ironia losu — tego wszechmocnego losu, który każe żyć człowiekowi żywemu, na cmentarzu, tam, gdzie pogrzebiona młodość jego, gdzie wspomnienia sterczą zewsząd, jak białe, zimne głazy.

Spojrzała nań tym samym wnikającym wzrokiem.

— Jak widzę, poetyzuje pan zawsze! Ani świat, ani życie nie zmieniło pana.

— Z żalem wyznać muszę, że tak. Myślałem, że życie, to wielka szkoła i że ta szkoła nauczy mię być człowiekiem rozsądnym. Uczyłem się przecież tak pilnie. Lecz niestety, nauka moja poszła na marne. Przed panią wolno mi przyznać się do wszystkiego. Jest pani przecież moją dawną, dobrą znajomą, moją towarzyszką, moją... Pani pierwszej czytałem moje wiersze, przed nią spowiadałem się ze wszystkich moich marzeń młodzieńczych i rojeń. Razem czytaliśmy książki, razem snuli różowe plany przyszłości. Razem...

I rozpoczęły się wspomnienia. A wspominali szczerze, jak dzieci, nie licząc się ze słowami, nie kryjąc swego wzruszenia. Coraz to szczerzej.

Ona przyznała się, że po odjeździe jego, było jej bardzo smutno, że pilnie chwytała wszelkie wieści o nim, lecz wieści te z każdym miesiącem malały, aż wkońcu zupełnie przestały do niej dochodzić. Potem umarła matka, zostawiając ojca starego w chorobie. W domu ich zrobiło się głucho, jak w mogile. Potem... potem przyjechał Jurczak, i ona wyszła za niego.

Ostatnie słowa wymówiła ciszej, tak cicho, że nie zmąciła niemi tej wielkiej ciszy, która ich otaczała. A był w niej i gęsty zapach rezedy i lewkonii i wieczorny, ciężki, choć przygaszony skwar letni i ten perłowy zmierzch, który, jak powódź zalewał izbę, i jak fale, obejmował ich i łączył z sobą. Czuli, że tracą świadomość i siłę panowania nad sobą, a poddają się tajemniczej mocy, która w kształt mgły nieuchwytnej krąży między nimi...

— — — — — — — — — —

W cerkwi ozwały się dzwony. Ona zerwała się pierwsza. Wzruszenie odjęło jej mowę, więc tylko spojrzała na niego, jakby spojrzeniem tem chciała ratować siebie i jego, dodać siły i woli. Potem spiesznie wybiegła z pokoju. Kiedy wróciła, była blada, ale już spokojna. W szarej, pod szyję zapiętej sukni, z włosami gładko uczesanymi, wiotka i zadumana, dostrajała się zupełnie do tego zmierzchu szarego...

Na struny upadł pedał ciężki i zgłuszył tony, które po długiem milczeniu ozwały się były tak silnie, głośno, burzliwie...

Z cerkwi wracali ludzie. Każdej chwili mógł wejść i ksiądz Jurczak.

Więc usiadła przy fortepianie i znowu zagrała swego ulubionego Bramsa. A była w tej grze jakaś okrutna tęsknota i żal, który już przestaje być żalem, a staje się obłąkaną, prawie szaloną rozpaczą.

Skrzypnęły drzwi i w progu ukazał się ksiądz Jurczak.

— Cud, cud, cud! — wołał, idąc na spotkanie gościa. — Kopa lat! Kopa lat! Witaj kolego! Zrobiłeś mi prawdziwą niespodziankę!...

Równocześnie prawie zwrócił uwagę na żonę.

— Dajże spokój z tem swojem graniem! Świętej pamięci rodzice będą mieli grzech za ten fortepian. Powiadam ci, kolego, istna męka... Lepiej idź do kuchni i przygotuj kawę.

Żona wyszła, a on ciągnął dalej.

— Proszę cię, poco mi tego klawikordu? Zapłacili za niego coś 500 złr., czyż to nie szkoda? Dwadzieścia pięć reńskich procentu, a w gospodarstwie nawet więcej. Głupie wymysły.

Na ten temat mówił dalej, aż wróciła żona, a za nią służąca wniosła przybory do kawy.

— O! tak, to rozumiem! To lubię! Ale przed kawą podaj nam nalewki. Tej z poziomkami, wiesz... Znakomite nalewki robi moja żona... — dodał nie bez pewnej dumy.

Ale gość nie odpowiadał. Milcząc, wpatrywał się w oblicze Jurczaka, czerwone, pełne, ociekające potem. Wewnętrzne zadowolenie malowało się na tej twarzy, jakieś, można rzec, fizyczne szczęście biło z tych maleńkich, szarych oczu. Mówiły one, że w tej istocie zawarto trwały pokój pomiędzy duchem, a ciałem i że żadna ze stron sprzymierzonych nawet nie myśli rozpoczynać walki. Bardzo im dobrze z tym trwałym pokojem.

— Opowiedz nam teraz, kochasiu — począł Jurczak, odsuwając próżną filiżankę — jakim to cudownym sposobem przybyłeś w nasze strony z takiego dalekiego wielkiego świata?

Iwański, chcąc nie chcąc, powtórzył to, co na wstępie powiedział pani Jurczakowej. Ale powtórzył sucho i bez serca. Jurczak swoim zwykłym sposobem podtrzymywał opowiadanie:

— Aha! Tak, tak! No i cóż dalej?

— No i nic — kończył gość — teraz oto jadę na posadę...

— To znaczy — przerwał Jurczak — że teraz dopiero dobijasz się szczęścia! A my, braciszku, bez pogoni za szczęściem dawno jesteśmy szczęśliwi! Samo nam do rąk przyszło. Czyż nie prawda, kochanko?

Żona nic nie odpowiedziała. On pogładził ją lekko po twarzy, a Iwańskiemu zdało się, że to jego zgrzebłem po sercu gładzą.

— Teraz, przyjacielu, pójdziemy oglądnąć moje gospodarstwo. Co? Dobrze? Wieczór, jak na to, prześliczny.

Gość wypraszał się; mówił, że ksiądz musi być zmęczony, przyznał się nawet, że na gospodarstwie nie rozumie się wcale, ale nic nie pomogło. Gościnny gospodarz koniecznie pragnął pochwalić się swem szczęściem.

— Oto stajnia na bydło! W całym dziekanacie niema takiego bydła. Czyste szwice. W zeszłym roku marszałek zapłacił mi za roczną jałóweczkę 100 złr. Nie wierzysz? Spytaj się żony. A to moje paradyery. Wojskowe wprawdzie, ale jakie konie!... Bo to, rozumiesz, koło interesu trzeba umieć chodzić, aby było i tanio i dobrze. A to moja stodoła. W tym roku zaledwie czwartą część wszystkiego zboża zmieścić mogła, bo musisz wiedzieć, że oprócz plebańskiego pola mam jeszcze i wynajęte. Mówią, że rola nie rentuje się. Kłamstwo! Jeszcze jak się opłaca! Ale trzeba umieć chodzić koło niej, trzeba być dobrym, dobrym gospodarzem...

Słowa »dobrym gospodarzem« wymówił jeszcze z większą dumą, niż wtenczas, kiedy żonę za nalewki chwalił. Obejrzawszy oborę, wracali zwolna do domu. Gościnny gospodarz mówił po drodze:

— Na drugi rok na miejscu tej oto rudery, stanie domek, jak pudełeczko. Pokażę ci plany. Wszystko już gotowe. Konkurencya rozpisana, ugoda z dostawcami zawarta, słowem — wszystko. I to, kochasiu, nie każdy z nas potrafi. Nie jeden mieszka, daruj za słowo, jak w chlewie. Bywają plebanie gorsze od moich stajni. Nie wierzysz?...

Iwański ani myślał przeczyć. Był on zupełnie czem innem zajęty. Na słowa gadatliwego kolegi prawie nie zwracał uwagi. Zajęty był inną mową — tą, która płynęła ze strun, z pod jej palców.

W nieobecności męża, ona dalej grała, a Iwańskiemu zdawało

się, że ten czarny i martwy instrument, to jej jedyne lekarstwo, ostatnia deska ratunkowa, jedyny powiernik biednej nieszczęśliwej duszy.

I zrobiło mu się na sercu tak ciężko, że chciał płakać, przeklinać, słać protest do nieba i świat cały wyzywać do nierównej walki.

— Jak widzisz, przyjacielu, powodzi mi się jednem słowem dobrze, a byłoby jeszcze lepiej, gdybym miał żonę gospodynią. Tak, tak! Ja wcale na nią nie narzekam. Broń Boże! Cicha jest, spokojna, mało wymagająca. Balów się jej nie zachciewa, ani żadnych wizyt. Ale, jak to mówią, mąż i żona nawet sen jeden mieć powinni. Prawda?

— Prawda! — odrzekł Iwański, z trudnością kryjąc wzruszenie. — Masz słuszność! Mąż i żona nawet sen jeden mieć powinni.

Siedli na ławie pod lipą. Z domu dolatywały do nich dźwięki fortepianowe. Raz przewlekłe, tęskne i melancholijne, to znowu silne, burzliwe, jak żal, który przestaje być żalem, a staje się obłąkaną, prawie szaloną rozpaczą...

Na dworze robiło się coraz ciemniej.

IWAN ŁYPA

MORZE ROZDZIELIŁO.

* * *

Wstąpiwszy na pokład małego parowca, spostrzegłem kilku więźniów z lekka pobrzękujących kajdanami. Przyzwyczajeni jesteśmy do takich rodzajowych obrazków: nieraz widujemy te blado-żółte aresztanckie oblicza z pieczęcią kamiennej obojętności dla całego świata. W tej chwili jednak zdziwiony byłem jakąś radością, życiem jakiemś, bijącem z twarzy wszystkich aresztantów. Zdawało się, że byli szczęśliwi... Z utęsknieniem patrzały ich oczy w mglistą dal morską, pełnemi piersiami wciągali oni świeżością nasycone morskie powietrze, i nawet ruchy ich były dużo żwawsze. Nieco później zrozumiałem, że w tej chwili naprawdę czuli się szczęśliwymi, ale to ich szczęście trwało krótko, małą chwilkę tylko. Byli oni pijani świeżem powietrzem, zaciekawieni nowem otoczeniem i nowymi, wolnymi ludźmi, których, żyjąc w tiurmie, jak w mogile, już dawno nie widzieli.

Szerokie morze, szum kół parostatku, czółna snujące się dokoła, ludzie, uwijający się na pokładzie, słowem cały ten gwar, cały harmider w połączeniu z porankiem wiosennym dokazały niemałego cudu — niewolników uczyniły na chwilę wolnymi. W tej chwili nie słyszeli oni brzęku swoich kajdan, choć nawet we śnie nie zapominali o nich.

Było ich pięciu; »etapem« odsyłano ich na wielki statek. Wszyscy średniego wieku, z wyjątkiem starca jednego, który pomimowoli zwracał na siebie uwagę. Patrząc na niego, nie mogłem pojąć, jak on może być zbrodniarzem, on, który z taką trudnością wlecze za sobą kajdany. I w jego twarzy nie było nic zbrodniarskiego. Było to oblicze przeciętnego staruszka, z zagasłemi oczami, z małą zwichrzoną bródką. Kiedy się śmiał, twarz jego przybierała wyraz bardzo miły. Był mały, a do tego nieco przygarbiony.

Moja dziwna natura ciągnie mię zawsze na stronę słabszego. Może to stąd pochodzi, że sam od maleńkości zaznałem wiele bied, może stąd, że matka moja, opowiadaniami o swojej niedoli wzbudziła we mnie współczucie dla cierpiących, a może — że oj cowie moi byli zbiegami; zbiegli, usuwając się od pańszczyzny, do Chersonu i Taurydy.

Cały nasz ród był jakiś nieszczęśliwy, ród ludzi bez prawa, dla których miejsca nie było na szerokiej ziemi.

Na wszelki sposób pragnąłem pomówić ze staruszkiem, powiedzieć mu choć jedno ciepłe słowo, a jeżeli można będzie dowiedzieć się, jaką zbrodnię popełnił. Straż okazała się tym razem dość ludzką i nie zakazywała rozmów z aresztantami.

Rozgadaliśmy się zwolna. Dziad z gadatliwością starca opowiadał o sobie, aż przybyliśmy do rejdu.

— Widzi pan — mówił wskazując na swoje kajdany — przez głupią głowę i nogi nie mają spokoju, gdyż jeno przez swoją głupią głowę zmarnowałem całe swoje życie. Nie, chodź pan tu, do bortu, opowiem panu wszystko.

Podszedłem, oparłem się o poręcz i słuchałem, jak dziad, spoglądając na morze, mówił:

— Miałem ja kiedyś i chatę i pole, choć niewiele, ale swoje, Chłopcem straciłem ojca i matkę. Za życia matki starsza moja siostra wyszła za mąż, przyjmując męża na nasze gospodarstwo.

Od maleńkości nawykłem pracować dla rodziny. Po śmierci matki siostra ostała gospodynią. Pracuję ja dla niej i dla jej dzieci. Wyrosłem. Jednego razu, jesienią, mówię do siostry: »Swaty słać umyśliłem«. A siostra na to: »Młodyś jeszcze, poczekaj parę czasów«. Widzę ja, że siostrunia nie chce ojcowizny dzielić, i radaby abym nie dla siebie, ale dla jej dzieci robił, więc uparłem się: »Poszlę i koniec!« Aż oto siostra tak sprawę powiodła, że dziewczyna moja sama mi odmówiła i jeszcze tej jesieni za drugiego wyszła. Przykro mi było tem bardziej, że od rodzonej siostry takiej krzywdy doznałem.

— Nie chce, myślę ja sobie, abym miał własną rodzinę, szczęścia mi nie pragnie. A może łakoma taka, a może za durnego mię uważa?

Co począć teraz? Dumałem długo, długo chodziłem, jak w gorączce. Siostrze nic nie mówiłem, ale sama ona spostrzegła, że dowiedziałem się o jej robocie. Obrzydła mi własna chata, a na siostrę nawet spojrzeć nie mogłem. Kiedy ją tylko zobaczę, krew mi do głowy uderza. Widzę, że mi tu szczęścia nie będzie, więc aby grzechu na sumienie nie brać, wystarałem się o paszport i, plunąwszy na wszystko, poszedłem szukać szczęścia na obczyźnie.

— Błąkał się mój dziad i mój ojciec po dalekim świecie, to widocznie i mnie podobny los czeka.

Poszedłem. Nawet z nikim się nie pożegnałem. Opuściłem ojczystą zagrodę na długo.

Odetchnął i mówił dalej:

— Włóczyłem się po świecie. Byłem w Krymie, byłem na Kaukazie, a pod koniec swego wolnego życia przybyłem do Moskwy. Tu pożegnałem się raz na zawsze ze swoją wolnością. Było to tak. Wydałem wszystkie pieniądze. Żebrać, wstyd, bo zdrów i młody byłem.

Sprzedałem więc, co się dało z ubrania, zostawiając to tylko,

co do przykrycia ciała było koniecznie potrzebne. Czy znacie wy paniczu »Chytry rynek« w Moskwie? Otóż tu zaskoczyło mię nieszczęście. Słuchajcież!

Starzec spojrzał na mnie i był widocznie rad z tego, że słucham go uważnie.

— Błądząc po tym rynku, wstąpiłem do traktyerni. Miałem jeszcze dwa karbowańce, które mi ze sprzedanej odzieży zostały, a których, jak oka w głowie, strzegłem. Ale głód, mój panie, to nie żarty! Zachciało mi się barszczu, jak przed śmiercią. Przychodzę do traktyerni, siadam sobie w kąciku, przy stole i każę podać barszczu. Trochę później przychodzą dwaj parobcy i siadają przy moim stole. Jemy i rozmawiamy.

W szczerości wygadałem się o swojej biedzie i o bezrobociu.

— O, w Moskwie trudno znaleźć pracę — powiada jeden, — a tem trudniej, jeżeli kto niema przy sobie paszportu.

— Co mi tam paszport! Drugi miesiąc włóczę się z nim, a roboty dostać nie mogę. Wytraciłem się tak, że nie mam za co do domu powrócić. Patrzcie na mnie. Wyglądam, jak dziad. A gdzież to ja tak bogato ubrałem się, jak nie tu!... Za nic na marne schodzę.

— Tak, tak — powiada mi ten sam — aż żal mi patrzeć na ciebie. Chętniebyśmy ci pomogli, ale jesteśmy rzeźnikami i pracy u nas niema wiele. Ale, wiesz co? Przyjdź jutro do rzeźni — na bazarze — wiesz? — może my co dla ciebie wyszukamy.

A pokażno swój paszport.

Uradowany wydobyłem paszport i podałem im.

— Tak, tak — odpowiada znowu ten sam. — Paszport nie przedawniony, dobry. Przyjdź jutro. No, a teraz, przysuń się do nas, zapijemy sprawę. Nie bój się; my fundujemy, a jak pieniądze zarobisz, to wtenczas ty nas będziesz gościł.

Z początku wymawiałem się, a później pomyślałem sobie:

Może oni rzeczywiście ludzie uczciwi, może dla mnie robotę znajdą, kto wie...

Wypiliśmy flaszkę. Nie upiłem się. Słucham, naradzają się, czy drugą zamówić. Myślę ja sobie: I mnie też wypada jedną postawić. Może Bóg pracę poda... Kazałem podać flaszkę. Wypiliśmy po kieliszku, wypiliśmy po dwa, tak mi się wesoło zrobiło na duszy, takie szczęśliwe myśli krążą mi po głowie, a rzeźnicy zdają mi się takimi dobrymi ludźmi, że mało nie począłem ich całować z rzewności. Później zrobiło mi się w głowie niewyraźnie, szaro, tak, że z trudnością słuchałem, co koło mnie mówią... Tylko, dotychczas pamiętam, spać mi się bardzo chciało, Mocuję się ze snem ale trudno. Sama głowa do snu się chyli.

— Co za licho? — myślę — nie wypiłem wiele, a już mię usypia. Oparłem głowę na stole i twardo zasnąłem. Musiałem spać dość długo, bo miało się już pod wieczór, kiedy mię gospodarz zbudził — a ja przecie przyszedłem na obiad.

— Tu — powiada — gospoda. Tu spać nie wolno.

Zbudziłem się i przypomniałem wszystko. Patrzę — towarzyszów moich niema. Szukam »moszonki« niema. Przykro mi się zrobiło. »Okradli mię« — pomyślałem.

— Gdzież oni? — pytam się po cichu gospodarza. — Kto mi pieniądze zabrał?

— Jakie tam pieniądze? — odpowiada tenże — Patrz, co ci z rąk wypadło!

Patrzę — na podłodze leży moja »moszonka«. Wyciągnąłem ją widać, chcąc płacić i, ścisnąwszy w pięści, zasnąłem. We śnie pięść widać rozwarłem i woreczek wyleciał. Ucieszyłem się nim bardzo, choć jeszcze nie zupełnie byłem oprzytomniały; coś niby dym niejasny zalegało mi głowę.

— Ile się wam należy? — pytam gospodarza.

— Dziesięć kopiejek za barszcz.

O wódce nie wspomina. Więc biorę resztę, liczę, myśląc, że zapomniał, i że wnet sobie przypomni. Przeliczyłem, wychodzę...

Ode drzwi pytam jeszcze:

— A za wódkę oni zapłacili?

— Tak — odpowiada — towarzysze twoi zapłacili. Nie chcę ludzkiej krzywdy.

— Cudności! Jacy tu dobrzy ludzie! — pomyślałem.

Na drugi dzień poszedłem do rzeźni. Rozpytuję się, szukam, niema. Nawet nazwiska ich nikomu nie są znane. A ja je dobrze zapamiętałem i nie przekręciłem, nie. Poszedłem drugiego dnia — niema, trzeciego — niema.

— No — myślę sobie — albo szczęścia nie mam, albo mię ocyganili.

Po jakimś czasie dopiero spostrzegłem, że mi brak paszportu. Zgubić go w żaden sposób nie mogłem, nic innego, jeno mi go ci rzeźnicy mniemani ukradli. Nie nadarmo brali go odemnie i częstowali mię wódką.

Dowiadywałem się i w gospodzie o rzeźnikach i o paszporcie.

— Rzeźników — powiada gospodarz — nie znam, a paszportu nie widziałem«.

— No — myślę sobie — bierz cię licho! może jakoś i bez paszportu pieniędzy trochę zarobię, a wtedy się puszczę dalej, albo do swoich stron.

I żyłem jakoś. Nocowałem w noclegowym domu, bo jesień przyszła i zimno już było. O jednem tylko myślałem, jakby się z tej Moskwy wydostać? Ale powiedzcie mi, jak ja mogłem takim oberwańcem do domu wracać i z czem drogę odbyć, bo roboty ciągle nie było. Nie długo jednak zostawałem w Moskwie.

Jednej zimowej nocy przyszła do noclegowego domu policya i zabrała wszystkich, którzy nie mieli paszportu. A było takich mało że nie połowa.

— Co teraz będzie? — pytam się bywałych ludzi. Powiadają, że wszystkich »po etapu« odeszlą do domu. Boże mój! mnie takiego obdartusa i jeszcze »po etapu« jak złodzieja! Co na to powie siostra? Co pomyśli sobie ta, którą dotąd w sercu noszę? Nie, to już za wielki wstyd! Nie będzie tego! Ale co robić? Kogo prosić?

Tymczasem w areszcie znalazłem radę i uspokoiłem się trochę. Poznałem się tu i zaprzyjaźniłem z pewnym »brodiagą« [1]). Człowieka tego poznać można było odrazu nawskróś. Widać mu było z oblicza, że nie tylko nikomu nic złego nie życzy, ale nawet nie pomyśleli o czemś podobnem. I nie uważając na to, co potem było, ja go do dzisiejszego dnia dobrze wspominam. Jaka to była dobra dusza! A do tego wesół zawsze i śpasobliwy, swojemi opowiadaniami wszystkich nas bawił. Może być, że kłamał nieco, ale tak umiał mówić, że wszystko na świętą prawdę wyglądało. Był to prawdziwy »brodiaga«. Znał on wszelkie wykręty, wszystkie ustawy. Ile ja lat żyję między nimi, a niewielu takich spotkałem. On to poradził mi, jak wrócić do domu nie »po etapu«, a dobrowolnie.

— Dobra, myślę sobie, rada! — ucieszyłem się bardzo i czekałem, aż na mnie kolej przyjdzie. Wkońcu i mnie też zapytano, kim jestem i skąd pochodzę? Odpowiedziałem, że z Krymu, z Kercz. I pędzono nas od tiurny do tiurny, aż zapędzono do Kercz.

Mój przyjaciel brodiaga, który również nazwał się obywatelem z Kercz, pyta mnie, czy nie chciałbym przejść się po mieście.

— Dobrze! — odpowiadam.

Przyszli naczelnicy i badają nas, a my zawsze obydwaj razem.

— My — powiada mój przyjaciel — chociaż jesteśmy tutejszymi mieszczanami, ale nie nazywamy się tak, jak nas w pa-

[1]) Włóczęga.

pierach zapisano. Zaprowadźcie nas do magistratu, to my tam podamy swoje prawdziwe miana.

Zaprowadzono nas pod strażą i stawiono przed »starszynę«.

— A gdzie starszyna? — pyta mój przyjaciel.

— Czego ci trzeba — odpowiada tenże — ja sam nim jestem.

— A, pan starszyną tu! A ja nie wiedziałem.

— Zdrastwujtie wasze błagorodie! Przywożę ukłony z Moskwy.

— A któż ty?

— Czy mię pan starszyna nie poznaje? Mocno żałuję.

— Alboż ja ciebie kiedy znał?

— Chyba zapomniał pan, jak przed dwoma laty, kiedy pan przyszedł rano do biura, to tu stałem, a pan tam usiadł. Pamiętam bardzo dobrze: nawet pan takie samo jak dziś, cygaro palił...

— Nie miel językiem, tylko mów, poco przyszedłeś?

— Ot tak, zachciało się nam z tym oto przyjacieiem przespacerować się po mieście i zobaczyć naocznie starszynę miasta Kercz...

— Mów do rzeczy, albo idź z Bogiem.

— Pójdę, jeżeli pan starszyna da na herbatkę dla biednych brodiagów.

W biurze zaśmiano się, zebrano trochę pieniędzy dla nas i odprowadzono nas do więzienia.

— To ty jesteś brodiagą — pyta się mnie naczelnik więzienia.

— Brodiaga, wasze błagorodie!

Oddano mię pod sąd i za włóczęgostwo zasądzono na Sybir.

Przeżegnałem się. — No — myślę sobie — święć się wola Twoja! — Bo czy wiecie wy paniczu, że mało który zesłaniec pozostaje na Sybirze. Coś go do ojczyzny ciągnie. Zdarza się i tak, że rano przyprowadzą kogoś na miejsce przeznaczone, a wieczorem już on do Rosyi wędruje.

— Sprzeda zaraz czałdonom [1]) połowę rządowej odzieży, kupi sobie za to garnek i czajnik, nakupi suszonego chleba i herbaty i hejże z powrotem, to szeroką, prostą drogą, to tajgą [2]).

Po drodze spotyka dobrych ludzi; u jednych zarobi, u drugich wyprosi.

Podobnie i ja robiłem.

Wracam z Sybiru. Byłem już ostrożny, bo wiedziałem, że jak chwycą bez paszportu, to wszystko przepadło. Miałem szczęście i radowałem się w duszy. Przestąpiłem sybirską granicę i nawet na noc w Szadryńsku nie stanąłem — idę. Już i Rosyę przeszedłem, już i na Ukrainę przybyłem, pomiędzy swoich ludzi. Nikt nie wie, gdzie byłem, co robiłem, bo nikomu o tem nie wspominałem. Nawet swemu najwierniejszemu przyjacielowi swego nazwiska nie podałem, a on nietylko, że nie żądał tego, ale jeszcze przestrzegał, aby nikomu się nie zwierzać, bo pomiędzy brodiagami nawet tak bywa, że zamorduje człowieka, aby tylko skorzystać z jego »czystego miejsca«.

Idę ja przez swoją gubernię i całą duszą czuję, że ja sam swój, a nie rządowy, nie aresztant. Chwila jeszcze, a zbędę się biedy, raz na zawsze.

— Wy, paniczu, pojąć nie możecie, jaki to był szczęśliwy dzień w mojem życiu, kiedy mijałem znajome mi sioła. A kiedy zbliżałem się do rodzinnej wioski, to oddech mi w piersiach zaparło, i dalej iść nie mogłem. Dnia tego nie zapomnę do śmierci. Do ziemi przypadłem, ucałowałem ją z wielkiego szczęścia i jak dziecko, zlewałem ją łzami. Czemżeż ja dotychczas byłem, a czem za chwilę będę? Przyodziany jestem godnie i pieniędzy mam trochę w kieszeni. Wszystko, o czem marzyłem i co mi się przez trzy

[1]) Tak nazywają brodiagi sybirskich wieśniaków.

[2]) Tajga, las sybirski.

lata śniło, spełniło się teraz. Teraz mię już nie popędzą na Sybir, ani »po etapu« prowadzić nie będą, bo ja już w domu. Z radością wchodzę do ojczystej wsi. Zastałem ją taką, jaka była, kiedy ją opuszczałem, piękną, rozkoszną, jak raj. Prawie każde drzewo znam, jak swoje. Idąc, patrzę dokoła i mdleję, a serce bije radośnie. Idę prosto do siostry, zapominam już dawnej urazy...

Po drodze była »wołost« — więc wstąpiłem na chwilę. Wszyscy jednak patrzyli na mnie ze zdziwieniem, jak na jaką marę. Wchodzę, patrzę na ludzi, poznaję wszystkich i czekam, czy i mnie kto pozna. Wtem podchodzi do mnie pisarz, wytrzeszcza oczy i krzyczy:

— Czy to ty, Mykoło?

— Jak widzicie, Stepanie Piotrowiczu, ja sam.

— To ty uciekł z Sybiru?!

Gdyby wśród zimy najokropniejszy piorun uderzył, to nie przeraziłby mię tak, jak to pytanie.

— Mój Boże! Skąd oni o tem wiedzą? Przecież nikomu nie wyjawiłem swego nazwiska... Czy to nie sen?

Stałem, jak ukrzyżowany, nóg pod sobą nie czując. Niczego nie pojmuję i słowa rzec nie mogę. Zeszli się ludzie, szepczą, na mnie pokazując.

— A — bratku. Zrobimy z tobą porządek.

Zasadzono mię nareszcie do więzienia, a stąd odstawiono do »stanowego«.

Stanowy mówi: — Okradłeś z jakimiś złodziejami cerkiew w Moskwie i za to zasłano cię na Sybir.

— W jaki sposób uciekłeś stamtąd?

Począłem się żegnać i przysięgać, że żadnej cerkwi nigdy nie okradłem i że przez cały czas mieszkałem w Moskwie.

Szupasem odstawiono mię do śledztwa.

Śledczy pokazuje mi papiery.

— Tu, oto, pytają się, czy należysz do naszej gminy, a tu nasza odpowiedź, że wziąłeś paszport i że znajdujesz się gdzieś, na robocie. Tu znowu zawiadomienie, aby cię z gminy wypisać, bo zasłano cię na Sybir. Nu — cóż ty na to?

Teraz dopiero zrozumiałem wszystko.

— Taż ja — powiadam — dawno swój paszport zgubiłem!

— A jak żyłeś bez paszportu? Gdzie przebywałeś? Ha?

— I co ja miałem mówić? Nigdzie, ja, Mykoła, nie żyłem, nigdzie nie przebywałem. Byłem brodiagą, nieznającym swego rodu, chodziłem dobrowolnie na Sybir, zarabiałem sobie u czałdonów na odzież. Chyba mało takich »niepamniaszczich«? [1])

Słowem, rozumiecie paniczu: ktoś w Moskwie cerkiew okradł, kogoś sądzono według mego paszportu i zasłano na Sybir... Pewnie i tam dalej tak samo kradnie, a może wrócił do domu, do rodziny, bo tam, gmina nic o jego złodziejstwie nie wie, tam miejsce jego pozostało »czystem«. A ja niewinnie cierpię.

Opowiedziałem wszystko śledczemu, ale pomimo tego zasadzono mię do więzienia.

Przesiedziałem tam coś około dwóch lat: dowiadywano się ciągle. Wkońcu zasądzono mię na Sybir za to, że stamtąd uciekłem! Teraz już nie dobrowolnie, z serdecznym bólem zmierzyłem wielki sybirski szlak, kosztując w dodatku nahajki...

Słuchałem opowiadania staruszka, przechyliwszy się przez bort i wsparłszy głowę na ręce. Zdawało mi się, że własna moja dusza wchłania trochę jego bólu. Nie mogłem mu już rzec ciepłego słowa, jak zamierzałem z początku, rozumiejąc, że tutaj, nawet najserdeczniejsze współczucie nic nie pomoże. A tymczasem dziad, spojrzawszy na wielki statek, który już był blizko nas, ciągnął dalej:

---

[1]) Niepamiętających t. j. bezdomnych, którzy nie znają swego miejsca przynależności.

— Od tego czasu, dziesiąty raz, i, zdaje się, ostatni pędzą mię na Sybir. Nie tylko swojej wsi, ale nawet swego powiatu nie widzę, tak tylko włóczę się po Ukrainie, aż mię znowu chwycą.

Przechodząc Sybir, zarabiam sobie jakoś na kęs powszedniego chleba. Tam łatwy zarobek, bo w zwyczaj już weszło, że czałdosze nie stronią od naszych ludzi. A jak roboty niema, to trza żebrać popod oknami, bo o kradzieży nie myśl nawet. Pędzić za tobą będzie, aż dopędzi, a kiedy się przekona, że ukradłeś, to za bije i koniec. A już w Rosyi trudno o zarobek, trza albo kraść, albo żebrać.

Uciekając ostatnim razem, myślałem, że osiądę w rodzinnej wsi u kogo i żyć będę za »Bóg zapłać«. Nikt mię nie pozna, bo rówieśnicy moi pewnie już wymarli. I ja też chciałem w ojczystej spocząć ziemi...

Byłem już blizko swojej gubernii. W jednej wsi, pod wieczór, spotykam koło jakiejś chaty dwóch ludzi. Proszę o jałmużnę, dobrzy ludzie wynieśli mi kawał chleba. Ale zaledwie chciałem prosić ich o nocleg, kiedy patrzę, jedzie jakiś chłop tęgi, Zapatrzyłem się i nie spostrzegłem, że ludzie przed nim czapki zrzucają. Wtem on wstrzymuje przedemną swoje konie i krzyczy:

— A ty co za jeden? Czemu mi się nie kłaniasz? Ślepyś, czy co, że nie widzisz, jak wójt jedzie? Ja tu ciebie, dyabła starego zaraz do »chołodnej« izby zamknąć każę.

Krzyczy aż poczerwieniał ze złości.

— Weźcie — powiada — i zamknijcie go!

Wzięli mię ci sami dobrzy ludzie i zaprowadzili do więzienia. A kiedy wójt dowiedział się, że ja nie tutejszy, zapytał o paszport. Wiedziałem już czem to pachnie...

I oto zamiast w rodzinnej ziemi spocząć, przyjdzie mi trzymać na piersiach cudzą, chłodną ziemię. A może gdzie w tajgach sybirskich, jak pies, zginę, i wilki ciało moje rozniosą. Nie wrócę

ja tu po raz dziesiąty, nie wrócę! Czuje to serce moje. Postarzałem się...

Wspomnienie zmarnowanego życia, które upadło na sam spód ludzkiego morza przewinień, wzruszyło starca. Westchnął głęboko i umilkł.

A ja słuchałem go pilnie i przyglądając mu się uważniej, odkrywałem w jego rysach coś bardzo znajomego, nie mogłem jednak zbaczyć sobie, gdzie ja te rysy widziałem?

Tymczasem mały nasz statek przybił do wielkiego. Podano mostek i wszyscy poczęli przechodzić. Straż pilnowała aresztantów, którzy mieli iść na ostatku. Ja i staruszek staliśmy blizko mostku, obok którego zgromadzono wszystkich aresztantów.

— Zdaje mi się dziaduniu, że gdzieś was widziałem?

— Albo ja wiem, może mię pan i widział.

— A skądże wy jesteście?

— Skąd? Chciałby pan wiedzieć...

Podniósł głowę i przenikliwie spojrzał na mnie swojemi gasnącemi oczami.

— Widzę, że ma pan dobrą duszę...

Milczałem.

— Pochodzę z Cherzońszczyzny.

Coś ciemnego runęło na mój mózg. Poczułem w sercu szarpnięcie, nie wiedziałem czemu.

Aresztanci poczęli po schodach wstępywać na statek, brzękając kaidanami.

— A z jakiego powiatu? — pytam trwożnie, błagając go oczami o prawdę.

— Teraz wszystko mi jedno... Jestem z powiatu odeskiego, ze wsi Kowaliwki. Bądźcie zdrowi. Wspomnijcie czasem starego...

Jak strzała przemknęła myśl przez moją głowę:

— Babka moja również z Cherzońszczyzny, z odeskiego po-

wiatu, z Kowaliwki... Pomiędzy umarłymi zawsze wspomina swojego brata Mykołę, który umarł gdzieś na obczyźnie... Co to takiego?!

Naraz mię ogarnęło jasne osłupienie. Sto uczuć za niem pchało do serca.

— Dziadu! mój rodzony... dziadku!

Rzuciłem się do schodów, ale już je zdjęto.

Maleńki nasz parowiec zawracał do brzegu. Rozdzieliło nas szerokie i głębokie morze.

OSYP MAKOWEJ

SAMOTNOŚĆ.

Nie spałem całą noc.

Od dwóch lat po raz pierwszy.

— Ci nieznośni ludzie tak mię drażnią, że spać nie mogę...

Siedzę w ogrodowej altanie i piszę.

Poco? Czyja wiem...

Odezwała się we mnie stara przywyczka, serce więcej wzruszone, chcę widzieć na papierze, jak swoje uczucie określę, chcę wiedzieć, co to jest...

* * *

Co to jest?

I rzeczywiście, co mię tak wzruszyło?...

Ach, ta przeklęta chęć rozdrabiania wszystkiego!

Oto przedemną róża w ogródku, prześliczna, wonna róża — pragniesz wiedzieć, jak trzymają się jej listeczki i skąd zapach płynie; więc obrywasz liść za liściem, aż do nasady.

Róża zniszczona, zwiędłe listki rozleciały się po trawie, już ich razem nie złożysz, niema ni róży, ni zapachu.

Nie, nie pragnę wiedzieć, co to jest!

* * *

Słowik na czeremsze za altaną tak śpiewa, że mi aż w głowie dzwoni.

Pojąć nie mogę, dlaczego ten krzykliwy ptak podoba się ludziom?

Zrobili mu reklamę starzy poeci, i on podobnie jak zachrypnięty śpiewak może jeszcze zbierać oklaski...

Słońce ozłociło już wierzchołki drzew. Już zeszło...

Śmieję się sam z siebie, co się ze mną stało...

Całą noc nie spałem.

Po wieczerzy ogarnęła mię tęsknota. Niedziela, ludzie się bawią, jak umieją, a ja się nudzę. Boże, jakie nudy!

Wyszedłem z domu i spotkałem ją. Moją sąsiadkę. Wracała z miejskiego parku, ze swoją córką.

— Proszę pani ze mną; pójdziemy posłuchać cygańskiej muzyki. W domu tak nudno!

— Nie mogę panie doktorze! Coby ludzie na to powiedzieli?

Ach, prawda — ludzie! Ona w żałobie, niedawno mąż jej umarł!

— Ale pan niech idzie; pan potrzebuje rozrywki. Nigdzie pan nie bywa...

I poszedłem.

Rzeczywiście, od kilku lat nigdzie nie bywam, nie szukam zabawy.

Odechciało mi się.

Trzydzieści pięć lat — to jeszcze nie starość, ale tak jakoś postarzałem się przedwcześnie. W gimnazyum uczyłem się, na uniwersytecie uczyłem się, potem, prócz biurowej pracy, znalazłem sobie inną, dobrowolną, zachciało mi się być działaczem, zajmowałem się polityką, bawiłem się w literata — poszedł rok za rokiem — i mam już lat trzydzieści pięć...

Im dłużej żyłem z ludźmi, im bardziej dla nich pracowałem,

tem więcej duszą oddalałem się od nich; nie mogłem nijak pokochać tych, którzy boską duszę tarzają po ziemskiem błocie...

I przestałem ich szukać, tonąłem w biurowej pracy, w głupstwie...

Cóżbym jednak bez tej pracy począł?

W tejże ciżbie wieloludnej — w samotności!...

* * *

Przez winograd słońce przedziera się do mojej altany.

Ona pewnie śpi jeszcze, choć zwykle wstaje bardzo rano i na cmentarz idzie, albo tu, do ogrodu — wraz ze swoją córką.

Ten jej mały dzieciak bardzo mi się podoba...

* * *

Nie mogę myśli zebrać i spisać należycie; widocznie znużyła mię ta noc nieprzespana...

Poszedłem słuchać muzyki cygańskiej Siadłem sobie zdala i zasłuchałem się.

Dumki, dumki, dumki...

Szerokie, jak węgierska pusta, ponure jak odwieczne bory karpackie, smętne, jak — jak... ona.

Wistocie, tylko ona tak płakała po śmierci męża, jak ci cygani płaczą na swych skrzypcach...

A potem czardasz! Czardasz na złamanie nóg...

Nie rozumiem wcale, jak po takiej ogromnej tęsknocie można popaść w taką szaloną radość.

Jest to dla mnie zagadką. Jak można w jednej chwili do tego stopnia zmienić swoją duszę!...

Przyszli znajomi.

— A, co my widzimy! Co widzimy! Pan doktor na piwie! Cóż to takiego!...

— Gratulujemy, gratulujemy!

— Z jakiego powodu?

— Widzieliśmy państwo w parku... Wcale ładna wdówka! I młoda! Masz pan dobry gust.

— Co słyszę! Nasz doktor opiekuje się młodemi wdowami? Postęp, postęp! I ktoby się tego po nim spodziewał! A gratulujemy...

— Cóż tam panie doktorze? Czy będzie co z tego?

Zakląłem ordynarnie, na czem świat — wstałem, zapłaciłem piwo i odszedłem.

* * *

Błądziłem po ulicach całą godzinę. Nie chciałem spać, nie mogłem...

Koło jednego domu zatrzymałem się może z kwadrans przy otwartem oknie — grał ktoś na fortepianie, widziało mi się cudnie...

Może jakaś duszyczka kochająca się nieszczęśliwie, a może tak tylko tęskniąca...

* * *

Jest w miejskim parku jedno ciche miejsce, o którem ja tylko wiem.

Przypomniałem je sobie i zaszedłem tam.

W parku cicho, nikogo.

Ach, prawda, słowik gwizdał. A zresztą cicho.

Było mi tak dziwnie ciężko!

— Nie! Ci ludzie mnie zagryzą swojemi oślemi wtrącaniami się... Co ich to obchodzi!

Trzy lata mieszkałem w tej samej kamienicy. Drzwi nasze były w sąsiedztwie. Ale nie żyłem z nimi.

Wogóle z nikim nie żyłem i u nikogo nie bywałem. Męża jej znałem z biura — był to młody sędzia. Biedny człowiek.

Tylko ich małą córeczkę dobrze znałem. Bawiłem się z nią nieraz. Byliśmy nawet we wielkiej przyjaźni. Przychodziła do mnie na wizyty.

Siedzę w domu, wtem słyszę, ktoś cicho i nieśmiało puka do drzwi. A! to moja maleńka sąsiadka! Nie może jeszcze dosięgnąć klamki. Muszę jej drzwi otwierać. Wchodzi, chce mi się ukłonić, ale obawia się, że nie utrzyma się na nogach, więc opiera się ręką o ścianę, albo o szafę, tak dopiero się kłania. A ja ją na ręce biorę i niosę na kanapę.

— Proszę mi pokazać obrazki!

Dobrze, pokazuję jej obrazki w ilustrowanych czasopismach. Cieszy się dziecko.

Potem wyciągam czekoladki, które zawsze dla niej kupuję, daję jej i opowiadam bajkę. Potem ona mnie bajkę mówi, maleńką, dziecięcą bajkę...

Zabawa, jak rzadko. Czasem całą godzinę była u mnie i matka nie sprzeciwiała się temu.

Nieraz też uśmiechała się za to do mnie, zdaje się, że od dziecka o wszystkiem wiedziała. Uśmiechała się tak, jak gdyby mi dziękować chciała. Ale ja z nią prawie nigdy nie mówiłem.

— Dzień dobry! dobry wieczór! — i koniec.

Tak przez trzy lata...

* * *

A potem on nagle, w przeciągu jednego tygodnia, umarł.

Byłem przy chorym — prosiła mię o to. Biegałem po leka-

rza, bo nie było nikogo. Bliższej familii nie mieli; ona sierota, on chłopski syn, również już bez rodziców.

I przy śmierci jego byłem. Trzymałem ją na swoich rękach, kiedy płakała w rozpaczy i mdlała; uspakajałem dziecko, które również rozpłakało się, patrząc na niewidziane zdarzenie.

Następnie zająłem się pogrzebem, odprowadziłem zmarłego na cmentarz, powiedziałem wdowie, aby się w potrzebie do mnie zwróciła — i pożegnałem się...

Przez dwa dni prześladował mnie jej płacz w sąsiedniem mieszkaniu, a trzeciego dnia przyszła do mnie z córeczką mi podziękować.

Podziękować mi za to, że starałem się jej męża w porządku wyprawić do mogiły...

Było za co!

* * *

Mówiła zrazu spokojnie, a potem rozpłakała się.

Córeczka również.

W mem mieszkaniu nigdy nie słyszałem płaczu...

A patrząc tak na tę nieszczęśliwą w żałobnej sukni i na dziecko, którego jasne włoski tak bardzo odbijały od czerwonej sukienki, nie miałem słów i milczałem zakłopotany.

— Pani! Gdyby się pani nie obraziła i przyjąć chciała mą pomoc, ofiarowałbym ją pani chętnie. Dobrze? Czy przyjmie pani? Proszę, proszę przyjąć! Zaspokoję w ten sposób nie potrzebę pani, lecz swoją...

Rozpłakała się znowu... Czy nie obraziłem jej?

Wziąłem dziecko na kolana, dałem mu cukierków, pokazałem obrazki i ucichło.

I matka też uspokoiła się. Wzięła odemnie dziecko i odgarnęła mu włoski z czoła.

A mnie ciągle snuje się po głowie, jakby jej przyjść z pomocą, aby tego za jałmużnę nie wzięła. Gotowa się znowu obrazić; nie powie, że nie potrzebuje, a nie przyjmie.

Prosiłem ją, aby mię na wikt przyjęła. I tak mi już jedzenie po restauracyach nie smakuje.

Zgodziła się. Zapłaciłem lekarza, wyrównałem niektóre wydatki za pogrzeb, dziecku jakiś prezent kupiłem...

Sprzeciwiała się temu, ale biedaczka musi się ze swoją biedą zgadzać...

I więcej nic — nic więcej!

Rad jestem, że mogę się kimś opiekować.

Ja niczego od nikogo nie żądam! Ja samolub, moje serce potrzebuje kimś troszczyć się; rad jestem tej trosce! Brakowało mi jej!...

* * *

A oni, swoimi małpiemi głosami gratulują mi...

Idyoci!

Z parku poszedłem do kawiarni. Przeczytałem cały stos dzienników, i nie mogłem zapomnieć tych szyderczych ukłuć.

A z kawiarni do altany.

Na przechadzce w parku byliśmy dwa razy, przypadkowośmy się spotkali...

Przygotowuję ją do egzaminu na ekspedytorkę pocztową.

Już teraz tak często nie płacze, a czasem się nawet uśmiecha.

Ten jej uśmiech!

Jak promień słońca z za chmur...

* * *

Nie mogę pisać należycie; w głowie mi szumi. To nieprzespana noc.

A! Otoż i ona! Jak zwykle, ranny ptaszek!

Idzie prosto do altany!

Gotowa jeszcze myśleć, że czekam na nią, tak wcześnie...

Ha — trudno! już się nie skryję...

— Dzień dobry panu!

— Dzień dobry.

— Co też pan pisze tak raniutko?

FATALNY WYPADEK.

Przy końcu XIX stulecia byłem przypadkowo świadkiem nieszczęśliwego zdarzenia, które przekonało mię, iż naszej literatury lekceważyć nie wolno.

Przypadek podobny może się nikomu z moich rodaków w XX stuleciu nie zdarzyć, dlatego opiszę go na pamiątkę dla szczęśliwszych wnuków i prawnuków.

Potrzebowałem książki p. t. *Kłosy z ojczystego zagonu* i udałem się do jednego z towarzystw, aby ją kupić. Towarzystwo to przez lat dwadzieścia i pięć drukowało rozmaite książki i składało je w swoim magazynie. Katalog książek rósł ciągle, tak, że po latach dwudziestu i pięciu trzeba było całego arkusza druku na wyliczenie samych tylko tytułów. Katalog ten, od czasu do czasu rozsyłany ze stolicy po prowincyi, budził ogromny, patryotyczny zachwyt; każdy patryota pokazywał go w razie potrzeby wrogom narodu i mówił z dumą: »Oto nasza literatura! Patrzcie, jaka wielka!« A potem chował katalog do biurka, aby w wolnej chwili przeczytać przynajmniej tytuły.

Nie wielka praca, a przydać się może. Oto n. p. zapyta się kto:

— Czytałeś pan: *Zieloną łąkę?*

A patryota, przestudyowawszy katalog, powiada:

— Czytałem. To wydano 1890 roku i kosztuje 2 korony.

— Cóż pan myślisz o tych opowiadaniach?

— O opowiadaniach? Ano, piękne. Nie pamiętam dobrze. Zapominam wszystko. Zdaje mi się, że napisał je Pupczenko.

— Tak jest.

— Otóż widzisz pan! Przynajmniej autora pamiętam.

I ja też dowiedziałem się z tego katalogu, że w towarzystwie można dostać *Kłosy*. Przychodzę do urzędnika:

— Czy są jeszcze *Kłosy?*

— Chcesz pan kupić? — zapytał zdziwiony i niedowierzająco spojrzał na mnie przez okulary.

— Nie inaczej.

— Są! Są tego jeszcze całe setki egzemplarzy. Dam panu za pół darmo. Chodźmy!

Urzędnik podniósł okulary ze środka nosa nieco wyżej, zapalił świecę, i poszliśmy do magazynu. Magazyn składał się z dwóch izb: jednej — niejasnej, a drugiej — ciemnej, i założony był książkami od dołu aż do góry, pod sam sufit. Kiedyś było tu mniej literatury, ale w ostatnich kilkunastu latach urosła ona tak bardzo, iż nie mogła się zmieścić na półkach i w stertach leżała na podłodze. Pod samemi drzwiami leżała ogromnym murem, złożonym z grubych książek, *Słowiańska dzierżawa z przed 3000 lat;* mur był wysoki na półtora metra, a gruby na metr, i żadna ludzka siła nie była w stanie obalić go, chyba rozbierając po książce, jak po cegiełce. Koło *Sławiańskiej dzierżawy* to murami, to słupami leżały *Bajki, Snopy, Kwiat z rodzinnych niw, Ogródek, Cerkiewne stosunki, Jutrzenki* i *Podlasie.* Na nich leżał proch dawno nie zmiatany, ale grzyby jeszcze nie rosły. Inne mury książek pochyliły się w tę lub w ową stronę, niektóre całkiem runęły — i magazyn wyglądał jak ruiny starożytnego zamku.

Urzędnik postawił światło na *Sławiańskiej dzierżawie* i zalazł w uliczkę pomiędzy *Historyę Rusi* a *Wianki.* Schyliwszy się, zgi-

nął mi z oczu. Ale wnet, jak z jamy jakiej, wyciągnął wiązkę książek, postawił ją na *Wiankach* i jął przeglądać tytuły:

— Et! to *Gorzki los kobiecy!* — rzekł i, zgiąwszy się, powtórnie zniknął mi z oczu. Wyciągnął inne książki i znowu przyglądał się im.

Zielone łąki! Gdzież te *Kłosy?* Widziałam je gdzieś tutaj. Leżały za *Chatą*, koło *Małej menażeryi*. Pamiętam przecież.

Urzędnik szukał dalej z coraz większym zapałem. Ja zaś wziąłem świecę do ręki i przyświecałem mu. W przeciągu kilku minut obłożył mię *Chatami, Dolinami, Menażeryami, Niwami, Łanami, Zagonami* i *Snopami*, a nakoniec rzucił mi *Zorzę* pod nogi. Usiadłem na *Chacie* i cierpliwie przypatrywałem się pracy urzędnika. Za chwilę i siebie otoczył *Chmurami, Echami, Słonecznymi promieniami, Piorunami, Z północy i z południa, Dookoła świata*, a nad sobą położył *Zorzę z księżycem*.

Słyszałem głos jego: — Niema! Gdzież te *Kłosy* podziały się do dyabła?!

I ze złością jął wyrzucać z tajemniczej jamy: *W naród! Za naród! Dla narodu, Marusię, Oksanę, Prysię, Wyszywki, Kobiecą niewolę, Ruską kucharkę, Modlitewnik, Klasztor na górze Atos, Gnój — dusza w gospodarstwie, Mnicha, Zoologię, Apokryfy*...

Wprost skamieniałem.

Słyszałem krzyk urzędnika: — Niema!... Pewnie w górze, na półce...

I po chwili widziałem, jak wylazł z jamy, stanął jedną nogą na *Oksanie* (dramat w 5 aktach a 13 odsłonach), drugą na *Ruskiej kucharce*, pośliznął się, zapadł butem w *Kobiecą niewolę*, wydrapał się znowu na wierzch i silnie oparł się na *Apokryfach*. Już rękę wyciągnął do górnej półki, kiedy oto zdarzył się nieszczęśliwy wypadek. Półki stały dawniej mocno na książkach i były

niemi podparte, a teraz zewsząd podkopane, nie mogły ostać się pod ciężarem ukraińsko-ruskiej literatury, zachwiały się i szurrrr!— runęły na urzędnika. Upadł w jamę między *Oksanę, Marusię, Ruską kucharkę*, *Modlitewnik* i *Mnicha*, a z wierzchu przykryły go inne książki z góry lecące. Na książki upadły półki. Ja zaś, zaledwie zdołałem odskoczyć i skryć się pośród z *Chat* i *Łąk*.

Przyszedłszy do przytomności, usłyszałem krzyk:

— Ratujcie! Zabiła mię nasza literatura...

Krzyk wychodził stłumiony, jak z bezdennej otchłani. Co rychlej wyskoczyłem z pomiędzy książek, stanąłem na *Zorzy z księżycem,* przyparłem półki do ściany, i jak pocznę miotać *Chmurami, Piorunami, Echami, Chatami, Dolinami*, *Menażeryami, Snopami, Oksanami* i *Ruskiemi kucharkami* — aż zadyszałem się całkiem. Z pomiędzy *Kobiecej niewoli* sterczała ręka nieszczęśliwego urzędnika. Chwyciłem ją i nuż ciągnąć! Za ręką ukazała się wnet głowa, bez okularów, potem z pomiędzy książek, jak z pomiędzy cegieł, wydobyły się plecy, później druga ręka — chwyciłem ją i z trudnością wyciągnąłem człowieka z ukraińsko-ruskiej literatury.

A on jęczał i narzekał:

— Niema, powiada, *Kłosów!* Czort wie, gdzie się podziały! — Daremnie okulary straciłem.

— A czy nic pana nie boli?

— Nie wiem. W jamę runąłem, półka mię nie uderzyła... Tylko coś w głowie szumi.

Nie było jednak tak dobrze, jak mu się zdało. Kiedyśmy wrócili do kancelaryi towarzystwa, spostrzegłem sińce na jego obliczu. Potem nagle poczęło go boleć w boku, potem lewą ręką ruszać nie mógł, a do tego coś mu się w nogę zrobiło...

Nie było innej rady; odwieziono go do domu. Dwa tygodnie

w łóżku przeleżał i omal nie umarł. Lecz Pan Bóg dopomógł, że się podniósł, i ujrzałem go znowu.

— Czy wiesz pan — powiada mi — co mi najbardziej dopiekło? Tam, na półce leżała: *Nieszczęśliwa miłość*. I ta o mało, że kości mi nie połamała. A *Prawda* nabiła mi takiego guza na głowie, że od dzisiejszego dnia znać jej nie chcę.

ŁEŚ MARTOWICZ

JAN.

Z Iwana zrobił się w mieście Janem, a jego żona Janową. Zamieszkał daleko na przedmieściu, w ciasnej uliczce, w małej izbie. Gniótł się tam z rodziną, jak śledzie w beczce.

Rąbał drzewo, i co wyłupał, to przełykał. A żona nosiła wodę, posługiwała panom, prała bieliznę, prała też i chłopa.

-- Ty będziesz pił, a ja będę biła — przygadywała.

Ona wielka i mocna, jak dobosz, a on maleńki i skurczony, jak nieprzymierzając kocię. Ona go biła, a on płakał i wypraszał się, jak małe dziecko.

Aż jednego razu Jan osłabł tak, że i drzewa nie mógł rąbać. A żona nie dbała na to i codzień wyganiała go do roboty. Kiedy i to nie pomogło, nie dała mu jeść.

I to tak bez długich wstępów: siadła z dziećmi do obiadu, a Jana odepchnęła od stołu, mówiąc:

— Ja cię nie mam za co żywić, idź na żebry, kiedy nie możesz nic robić.

Jan poszedł z płaczem do praczki Walentowej, co mieszkała w tym samym korytarzu, i zaczął się skarżyć. Walentowa obrała się za pośredniczkę, a Janowa wyjaśniła jej przyczynę swego postępku.

Robota by się dla Jana znalazła — ale cóż, kiedy on pijak.

W tym hotelu, gdzie Janowa posługuje, potrzebuje portyer posługacza, któryby w nocy otwierał gościom bramę. Zarobić można, nawet dobrze, tylko trzeba się szanować.

Jan zaklął się na czem świat stoi, że nie spojrzy na żaden trunek.

Pierwszą noc nie spał ani na włos. Przyszedł rano do domu, legł spać, ale nie mógł. Przed wieczorem zachciało mu się gwałtem czegoś napić, ale się przezwyciężył.

Drugą noc nie spał znów ani trochę. Przyszedł do domu i także spać nie mógł. Dostał jakiejś gorączki i dreszczów.

Kiedy trzeciej nocy zamknął bramę, myślał: teraz już muszę usnąć, dwie noce-m nie spał, na trzecią mię sen zmorzy.

Wszedł do swojej ciupki, zgasił światło i legł na tapczanie. Zaczął zasypiać — czuł nawet, jak zasypia, i słyszał swój coraz powolniejszy, cięższy, sapiący oddech.

Naraz — buch! coś strzeliło. Akuratnie mu między oczy strzeliło. Czerwone światło błysnęło gdzieś aż od nieba do ziemi.

Serce zaczęło mu bić, jak schwytanemu do garści wróblowi. Drżał całem ciałem. Lęk zaparł mu oddech w piersiach, a w uszach mu huczało, jak dziesięć kowadeł.

Ledwie się odważył wyciągnąć rękę i przeżegnać się. Długo leżał w odrętwieniu, a w uszach szumiało, niby jesienią wiatr na suchych łozach. Nie mógł pojąć, co się stało.

Nieśmiało i ostrożnie wyciągnął rękę po zapałki, tak ostrożnie, jakby ją wyciągał ponad śpiącego wściekłego psa i jakby się go bał zbudzić, aby nie pokaleczył.

Zaświecił światło i lęk przeszedł. To jest, nie przeszedł, ale Jan mógł nie myśleć o tem, co się stało.

Siadł na tapczanie i nie wiedział co robić. Bał się napowrót położyć, bo po pierwsze: trzebaby pociemku myśleć o tym strzale i błysku, a po drugie: czuł, że nie zaśnie.

Naraz rzucił się, jak oparzony. Coś trzasło niby na ścianie tuż nad obrazem. Bał się podnieść oczu na obraz: a nuż pękł, a nuż święty kiwa się na obrazie? Mrówki przeszły mu po ciele.

Zaczął odmawiać modlitwy, jakie jeno znał. Usta szepczą, a uszy nadsłuchują, co się wokoło dzieje.

A-o: dur! dur! dur! widać, fiakier jedzie. Ale czemu bokiem? Jak on się może bokiem toczyć? Przecie kołom trudno się obracać... Wóz, jak wóz, ale konie jak? Kiedy konie ciągną wóz, to on się musi za nimi toczyć. A bokiem, to chybaby wóz sam biegł, a jeszcze i konie pchał... A woźnica? Czemuż on siedzi obrócony do koni plecyma?

Przestał się modlić. Potarł ręką czoło. Skądże ja wiem, jak wóz idzie, kiedy ja tu siedzę, a fiakier na dworze? Jakieś licho zaczyna mię męczyć.

Zaczął się znowu modlić. Ale zatkał sobie uszy palcami, żeby nic nie słyszeć i zamknął oczy, żeby nic nie widzieć. Postanowił modlić się szczerze.

Pryjditie pokłonimsia... Abramko szynkuje gorzałkę w karczmie, w tej wsi, skąd Jan...

— Dajcie naprzód pieniądze — mówi Abramko do Semena Kołotyła i drapie się w brodę.

— Ihi na was, a cóż ja ze wsi uciekam? Ja nie wart u was trzech grajcarów?

— Wart, nie wart, a ja bez pieniędzy nie dam — mówi Abramko i nie patrzy się na Semena, ale gdzieś w bok, a do tego jeszcze zaczyna z Abramczychą szwargotać po żydowsku.

Gazdowie siedzą za stołem i częstują się. Sypią gorzałkę z pełnej flaszki do kieliszka. Gorzałka: gul! gul! gul! bańka powietrza cofa się od szyjki aż gdzieś do środka flaszki. Semen upiera się przy swojem.

— Słyszycie Abramku?!

Abramko udaje, że nie słyszy.

Semen drapie się w głowę.

— Abramku, słyszycie?

Abramko obrócił ku niemu chudą twarz: — Ustąpcie się.

— Bo przysięgam Bogu, że nigdy nie przyjdę — grozi Semen.

— Nie przychodźcie! — krząka Abramko.

Semen odchodzi ku drzwiom i staje.

Za stołem kontentują się gazdowie.

— Daj Boże zdrowie!

— Daj wam Boże!

— Abyście długo żyli...

A Wasyl aż poczerwieniał i dudni: — Kumie-e, kumie-e, słyszycie, a posłuchajcież...

Semen wraca i znowu kręci się koło Abramka.

— Ta, bo wy Abramku, przysięgam Bogu!... Ta jak? Drugim dajecie, a mnie nie? co?

— Ustąpcie się!

A Semen akuratnie: — Pożyczcie-no mi, Janie, trzy grajcary!

Jan zerwał się na nogi i wyciągnął szyję do znaku, jak ten, co tonie. Słyszał wyraźnie na swoje uszy: »Pożyczcie-no mi, Janie, trzy grajcary«.

— Boże, ratuj! — szepnął Jan — pijacka żyłka nie daje spokoju.

Siadł na tapczanie i na nowo zaczął się modlić.

A tu: bum! bum! bum! muzyka rznie, jakbyś drut wbijał w ucho...

— Co za licho po nocy z muzyką? Nawet pomodlić się nie dadzą.

— Ale co za muzyka może być? W nocy? Gdzież to może być? Pójdę popatrzeć.

Tylko wstał, muzyka ucichła. — Co to jest?

Postał trochę — elektryczny dzwonek nad tapczanem: dziń! dziń! dziń!

— Ktoś idzie... zapytam się...

Otworzył bramę, gość wsunął mu szóstkę w dłoń, wymyślając:

— Śpicie, jak kamień, dobyć się nie można, dzwonię już od godziny... — i pobiegł po schodach.

Jan poświecił gościowi i wrócił nazad do bramy. Przed bramą stał fiakier.

— Kto to grał w nocy?

— Gdzie? — zapytał fiakier.

— Na dworze, tak jakby wojskowa banda.

— Chyba się wam przyśniło?...

Jan zamknął bramę i wrócił do ciupki.

— Pijacka żyłka męczy mię... — trapił się Jan. — Boże, ratuj, nie dopuszczaj!...

— Ale jeden kieliszek nie zawadziłby — błysnęło Janowi. — Zarazbym zasnął. A jakże. A tak, to zdechnę. Jakbym wypił jeden, zarazby mię sen zmorzył. Ale tylko jeden. Przysięgam Bogu, tylko jeden. Więcej ani, ani... ani... żebym zdechł.

Przywidziała mu się Janowa z warzechą.

— Boże, nie dopuść! pijacka żyłka gryzie...

Ukląkł przed obrazem, złożył dłonie i zaczął się modlić. Wytrzeszczył oczy na obraz i ani nie błysnął okiem na bok. Obraz pociemniał, święty mrugnął. Nie, przywidziało mu się. Wpatrzył się jeszcze więcej w obraz. U świętego w prawej ręce książka, a u lewej wzniósł trzy palce do błogosławienia. Nie — to nie książka, to najwyraźniej graniasta siwa flaszka. A w lewej ręce kieliszek. Święty uśmiecha się. Jan zerwał się, jakby go kto z tyłu za czuprynę szarpnął. Obraz, jak przedtem.

— Boże, nie pozwól mi uledz pijackiej żyłce. Ale kieliszeczek zdałby się, tylko jeden, na sen. Przecieżem nie przysięgał. Jednym

kieliszkiem nie upiję się. Nie jem, nie śpię, to na lekarstwo. A nuż ja się gośćcowi sprzeciwię?... Pił, pił i odrazu przestał, jakby uciął. Nic, jenom się gośćcowi musiał sprzeciwić. Kilkam lat pił i w jednej chwili przestał. Trzaby pomału, coraz mniej i mniej...

Zaczął się trząść, jak w febrze. Ręce drżą, nogi się chwieją, po ciele przechodzi mróz. W piersiach piecze, łaskocze.

Znowu odezwał się elektryzcny dzwonek. Jan wyszedł, potykając się.

Otworzył bramę, a z bramy — buch! pijany gość. Oczy mu na wierzch wyszły — alkohol dech zapierał. Gość zauważył jednak, że Jan drży.

— Ładnie! — wykszusił — to tyś się, bratku, tak spił w domu, jak ja w knajpie, co?

— I, gdzie tam — westchnął Jan — ja już trzy dni nic w gębie nie miał.

— O, to idź się napij — odrzekł gość, nie wiedząc sam, co mówi.

Jan pokłonił się niziutko.

— Dziękuję, łaskawy panie, za poradę, całuję rączki.

Zamknął bramę i pogalopował chodnikiem — niby tam, gdzie ludzie złoto rozchwytują, a on, jak nie dobiegnie, to straci.

— Jak tego pana rano nie zastanę — rozumował sobie Jan — to widocznie Bóg wysłuchał moich modłów i zesłał anioła swego, aby mi poradził; a jak zastanę, to... — to bardzo rozumny i uczony pan.

NA TARGU.

Proć i Prociowa sprzedali w mieście na targu dwie kury, kopę jaj, pół korca żyta i kupili za to prosię i dwie deski na naprawę chlewka.

Z południa, kiedy już mieli wracać do domu, powiada Proć do żony:

— Masz ty jakie pieniądze?

— Ta jakie? — mówi żona. — Mam jeszcze w chustce trzy grajcary dzieciom na kukiełkę.

Proć poskrobał się pazurami po niemytym karku i za każdym pazurem zostawił rów, jak bruzdę na roli.

— Fi! A mnie jeszcze trzeba gwoździ. Mam wszystkiego pięć grajcarów, a tu trzeba ze dwadzieścia gwoździ. Jak nie wystarczy, to dodasz.

Prociowa złożyła przed mężem obie dłonie:

— A niech Bóg broni i niedopuści! Toby był dopiero płacz...

— Gadaj swoje — burknął Proć — śliną deski przylepię?

I poszedł w miasto, a Prociowa została przy furze sąsiada Iwana, który z łaski zrobił im wygodę i zabrał deski na swój wóz. Stała nieruchomo na jednem miejscu, przymrużyła oczy i całe miasto wydało się jej, jakby we mgle spowite, a wszystkie myśli zaczęły się roić.

...Wrócą do domu dopiero może o zmroku. Na Iwanowej chacie klekoce bocian, a Semenowe owce beczą. Przez strzechę wydziera się siny dym, a z drugiego końca wsi zawodzi piszczałka. Dmytrunio i Nastunia czekają we wrotach i, jak tylko dojrzą, puszczą się pędem naprzeciw nich. Dmytrunio dobiegnie zaraz, a maleńka Nastunia zostanie z tyłu i zacznie płakać...

A Proć poszedł w sam środek miasta, w żydowską ulicę. Po obu jej stronach aż się roiło od żydowskich sklepików.

Zaraz go też zaczepiła garbata żydówka z pierwszego skraja sklepu.

— Co kupujecie gazdo? Chodźcie do mnie!

— U ciebie tego niema! — odrzekł Proć i nie spojrzał nawet na nią.

Żydówka chwyciła go za rękaw.

— Czemu niema? Chodźcie.

Proć wszedł do sklepu. Na podłodze i na półkach stało wszędzie szkło, obłożone trocinami i stęchłą słomą.

— Gwoździe są? — zapytał Proć.

— Niema gwoździ. Kupcie sobie lampę. Bardzo tania. A jak świeci! e-e-e...

— Idź, bo jak ci zaświecę, to ci trzy dni świeczki w oczach będą stały!

Wyszedł rozgniewany.

Żydówka wybiegła za nim.

— Słyszycie gazdo, jak wam trzeba gwoździ, to idźcie do mojego zięcia — o, tam — na drugim końcu ulicy. Zaraz was mój Abramko zaprowadzi.

— I zaczęła wrzeszczeć:

— Abrum! Abrum! Abrum!

Abruma nie było. Proć nie miał czasu i chciał iść. Ale żydówka chwyciła go za serdak i nie puszczała.

— Czekajcie trochę, zaraz mój Abramko przyjdzie.

— Odczep się paskudo! — szarpnął tak serdakiem, że żydówka mało nosem nie zaryła w rynsztok.

Zaszedł teraz do tego sklepu, gdzie na drzwiach wisiały zardzewiałe łańcuchy. Stał tam dwunastoletni pejsaty żydek.

— Co kupujecie gazdo?

Proć wypatrzył się na niego.

— Ja z tobą nie gadam. Gdzie jest gazda od sklepu? — odezwał się groźnie.

— Co-o-o? Ta, to wszystko jedno. Ja także sprzedaję.

— Ja się pytam, gdzie gazda od sklepu. Słyszysz, czy nie?

— Zaraz przyjdzie.

Za chwilę wszedł stary, biały jak mleko, żyd.

— Wy gazda od sklepu?

— Ja. Nu, a co?

— Sprzedacie mi gwoździ?

— Coby nie? A jakich wam trza?

— Bretnali. Po ile za grajcar?

— Ja sprzedaję na wagę.

— Ja nie chcę na wagę. Sprzedajcie mi na sztuki.

— Nu, od was wezmę po grajcarze.

Proć jak stał, tak się odwrócił i wyszedł.

Wypadł za nim stary żyd, wyleciał młody żydek.

— Wróćcie się gazdo, słyszycie?

Proć udawał, że nie słyszy. Żydek podbiegł ku niemu i chwycił go za rękaw. Proć obejrzał się i dźgnął żydka kułakiem w piersi.

— Ustąp się, parchu, powiadam!

Żydek odskoczył, jak kot od psa.

Tymczasem nadszedł stary żyd.

— Nu, wróćcie się, co dacie?

— Ja nie kupuję — odrzekł Proć i zabierał się do odejścia.

— Czemu nie chcecie kupić? Wam trza gwoździ. A przysięgam Bogu, nigdzie nie dostaniecie taniej, niż u mnie. Żebym taki szczęśliwy rok miał.

Proć złagodniał.

— Jak u was kupować, kiedy cenicie, jak za rodzoną matkę.

— Chodźcie do sklepu, jakoś się zgodzimy.

Cały ten czas trzymał się żyd Prociowego serdaka.

Proć jeszcze się nie kwapił. Stał i miarkował w swojej głowie ilu gwoździami może się obejść i ile najwięcej może dać za nie, aby nie ruszać tych grajcarów, jakie ma żona. Żal mu było małych pustaków, co wybiegną przed niego i będą przez nos brzęczały: »Coście w mieście kupili?« Miarkował, miarkował i jak raz wymiarkował, że nie wystarczy i tych trzech grajcarów od żony. Wzięła go taka złość, że byłby wymłócił wszystko żydowstwo.

Teraz przystąpił do niego mały żydek. Proć zacisnął zęby i pokazał żydkowi kułak, jak kijankę.

— Na bok, gnido, bo jak cię kopnę, to ani nie kwikniesz.

Stary żyd targnął Procia za serdak.

— Nu, gazdo, co stoicie darmo? Ja chcę utargować, a wy chcecie kupić.

Zaszli do sklepu. Proć zaczął żyda prosić.

— Bójcie się Boga, Moszku, czy jak wam, zlitujcie się. Wy byście człowieka ze skóry obłupili. Rozłóżcie sobie zarobek na wszystkich chłopów, a nie, żeby z jednego majątek robić.

Żyd zaczął się zaklinać, a szło mu tak gładko, jakżeby pacież mówił.

— Zarobek? Jaki zarobek? Żebym ja tak do jutra doczekał, żebym taki lekki rok miał, żebym tak na oczy widział, żebym się tak z dzieci pociechy doczekał, jak ja mam na tych gwoździach choć grajcar zarobku.

— Daj Boże, daj wam Panie Boże, szczerze wam tego życzę — mówił Proć, kręcąc głową.

— Mówicie, że nie daj Boże, owszem daj Boże! No, gadajcie, ile dajecie?

— Dacie po pięć za grajcar?

Żyd splunął: — Phy! na twoją głowę!

— Hyknij swojej matce na grób! A po cztery dasz?

Żyd skulił się, jak kot do myszy.

— Brałbyś po cztery?

— Nie! w głowębym ci pozabijał. Ta szczekajże już raz, po czemu?

Żyd się rozłościł.

— Szczekaj ty sam z psami!

— Udław się tymi gwoździami... — Po tych słowach Proć wyszedł, a żyd krzyknął jeszcze za nim:

— Dam po trzy za dwa grajcary!

Proć obejrzał się od progu.

— A jakże... jeszcze ci przędziwa dodam, żebyś se powróz skręcił i powiesił się na nim.

Wyszedł na ulicę i zdawało mu się, że jest gdzieś w samym środku nieznanego lasu, a ze wszech stron obskoczyły go wilki, aby mu życie odebrać. Miasto! zdzierstwo! oszustwo! — krzyczało w nim oburzenie.

Dojrzał — środkiem ulicy idzie Wasyl, z tej samej wsi. W prawej ręce bat, w lewej konewka, a w konewce suszona ryba; na szyi drut, a na głowie trzy kapelusze. Spodni — stary, słomiany; średni — nowy sukienny, dla siebie na święto, a na wierzchu — nowy, siwy, dla synka Hryćka. Tak Proć do niego:

— Poratujcie mnie choć szóstką!

Wasyl machnął batogiem.

— Kumie, Prociu! Taż ja ledwie dycham: na topek soli mi

nie wystarczyło. Byłem w *sztajramcie* płacić podatek. Obdarli ze skóry, obgolili do mięsa, ledwiem z duszą uciekł.

Proć poszedł dalej. Rozmiarkował, rozrachował jeszcze raz, ale gdzie tam...

— Nie wystarczy moich pieniędzy, trza będzie żonine dołożyć — postanowił i zaszedł do drugiego żydowskiego sklepu. Tam tak samo, jak i w pierwszym. W trzecim tak samo, w czwartym też tak samo...

Proć zląkł się — to i z żoninemi nie wystarczy. A prosię? Co będzie z prosięciem?

— A, żeby was do nogi wygubiło, żeby na was ciężka choroba naszła! — zaklął na cały głos na środku drogi tak szczerze, że aż westchnął.

Nijakiej rady, nijakiego poratunku, choć siądź i płacz.

Ale prosię? Prosię musi mieć swoją wygodę, choćby z pod ziemi wyciągnąć, choćby kamienie zębami gryźć. Chłop prędzej wytrzyma i głód i chłód, a gadzina schnie, marnieje. Ona nie umie się poskarżyć, że głodna, że jej zimno, że pod nią mokro — ale marnieje. A na co się zda, jak marna? Aż grzech. Chłop nie potrzebuje dbać o sadło. Niech będzie chudy, jak chart — aby jeno robił. A chudoba nie — jak marna, to do niczego i tyle. A jeszcze prosię!

Tak medytując, szedł Proć noga za nogą, spuściwszy głowę bezradnie, jakby czego szukał po drodze. I nie opatrzył się, jak stanął przed sklepem, w którym pierwszy raz targował. Żyd zagadał do niego.

— A co? Prawda, że nigdzie niema taniej? Słuchajcie, Iwanie, czy jak wam. Niech stracę. Dam wam po dwa za grajcar, ale to przysięgam Bogu, nikomu, jeno wam. Chcę mieć dobry początek.

— Chyba na skonanie początek — burknął Proć.

— Ja sobie rachuję początek na jutro.

Proć zadumał się.

— Dajcie po trzy...

— No, no, jabym sam gdzie kupił po trzy — uśmiechał się żyd.

W mig postanowił Proć wziąć pieniądze od żony. Pobiegł do niej czemprędzej.

— Dawaj pieniądze!

— Jakie pieniądze? Przeżegnajże się krzyżem świętym.

Proć zacisnął pięści.

— Słuchaj, nie gadaj mi bzdur, bom taki dobry, żebym cię zjadł!

Prociowa zdziwiła się.

— Co tobie człowiecze? Czyś się upił? A co ja dzieciom powiem?

Proć syczał zduszonym głosem, jak gad.

— A jakaś ty matka? To ty ich nie umiesz zabawić?

— Upamiętaj się, Prociu! Ciebie odmieniło?!

— Ja cię tu zaraz upamiętam, aż ci oczy wylezą! Toś ty gospodyni?! Ona nie myśli, gdzie ja prosię schowam, jeno do mnie: »upamiętaj się«. Toś ty taka gospodyni? ha? — skierował ku niej kułak.

Ale Prociowa nie ruszyła się nawet, jeszcze pochyliła głowę ku niemu:

— Na, bij — bij mię, co stoisz? — i zaszlochała.

Proć, nie bawiąc się długo, wetknął rękę w jej zanadrze, wyciągnął szmatkę z trzema grajcarami i poszedł dobić targu.

NIE-CZYTELNIAK.

Przy kieliszku wódki to ja i pogwarzyć, uważacie, lubię, bo człek stary i nie będzie przecie z parobkami za *ľondrami* gonił, o, nie-e! A-o to, to — ale! Wypiję, uważacie, jeden, wypiję drugi i dusza na miejscu. Bo i któż to, uważacie, wie, czyje jutro?

— Ot, Moskal, słychać, powstanie robi na zagranicę, niby to, jak jakiś powiedział, i na nas, bo on, uważacie, Moskal, to swoje muchy, jak ten gada, pokazuje. I będzie chłopie wojna.

Ij, ale my, uważacie, utniemy Moskalowi nosa. Bo nasz *starszy*, uważacie, jak wam nie pójdzie do kościoła, jak się nie pomodli do Matki Bożej, do tej, wiecie, co to w takiej sinej płachcie, że aż oczy bolą (bo ja, uważacie, — pochwalę się — i po kościołach chodził), to jak się nie pomodli do Matki Bożej, co ją żydy ukrzyżowały — słyszysz Abramku! ukrzyżowały ją żydy pogany za chrześcijańską wiarę na wieki wieków amen, psi synu! — to jak, uważacie, nie pomodli się nasz *starszy* do niej: »Matko — powiada — Boża, matko *pronajświętsza*, matko, jak ten *jerentij*[1]) bodaj się knyszem udławił, powiada, *bezoślinnaja*, matko, pada... ale już ja, słyszycie, tak nie udam; to ona, miarkujecie, takiej persony odrazu wysłucha i nam do pomocy stanie.

To jak, uważacie, wojsko wylegnie z tego boku i z tego,

---

[1]) Dyak.

to tak, padam wam, jak trawy, abo liści: tyle tego! Ono tak, uważacie, opowiadają starzy ludzie, że jak jakoś tu raz przyszedł Moskal, to wam szedł przez nasze pola od świtu aż do ciemnej nocy — miarkujecie se: od świtu do ciemnej nocy (to, uważacie, nie z bata strzelił); ale jak wam, pod dom legł, to... strach ile tego było. Kędy okiem rzucisz, to: Moskal i Moskal i Moskal, raz po raz. Ot, uważacie, jaka ich to ćma, ale nasz *starszy* jak nie krzyknie na wojsko: »Anu, chłopcy, chodźmy, pada, na Moskala! to zetrzemy go na słomę, na sieczkę, na proch go zetrzemy!« O-tak, o! Bo nasz *starszy*, uważacie, kędy jeno spojrzy, to ogniem, jak ten poada, posypie, a spali Moskala na pniu — taki, poadam wam, na pniu!

I wtenczas, uważacie, Moskal nas nie dosięże, a nasz *starszy* pójdzie, chłopie, het, het, w górę. I wtenczas, uważacie, naszego pisarza zrzuci, a swego, miarkujcie, *podstarszego* na jego miejsce postawi. Bo jemu, wiecie, wszystko lekko: do pierwszego lepszego jakiego, co niby wie, kędy się drzwi otwierają, pójdzie, i: »Panie *fir*, pada, czy *wichtar*, czy jak tam, idźno ty, pada, do tej, a do tej wsi, idź prościusienko tą uliczką, co koło Damiana Bezkoniecznego (to het, uważacie, w *maupach* stoi) i dopytaj się tam do wójta Fedora Kuszniaruka i tam zaraz stawaj na pisarza; a krzywdy ci tam nie będzie: co ci się będzie należało, to — pisz, czy nie pisz — gromada ci złoży, a ty se siedź, jak u Boga za piecem, jeno miej na ludzi, jak ten pada, miej obaczenie!«

Bo gadamy tędy i owędy, a to taki, uważacie, co prawda: nasz pisarz, uważacie, z ludzi drze, wielkie podatki, sobaczy syn, nakłada na świat chrześcijański, a ten, uważacie, *podstarszy*, jak ostanie pisarzem, to zmniejszy podatek.

Jeno mi jedno, wiecie, nie bardzo, jak ten powiada, klapuje: nie wiedzieć, czy ten kandydat na pisarza umie czytać gazety? (bo jego, uważacie, pewnie jeno na tabelach uczyli — albo co,

a w tem, kto go wie? możeby i gazetę przeczytał, bo *starszy*, miarkujecie, to się już pewnie piśmienny rodzi) no! ta to jeszcze, jak Pan Bóg da, jeszcze zobaczymy; ale nasz, uważacie, pisarz, to i gazety umie czytać.

Nieraz bywało przyjdę do niego i powiadam: »Panie Szymonie, przeczytajcie-no, co to w tych, niby gazetach, powiadam, stoi?« A on, to jak wam nie zacznie czytać, ij! wsze o jakichś Polakach, i o Rusinach, i o Besmarkach, i o żołnierzach, i o jakichś Dopasach — ale: wszystko, uważacie, czyta. A ja, uważacie, siądę, zakurzę fajkę i słucham, jak ten powiada, ile wlezie, a taki wam, wiecie, choć łeb utnij!

To on mi tam weźmie gadać: to, poada, te Rusiny na Polaków, czy jak tam, wiecie, bardzo ujadają, te, poada, we Lwowie. To oni niby, poada, panowie, ale i z chłopami, powiada, trzymają. I jeszcze jakoś dziwnie tę gazetę, słyszycie, przezwał — ot kręci mi się po języku: jakieś czy łepate, czy... ot widzicie! takim se wspomniał: *Diło* — to, to, to! Bo to jeszcze, uważacie, jest i druga gazeta, co to o czytelniach pisze, to ona też, uważacie, ma swoje imię, ale już się nie zwie tak dziwnie: *Gromadzkij Gołos.*

Ba, a znowu, powiada, uważacie (dobrze żem nie zabaczył) to powiada, tę gazetę jakiś spekulant układa, co ani do cerkwi nie zajdzie, ani choćby nawet do karczmy; wsze miarkuje, jakby to zabrać grunt tym niby drugim gazetnikom.

To, powiadam wam, jak weźmie czytać, to mnie, uważacie, aż sen bierze, a jak nie zacznę dumać, to zaraz, uważacie, przyjdzie mi na myśl moja nieboszczka Pałagna: jak to ona, wiecie, umierała i żegnała się ze mną i tak wam żałośnie, że Boże twoja wola: »Żegnaj, powiada, Iwanie, mężu!« A potem, wiecie, zawołała Mikitkę i pocałowała go w głowę i: »Żegnaj, powiada, synku mój Mikitko!« A potem, uważacie, z Jędrkiem, ale i jego w główkę pocałowała: »Żegnaj, powiada, synku mój, Jędrusiu!« A potem,

uważacie, jak nie stanie obejmować Doćkę, a całować, a przypowiadać: »Żegnaj, powiada, córusiu moja Dociu, córeczko moja luba!« Ta gdzie: ja i dziesiątej części z tego nie pamiętam, bo ona jeszcze, uważacie, nieboszczka, to i z najmitą: »Żegnaj, powiada, Hryciu!«

A potem sobie wspominam, jak ona, nieboszczka, już na ławie leżała. Ba! ale co: ja, uważacie, wypił jeden kieliszek i drugi, ba, i trzeci, i myślę se: »Oto, miarkuję ja sobie, powiadam, piję, a duszyczka mojej nieboszczki pości!« I łyp na drzwi: a ona, wiecie, duszyczka mojej nieboszczki w miotle — jakby się powiedziało — koło drzwi siedzi.

Ij! a ja taki do drzwi, ta jak, uważacie, chwycę miotłę w ręce, jak nie wezmę ściskać, nie wezmę płakać! ale: »Żoneczko moja, powiadam, duszyczko moja dobra!« przypowiadam. Ludzie, uważacie, na mnie: »Co wam się, powiadają, stało Iwanie? Ta to wszystko, poadają, Boża wola!« Ale gdzie, ani mi w myśli: ja wsze swoje: »Żoneczko moja, powiadam, duszyczko moja dobra!« przypowiadam. Jakoś mnie uspokoili. Alem wieczór, uważacie, wziął szklankę wódki i pół chleba i postawił na okno, bo, wiecie, powiadają ludzie, że dusza na drogę napije się, a jeszcze w nocy, miarkujecie, to i przekąsi. Wstaję ja, uważacie, rano do okna, a ono akurat tak i jest: duszyczka mojej nieboszczki o tak — o, na pół palca wódki nadpiła, ale chleba, uważacie, jakoś i nie ruszyła.

I tak to zaraz przyjdzie mi na myśl moja nieboszczka, ta jak nie zacznę płakać — Chryste! aż mi się serce kraje, tak mnie jakoś żal zbiera, jak on zacznie z tych gazet wszeleniejakie różności, wiecie, wyczytywać: to o jakiejś pannie, co to jej het, aż do dołu włosy rosną (taką jakąś maść wymyśliła) i pokazuje swój *potret* — to o jakichś posłach, co niby te posły, to ich, powiada, wszyscy ludzie naraz obierają i, powiada, posyłają ich czy do Wiednia, czy do Zabłotowa, czy już, powiada, gdzie tam trza, czy

do *tabaku*, czy do podatków, czy do *romanentów*, czy do gazet — a zresztą, ktoby ich tam akurat spamiętał! Ale to, uważacie, i Semen Hryców i Semenów Hryc to oni i swoje głosy dali na tego posła, bo to jeno, uważacie, obiorą sobie posła i dadzą na na niego głosy i marsz, gdzie panowie każą.

Ot prawda: — wspomniałem tych panów. Tak. Raz przyjechał, uważacie, jakiś pan do Iwana Husaka: w okularach i w takich, wiecie, delikatnych trzewikach, choć wciągaj na ręce i czesz się w nich: takie wam błyszczące, a jeszcze i w wyszywanej koszuli. A ja, wiecie, idę do Hawryły Krajnego — ot zabaczyłem już czego, czy oś mi się złamała, czy nieboszczka moja — królestwo jej niebieskie — zasłabła? (ot, uważcie, nie pamiętam, a to, com chłopcem jadł, to i to pamiętam, a tom jakoś zabaczył). Ale idę ja, uważacie, do Hawryły Krajnego i widzę na dworze u Pieczonego tego panka. O tak, uważacie, ja idę, jakby nieprzymierzając Abramko... wstańcież! o tak, wiecie, o: ja, o, tak idę, a Pieczony tak stoi, jakby ot wy, a ten panek, co w okularach i w wyszywanej koszuli i w trzewikach, jakby ot Abramko stoi. Ale nadchodzi Semen Piotra Prokopowego Hałuszki, co to ma Naścię Wasyla Bezkiszkiego: »Niech będzie pochwalony!« »Na wieki wieków!« »A czy widzisz ty, poadam, ot tego pana, co uważacie, poadam, w okularach i takich delikatnych trzewiczkach, choć, poadam, wciągaj na ręce i czesz się w nich, ta jeszcze, poadam, czy widzisz, że na nim wyszywana koszula, widzisz, poadam, ha?!«

»Ta widzę« powiada Semen Piotra Prokopowego Hałuszki.

»Ba, czegóż on, pytam, uważacie, na co on, poadam, chłopską koszulę na siebie wdział?«

»A choroba go, powiada, wie!«

»O widzisz, a ja taki wiem« (bo to ja, uważacie, słyszał, że to jakaś, z przeproszeniem waszem, moda, czy jaka wiara na tych panów nadchodzi) i: »to, poadam, widać taka moda na niego

przyszła, że on, poadam, chłopską koszulę wdział« (bo ja już, słyszycie, i w krypcach panów widział).

»Gadajcie swoje — powiada Semen — niema, powiada, gdzie pieniędzy podziać, durnieje i tyle«.

»Hm! — myślę, wiecie, sobie — może on i durnieje, a może, poadam, i nie; może ono uważacie tak, a może znaczy, jak ten powiada, i nie tak! wszystko bywa: jeden siedzi w karczmie, a drugi, uważacie, w czytelni. Zmawiają się, wiecie, złodzieje i pańszczyznę, uważacie, chcą zaprowadzić: taki, uważacie, wójt, taka rada i taka gromada. Oj, niema, jak ten cygan powiedział, prawdy, jeno u mnie i, powiada, u Pana Boga troszkę.

Bo i *prefesór*, myślicie, lepszy? Taże to wszystko w zmowie! A nacóż on *ferdelunki* pisze, że, uważacie, nasze dzieci do szkoły nie chodzą?! A jeno: on, wiecie, napisze, pisarz, uważacie, przeczyta, wójt, miarkujecie, ściągnie pieniądze, a potem się wszyscy trzej, na ten przykład, dzielą. Drą, uważacie, psie krwie, a wszystko z nas, a wszystko, na ten przykład, z nas.

Albo onegdaj, słyszycie, posyłam swego Mikitkę (on już, wiecie do szkoły chodzi): »Idź, powiadam, Mikitko, goń krowinę paść, a ty, powiadam, Jędruś (już mu na trzeci roczek) idź miasto Mikitki do szkoły!« (Posłałbym ja, wiecie, paść i Jędrusia — ba, żeby to, uważacie, większe, tobym sprał i — machaj na scierń! ale co tam bić?). To powiadam mu: »Idź za Mikitkę do szkoły, a jak cię, powiadam, *prefesór* zapyta, czego ty, albo jak, to ty, powiadam, powiedz, przyszedł za Mikitkę do szkoły«.

Chłopczyna, wiecie, galopem poleciał. A ja, uważacie, siadł i strugam zęby do grabi. Ustrugał ja, wiecie, jeden, ba, uważacie, i drugi, ba i trzeci, a mój Jędrek leci z płaczem. A to, wiecie, ciekawe dziecko: jeszcze mu jeno rok było, a już tak gadał, że ale... — bywało, wszystko mi gadał: »Ty złodzieju stały, choloba by cię napadła!« — a matkę jak, bywało, urznie w pysk, to aż

się jej gdzieś w nosie zakręciło; i wiecie, umie każdemu, jak ten powiada, cześć oddać: onegdaj idzie jegomość do cerkwi, a on bawi się z dzieciskami na ulicy, to jak jeno ujrzał, wiecie, księdza, tu zaraz się trzy razy przeżegnał i cmok w rękę.

Więcem, uważacie, nie dostrugał jeszcze czwartego zęba, a Jędrek już z płaczem koło mnie. »A-dzisz, powiada, ja przyszedł do szkoły, a *prefesór* powiada: »ty czego tu?« A ja, powiada, powiedział, jakeście mi, powiada, kazali powiedzieć: że, powiada, Mikitka pognał krowę, a ja, poada, za niego do szkoły przyszedł, a *prefesór* mi: marsz, poada, na złamanie karku — tu nie jarmark, niech twój tato idzie do miasta, jak chce handlować!«

No — i widzicie! ta, czy jemu, uważacie, nie wszystko jedno: czy ten, czy ten będzie czepiał w szkole? Ale to wszystko hajdamaki, pańszczyznę chcą zaprowadzać.

Już to dobrze gadał ten pan, wiecie, co to w kaszkiecie, co to na egzekucyę do nas przyjeżdżał, że to, poada, moskiewska, poada, robota! Ono tak i jest: pańszczyznę, uważajcie, zaprowadzą, pod Moskala nas dadzą i — giń chrześcijańska duszo, jak ten powiada, z kretesem!

Otóż taki ich robota niczem dobrem, na ten przykład, nie pachnie, bo jakby to, uważacie, co dobrego, toby ten, wiecie, powiedział, co to do czytelni gdzieś aż ze Lwowa przyjechał, że to tak, a to tak, to ot tędy, a to owędy, to, uważacie, na ten bok, a to, na ten przykład, na ten bok! — a on coś plecie, ni to, ni owo — ba: trzymajmy się (nie wiedzieć jeno czy za czuprynę, czy za co? — Chu! cha! cha!) ba, wiecie, jak ten gadał... ni tędy, ni owędy! Temu to mi, jak Abramko powiedział, że nie chodź, powiada, do czytelni, nie zapisuj się, bo tem się, powiada, pod Moskala zapiszesz, pańszczyznę, powiada, podpiszesz! O-to tak wam, wiecie, ono i jest!

Ale nie wskórasz ty Moskalu! oj, nie! nasz *starszy* ciebie,

jak ten powiada, na drobny mak! I wtedy odprawi pisarza, postawi nową radę, wójta zrzuci, a mnie, na ten przykład, wójtem zrobi.

Ij, Abramku! i mnie wójtem zrobi: a wtenczas, uważacie, czytelnia het do ciężkiej choroby — he-et! Bo te czytelniaki chcą nad nami przewodzić i nowy porządek zaprowadzać! Tak, jakby on jeden z drugim nie taki, jak ja! Niby to u niego trzy piędzie między oczyma? O, nie! Nasi ojcowie, praojcowie tego nie znali, a żyli!

Mój ty! jak ja wójtem ostanę, to dobierzemy się wszyscy tacy, jak ja, i het skasujemy czytelnię, a przemądrzałym czytelniakom na miejscu *finun cwancyk* i hybaj!... Wtedy zczeznij Moskalu, siaki-taki bez wieści przepadaj... uważacie... a nasz *starszy* niech żyje, jak ten powiedział, *na mnohaja lita!* Wiwa-a-at! niech żyje nasz *starszy* i, jak ten powiada, syn jego, i, na ten przykład, cała jego familia i... ty Abramku!...

Żyj nam, jak jakiś powiedział, Abramku, *na mnohaja lita*, a jak ja będę wójtem, to uważasz, we troje ci zapłacę!...

He-ej sida dana-a!
Siadła kotka na barana,
Siadła, jak ten poada, kotka na barana,
Siadła... uważacie... na ten przykład... i t. d.

PANAS MYRNYJ

OBŁAWA.

I.

— Słyszeliście? Kosteńko się żeni.

— Z kim?

— Z Hyrówną?

— A jakże.

— Co gadacie? Koło niej jego starszy brat chodził.

— To koło starszej, a ten z młodszą.

— Co bajecie? Z jaką młodszą? Przecie jest tylko jedna: czarniawa, okrągła na twarzy, jak księżyc w pełni.

— Wiem, wiem. Nie z tą; jest druga młodsza. Biaława, niewielka, pyszczek ostry jak u liszki; ruchliwa, jak żywe srebro.

— To czemuż ja jej nie znam?

— Bo nie możecie znać. Nie było jej w domu, uczyła się w instytucie.

— Jakże to: młodszy przebiegł drogę starszemu?

— A cóż? Żeby się familia kupy trzymała.

— Pewnie żartujecie?

— Dobre żarty, jak ślub w niedzielę. U jenerała karetę wyprosili młodych do cerkwi zawieść... Sam, mówią, obiecał być... górą nasi!

Tak rozmawiali mieszkańcy wielkiego miasta. P... po wszystkich domach, ulicach i placach, dziwiąc się temu niespodziewanemu weselu. To wesele nie dawało spokoju ni starym ni młodym, ni biednym ni bogatym, wszystkim uwięzło w zębach; wszyscy je tłumaczyli po swojemu.

Jedni mówili: — O-o wielkiego szczęścia dostąpiła! Obwodowego prystawa! I w dzień nie jedz i w nocy nie śpij, a zawsze goń, jak wściekły pies, wywaliwszy język.

— A cóż to ona za rarytas? — huczeli inni. — Patrzcie, wielka pani! Że była w instytucie, to wielka rzecz! Cóż ona ma? Co on za nią bierze? Bryndza do śmierci, tyle, że twarzyczka ładna.

— A przecie ona mu nierówna: ona z lepszej, choć podupadłej familii, instytutka, a on popowski syn, wałęsał się koło szkoły, był popychadłem, był i w straży, i w wojsku służył, a że i tam nie dał rady — tak gdzież się podzieje? Ano do policyi... A i tam wybił się tylko przez to, że jednej pani robotników w cegielni uspokoił. Nie zapłaci pani robotników, oni w gwałt: Jakże to? za co to?... Zaraz do Kosteńki. A on się kręci, na głowie staje, a pani wygadza. Zato ona do gubernatora łaziła i to miejsce wyprosiła... Czy to nie wiemy?

— Co wiecie? — gorączkowali się jego stronnicy. — A wiecie, że gdyby nie on, toby naprawdę był bunt? Wiecie co za jedni między robotnikami byli? Jakie »cudełki« po mieście rozpuszczali, jakie zgromadzenia urządzali i jakie książki czytali? Otóż on wszystko wyśledził i wypatrzył... Jednego złapał, drugiego przychwycił — oho! — odrazu tym gałganom wybił z głowy buntowanie... Teraz, nie bój się, i pani się nie skarży i robotnikom dobrze... Wy wiecie, że on u policmajstra pierwszy »na szczotu«? Żandarm nie może się go nachwalić, prokurator wszystkie sekretne sprawy jemu porucza!... I co tu gadać? A pierwsza żona chyba nie była instytutka?

— Ale — skądże, z instytutu... Dużo szczęścia zaznała u jego

ojca na wsi, wynosząc z pod krów, dojąc owce! A jakże, wiemy! Wiemy jak ją beznadziejnie chorą na suchoty tutaj przywieźli i zamiast leków, podsunęli blankiet wekslowy. Wiemy, jak po jej śmierci sprzedawali jej domek. To też i dlatego my teraz tak podskakujemy, że w kieszeni brzędzą jeszcze żonine pieniążki!

II.

Państwo młodzi nie słyszeli tego hałasu i nie wiedzieli o nim. Tacy byli oboje szczęśliwi! Jemu 27 lat, a jej na siedemnasty. Drugi miesiąc, jak owdowiał nic nie używszy, a namęczywszy się za pierwszej żony jej ustawicznym kaszlem, kwękaniem i widokiem jej cierpienia. Jakże mu się teraz nie zapatrzyć na pyszną urodę, co się rozwinęła, jak różowy kwiat w blaskach zorzy?

Cóż dziwnego, że mu odrazu wpadła w oko, kiedy ją zobaczył... a ona wszystkiego drugi miesiąc, jak wyszła z instytutu, gdzie w głuchych, niemych ścianach, samotna myśl malowała jej świetne galony i połyskliwe ostrogi.

— Orysiu, serce! — szepce, zaglądając jej w oczy. — Kiedym gonił złodziei, kiedym śledził zbrodniarzy, przychodziło mi się błąkać w takiej ciemności, że własnej ręki przed sobą nie widzisz. Jakże tę ciemność przyrównać do twoich oczu? Biały dzień, jasne światło!... W twoich oczach nic nie widać, zabłądziłbym na zawsze w ich czarności.

— Zabłądziłbyś? — pyta ona, czając się chytrze — nie bój się, przybłąkałbyś się do mego serca — i ponsowiejąc jak kwiat, skłania swoją główkę na jego ramię.

Płomienny pocałunek przerwał ich rozmowę. Czarne jej oczy migotały; obejmując białemi rękami jego szyję, szeptała:

— Grzesiu! Widziałam cię raz przy pożarze, jakeś pilnował porządku. Teraz znów ogień: płonie moje serce, płonie — połóż swoją rękę na niem -- zgaś ten buchający płomień.

Posłuszny przylgnął do niej i, mdlejąc w jej objęciach, myślał:

— Instytutka! instytutka! Czysta i niewinna, jak dziecko.

W niedzielę się pobrali. On stał na ślubie niby orzeł siwy i myślał: — Za przeciąg całej mojej służby nie udało mi się złapać takiego ptaszka — zbrodniarza, jak ten przy mnie... Strzeżcież się teraz dzieci czarnej nocy! Nie ukryjecie się przedemną nawet i pod ziemią; i stamtąd was wydrę i wywiodę na biały dzień. Takiego zwierza schwyciwszy, schwycę was wszystkich!

A ona — cóż ona myślała? Stała przy nim, jak ta płochliwa gołąbka i tylko kiedy niekiedy strzelała z ukosa oczyma na przystojnego oficera od artyleryi...

III.

Minął tydzień; tydzień słodkich całusów, gorących uścisków, zapamiętałego poślubnego szczęścia. Mieszkali w obwodzie, a przez ten tydzień odrywano go od niej nieraz do jakichś tajemniczych spraw, cichych szeptów i rozpraw.

— Cóż tam masz za interesa? — pyta się ona.

— Interesa, serce, sekretne interesa. Trzeba wiedzieć, że się robi i pod ziemią.

— Ej chyba tak nie potrzeba?

— Trzeba. Jeżeli my w ludzkie dusze wchodzimy i w ludzkich sercach czytamy...

— Ej chybaście nie tacy wszechwidzący? — przerwała mu.

— Tacy.

— A wiesz co się w mojem sercu dzieje?

— Wiem, Orysiu. W twoim sercu kryje się jeden człowiek, który nie zadługo policmajstrem zostanie. Wkrótce cię opuszczę, moja gołąbko.

— Mnie? na długo? — zapytała z lękiem.

— Nie, szczęście. Może z tydzień sama zostaniesz, posmucisz się, póki nie wrócę...

— Tydzień! — mało żona nie płacze. — Cóż ja zrobię z tym tygodniem? Chyba umrę z tęsknoty!

— Nie umieraj moje szczęście... »Policmajsterszą« będziesz... wiesz, »policmajsterszą«!

— Gdziesz ty jedziesz?

Zamyślił się.

— Za jednym zbrodniarzem. Za wielkim zbrodniarzem, za którym już cały rok wszyscy węszą, a nie mogą go schwytać. A ja go schwycę!

— Kiedy tak, to i ja pojadę. Pojadę na wieś do przyjaciółki. Tyle razy mnie już prosiła, a ja nie mogłam się wybrać. Pojadę teraz... Koleją nie daleko, zaraz, druga stacya.

— Dobrze serce. Zaprowadzę cię na kolej, a potem i sam pojadę.

— Nie będę tam długo: zabawię dzień, dwa i wrócę. A ty mi wszystko powiesz, co my robiły? — żartowała.

— Ja i tak wiem, co wy będziecie robiły.

— No co?

— Ot co! — rzucił się do niej i gniótł jej usta namiętnymi pocałunkami.

— Nieprawda! nieprawda! — drażniła go śmiechem, połyskując złośliwie oczyma.

IV.

Po obiedzie udali się na spoczynek; oboje nie będą spali całą noc. Ona ma jechać do przyjaciółki, on się wybiera na obławę. Tylko na chwilę pobiegła do swoich rodziców, coś napisała, gdzieś wysłała, i prędko położyła się spać.

— Gotuje się do drogi — myślał, leżąc na łóżku z przymkniętemi oczyma, kołysała go z cicha senność. Spokojna senność niedawnego ojca familii, szczęśliwa drzemka młodego. — Niech się przejedzie, przewietrzy, zabawi, a ja tymczasem załatwię swój interes... Dobrze, że się nie dopytuje, gdzie jadę i po co jadę? Po co jej to wiedzieć? Młoda, takie dobre serce... przejmie ją żal za tymi, na których ja zastawiam sieci, zacznie prosić, płakać... jakże wytrzymasz? Lepiej, że nie ciekawa... Niech nie wie jej dobre serce, jak my musimy dzieci od rodzin odrywać... Och gorzka i niewesoła ta nasza dola! Na ludzkich łzach wyhodowana, na cudzem szczęściu zbudowana!... hm... Na co ja tak wyklinam? Policmajster... policmajster... Jeżeli prokurator dotrzyma słowa i naprawdę będzie mówił z gubernatorem... Dziś powinni tu być. Hotelarze zaraz doniosą, kto i po co przyjechał... wszystko dobrze... Nie wymkniecie się gołąbki z moich rąk, o, nie wymkniecie!... Będę miał was tu na miejscu. I nie potrzebuję zupełnie za wami daleko jeździć, chociażem się chwalił, że pojadę... Nie wolno skłamać?... Jak wróci, to się dopiero zdziwi, że ja w domu!... Nie będzie już moja Orysieńka piechotą chodziła, nie będzie zbijała nożąt... będzie jeździła pożarnymi końmi, jak tymi smokami... Pożarnymi końmi... mój kwiatek.

Zasnął z uśmiechem. A ona, usłyszawszy przez sen, że posłaniec wrócił, wstała cicho i wyskoczyła do niego. Wróciła wkrótce z niewielkim strzępkiem papieru, przeczytała na głos: »Będę«, przy-

tuliła do ust i gorąco pocałowała to »Będę«. Zwinęła papier, schowała na sercu i, cicho położywszy się na łóżku, mocno zasnęła.

V.

Wieczór zaprowadził ją na kolej.

— Jakżeż ty serce sama pojedziesz?

— Jakto sama? Mało to ludzi? — zapytała, wodząc oczyma po przejezdnych.

— Sami obcy i nieznajomi.

— Cóż jeszcze wymyślisz? Obcy?... Nie zjedzą mnie przecież! Do wszystkiego trzeba się przyzwyczaić.

Tak mu się lekko zrobiło na duszy... »Do wszystkiego trzeba się przyzwyczaić... trzeba«... — kręciło mu się po głowie, kiedy ją prowadził do wagonu. Podróżni zapatrzyli się na nią. Słyszał, jak szeptali między sobą: »Co to za jedna? ładna, co?...« On, rad uwielbieniu, prowadził ją dumnie i pocałował ją wobec wszystkich... Wiedzcie czyja! Moja i niczyja więcej!

Nie gołąbkiem cichym, gruchającym, jakim był przy niej, ale jastrzębiem groźnym wrócił do obwodu. Tam pójść! To zrobić! Tego przyprowadzić! Na owego zasadzkę! — tak sypał rozkazami.

Wszystko biegło koło niego i słuchało w mig jego rozkazów. A on uśmiechał się do siebie, patrząc na tę krętaninę.

Wydawszy rozporządzenia, siadł nad papierami. Zebrało się ich dość za cały tydzień. Zaczął grzebać w tym stosie... Skrzyp — skrzyp — pióro charczało, jak w gniewie; papiery leciały na bok.

Długo bawił się z nimi. Ukończywszy wreszcie, wstał, wyprostował zmęczone plecy, wziął się rękami pod boki i, jak cyrkowiec, zaczął się wyginać. Potem popatrzył na zegar.

— Dwunasta... Oho!... Jeszcze godzina — i pociąg nadejdzie; a z nim i moje szczęście przyjedzie — mówił, ziewając. — Trza ledz bodaj na chwilę — pomyślał, i legł.

Przed zamkniętemi jego oczyma przesuwały się rozkoszne, szczęśliwe obrazy... Ona tam z przyjaciółką wesoło szczebiocze, a on się tu przyjezdnymi trudzi... Mili goście! gorąco oczekiwani! Proszę! proszę!... Nieście mi awans i sławę...

VI.

— *Wasze błagorodie!* — zahuczało mu nad uchem.

Rzucił się; przed nim, jak przydrożny słup, wyciągnął się dziesiętnik.

— Od Chwolsona posłaniec przyleciał... Powiada: dwu jakichś pasażerów przyjechało — zamknęli się i nie chcą podać nazwisk.

Jemu oczy zapłonęły... No, chwała Bogu!

— Kto tam, wszyscy ze mną! — huknął. — Leć do żandarmskiego adjutanta!

W pół godziny byli wszyscy w hotelu Chwolsona.

— Gdzie? pod którym numerem? — huczy, brzęcząc ostrogami.

— Pod ósmym. — mówi portyer.

Podeszli pod drzwi. Zastukał.

Otworzyć!

— Kto tam? — wyleciał głuchy głos z poza drzwi.

— Otworzyć!

— Idź do dyabła!

— Otworzyć, bo będzie źle.

— Nie otworzę.

— Wal w drzwi! — rozgniewał się

Czarny, jak cygan, dziesiętnik przyciągnął z drewutni dębową

kijankę, podszedł ku drzwiom i zamachnąwszy się grzmotnął... Łoskot, jakby grom, rozszedł się po kurytarzu, ze ściany posypała się glina i wapno.

— Bij dalej! — huczy przystaw.

— Raz! — grzmotnął na nowo dziesiętnik. W drzwiach zaskrzypiały zawiasy; jedna deska nadgięła się do pokoju.

— Dwa! — krzyknął znowu... Drzazgi z drzwi leciały do środka.

— Trzy! — Drzwi rozskoczyły się.

W pokoju było ciemno, tylko przez okno widniało niebo zachodzącemi zorzami, a z ulic migotały latarnie.

— Światła! — krzyknął Kosteńko, wpadając pierwszy do wnętrza.

Przyniesiono świecę i za nią weszli wszyscy. Na środku pokoju stał wysoki i tęgi mężczyzna w oficerskim mundurze, a przy nim biała, jak łabędź — Orysia...

Żandarmski adjutant popatrzył na nią, mruknął: Hm... i rzecze:

— *Nu, z takimi perestupnikami mnie niczewo diełat'!* Zostawiam ich panu... Do widzenia!

— Widzisz go! kłamał mnie — mówił, że wyjeżdża z miasta i zełgał! — grając oczyma, przemówiła do męża Orysia.

A on, jak stał, tak z nóg zleciał. Gdyby go był dziesiętnik na czas nie uchwycił, byłby pewnie rozbił głowę o twardą podłogę.

* * *

Na drugi dzień w mieście huk, bicie w bęben... Jedni się śmiali, drudzy żałowali. A wieczorem w publicznym ogrodzie był taki harmider, że muzykę do znaku zagłuszył...

Aż tu z ciżby ludzi, na ścieżce do kiosku wyłania się Ko-

steńko z Orysią. On czegoś trochę nieswój, ona oparta na jego ramieniu, wodzi po wszystkich przyjaznem spojrzeniem.

— Ależ to ludzie łżą! — rzekł ktoś, a wszyscy wytrzeszczyli oczy.

— No patrzcie, jakie to ludzkie języki... — gorszyli się obywatele patrząc z przyjemnością na tę nie idącą, ale raczej płynącą parę.

— To wszystko te buntowniki... No, da on im teraz łupnia!... krzyczeli jego stronnicy.

Ale nie zgadli — od tego czasu Kosteńko nie chodził już na obławy... Niebawem został p o l i c m a j s t r e m.

POTAPENKO

NA NOWE GNIAZDA.

Wieś. Rozpoczyna się wiosna. Gdzieniegdzie leży jeszcze śnieg. Na ulicach błoto. Daleko na wsi dziewczęta śpiewają »wiośnianki«.

W zagrodzie starego kozaka Maksyma Kwacza pełno ludzi. Może wesele? Nie — muzyki nie słychać. — Może pogrzeb? — I to nie — bo księdza nie widać. Cóż więc takiego?... Wychodźcy-Kozacy ciągną na nowe gniazda! Synowie Maksyma, porzucają ojca, matkę, chatę rodzinną i idą nad Amur, za chlebem. Oto już ojciec wóz opatruje, konie jedzą, synowie wychodźcy wynoszą skrzynie i drobiazg wszelki. Ludzie obstąpili starego Moskala. Moskal z hryhoryewskim krzyżem na piersi; lewy rękaw płaszcza zwisa, bo ręki w nim niema; w prawicy laska; prawa noga tylko do kolana, resztę stelmach z drzewa dorobił za pół karbowańca. Dobra noga, cierpliwa; można ją nie tylko kulą bić, ale i siekierą rąbać, a Moskala nie zaboli. Zrobiona nożem i hyblem. Na noc zrzuca ją Moskal, na dzień przyczepia — posłuszna noga! Hryhoryewski krzyż nie zabawka, nie daremnie też zowią Moskala »kawalerem«. Chociaż go pokaleczono, ale za to on, »kawaler« — a to nie byle co. Do zgonu też dostaje po kilka karbowańców rocznie. Wejdzie »kawaler« do cerkwi — wszyscy ustępują, drogę mu robią. »Kawaler« stoi na samym przedzie, obok panów. Co roku na Hryhorya Pobidonościa kaleka-kawaler jedzie do Petersburga i ucztuje

w carskim dworze razem z innymi Moskalami — kawalerami. On do grobu będzie miał co jeść, i nie trzeba mu wlec się nad Amur za kawałkiem chleba. Prawda, że rodzina jego bieduje, bo jaki to pracownik z kaleki? No, ale co robić? Wszystkich trudno nakarmić.

— Tak, tak — powiada Moskal — Amur, to kraj daleki. Rachujmy tylko: Do kolei wiorst dziesięć, od kolei do miasta Odessy wiorst około tysiąc, a stamtąd okrętem przez morze trzeba jechać przeszło dwa miesiące. Dlatego władze nie puszczają starych i chorych, bo nie zdołają wytrzymać — pomrą na morzu! A władzom nie trza wydatków. Wieź starca, on ci chleb rządowy zjada, a potem patrzysz — i umiera! Bierz go za nogi i rzucaj do morza. Ot, tylko kłopot dla ciebie, a dla skarbu koszta!...

— Tak, tak — przytakuje jeden ze słuchających, starzec — jakiemuś tam Wasylowi chciało się umierać, a ty władzo spokoju nie miej! — Stary mówi ostro i nie uśmiecha się wcale.

— Nu, ojciec, jak już co rzekną, to tak jak żeby rublem przycisnęli.

— A może nie? — poczyna dziad, udając rozzłoszczonego. — Jeszcze czego się wam zachciewa! Chleba? A kamienia, nie chcecie?! Za co was chlebem karmić! Czy za to może, że ino jedną skórę macie! Owwa! Panowie nie chleb jedzą, jeno jakieś bułki, którychby może nawet pies jeść nie chciał, a oni biedni jedzą i mają nie jedną, ba wiele różnych skór. Jaką zachce, taką na siebie włoży.

Wszyscy śmieją się do rozpuku.

— Młodzieńcze, — powiada Moskal do parobka — poleźno ty w moją lewą kieszeń i wyciągnij rożek z ciemiężycą, niech zażyję, by w domu kłopotu nie znali.

Parobek wyciąga, Moskal zanurza palce w tabakę i nabija nos.

— Piękna to nagroda, krzyż — mruczy dziad, ale gdyby można własną ręką wyciągnąć rożek z kieszeni, to byłoby jeszcze piękniej.

Moskal nie słyszy tego, on znowu swoje prawi o rzece Amur.

— Co tu mówić, — przerywa jakiś wieśniak — Maksym ma dwóch synów i dwie synowe i czworo wnucząt, i jedno w kołysce, i żonę, i sam — to razem jedenaście gęb, a ziemi jeno trzy dziesięciny i trochę ogrodu — nie ma jak hulać! Musi iść szukać chleba po Amurach i po Sybirach.

— A na cóż oni mnożą się, jak świnie?! — prawi dziad. — Patrz, pozaprowadzali u siebie pańskie porządki: i żony mu się zachciewa, i dzieci, może jeszcze spać na poduszkach? Pamiętaj o tem, żeś bydlę! A bydlęciu co? Stajnia i koniec! Doczekacie wy się, że nie będziecie mieli ani sprzętu, ani obrazu w chacie, ani pomodlić się przed czem, ani się czem zarznąć!

Widzisz, czego mu się zachciało — chleba! A parzonej plewy nie łaska? Nie zdechniesz, nie! W Rosyi nikt jeszcze nie umarł z braku chleba, ino, jak umarł to z głodu!

Słuchacze parskają od śmiechu. A na to Moskal:

— Bo to tak dobrze pomyśleć, to: czy Rosya, czy Sybir, to wszystko jedno.

— A pewnie! — potwierdza dziad.

— A może tam lepiej, jak tu?

— Jużci, że lepiej, kiedy ludzie idą.

— A może to tutaj Sybir?

— Może!

— I tutaj ziemia i tam ziemia; to wygląda tak, jakby wszystko jedno było — powiada Moskal.

— Pewnie potwierdza dziad — pewnie, że wszystke jedno, ot, na ten przykład: pan panie wojak, masz dwie nogi, jedną tę, co ci Bóg dał, a drugą, co stelmach zrobił, i one jednakowe, bo to wszystko jedno, czy drewno, czy ciało...

Moskal zakłopotany. Słuchacze od śmiechu wargi gryzą, ale

śmiać się nie chcą, aby Moskala nie obrazić. A dziad nawet i wąsem nie ruszy.

— Wasza prawda, swacie... Nie chciałbym ja tego krzyża. Dajcie mi tylko moją rękę i nogę! Ja wam do kolan się pokłonię!

— A nad Amur poszlibyście?

— Pobiegłbym! Bo tu gorzkie życie! Wszędzie pańska ziemia. Ludzie mnożą się, a ziemi nie przybywa. Jednem słowem; giń kozacze!...

— Otóż to prawda! — odzywają się wszyscy.

— Co do mnie — powiada dziad — to ja ziemi nie chcę. Niech mi jeno miejsce gdzie wyznaczą, a ja se swojej nawożę.

— A teraz powiedzmy o Maksymie Kwaczu i o jego żonie. Ot, biedni! Już oni nigdy nie zobaczą swoich dzieci, tak jakby ich chowali! Hej, hej, gdybym miał rękę i nogę! — Moskal kiwnął beznadziejnie prawą ręką i powlókł się do chaty. Słuchacze jego rozeszli się po podwórzu.

Stary patrzy za odchodzącym, pokaleczonym kawalerem. »Nieszczęsny« — powiada, wzdychając.

Na podwórzu harmider; stoją wozy, dokoła rozrzucona słoma. W chlewie ryczy krowa. Świnie się wałęsają po obejdziu. Z podwórza wyjeżdża wóz; to sąsiad wiezie do kolei zboże wychodźców. Na podwórzu wszyscy stoją w milczeniu. Każdemu się zdaje, że to on wyjeżdża nad Amur, że to jego skrzynię powieźli. Wszystkich jakiś smutek ogarnął. Słychać westchnienia... W kącie leży Riabko i gryzie kość. Sroka wsiadła na świnię, jedzie na niej, i, dzióbiąc grzbiet, niejako ją popędza... Wrona przechadza się po parkanie i przypatruje się kości. Riabko harczy...

Drzwi od chaty ciągle się otwierają. Ludzie to odchodzą, to wychodzą... Na dworze jeszcze chłodno, mgła wisi, słońce choć świeci, ale mało grzeje... Ze strzechy woda cieknie; na ziemi błoto. Przyzba mokra, niema na czem usiąść...

W chacie też hałas. Stara matka ukradkiem łzy ociera i krząta się z synowemi i z kobietami koło pieca. Dwaj synowie, jak orły, słuszni, zdrowi, z czarnymi wąsami, kędzierzawi — pakują się. Ojciec ich, siwiuteńki człek, pomaga im. Twarz jego zmarszczkami pokryta, wąs wisi, włos zwichrzony.

W zapiecku bawią się dzieci. W kołysce małe krzyczy. Ludzie, jedni stoją, inni siedzą; to milczą, to ciężko wzdychają. W chacie czuć parę, dziegieć i kożuchy. Para jak welon spływa do pieca i ulatuje w komin... Na ziemi mokra słoma. Kobiety kręcą z niej wiechcie i pchają w piec. Słońce zaziera przez okno, rzucając swe promienie na słomę i na drewnianą nogę »kawalera«.

* * *

W izbie posprzątano; podmieciono i stół nakryto białą płachtą. Na stole leży, według zwyczaju, chleb, a na nim krztyna soli. Przed obrazem kopci woskowa świeca. Wszyscy oczekują *batiuszki*... Otoż i on. Przyjechał z pałamarzem. Wstąpili do izby. *Batiuszka* przeżegnał się i pobłogosławił ludzi. Wszyscy podchodzą i całują go w rękę.

On ubiera na się ornat, który pałamarz wydobył z chustki. Pałamarz rzucił do kadzielnicy żarzących węgli, rozdmuchał je i posypał jałowcem. Dym zakręcił się i rozwiał po izbie. Ludzie stoją bogobojnie. Ojciec rozścielił na ziemi płótno, *batiuszką* stanął na niem przed obrazem, za nim pałamarz i Moskal, a za nimi rodzina i ludzie.

— *Myrom Hospodu pomolim sia!* zaśpiewał batiuszka.

Hospody pomyłuj! odpowiedzieli chórem. Wszyscy poczęli się modlić. Rodzina klęczała. Synowe łkały, ale matka nie płakała; bogobojnie patrzała na ukrzyżowanego Chrystusa. Twarz jej była spokojna, a z oczu same łzy ciekły i w promieniach słońca bły-

szczały, jak brylanty. W chacie gorąco, parno. Dwaj synowie wychodźcy szeptali za batiuszką modlitwy; czoła ich były spocone.

— Módlmy się jeszcze za odjeżdżających! — intonował batiuszka. Wszyscy przeżegnali się. Kobiety poczęły głośno płakać. Matka na siłę wstrzymywała się od płaczu: złożywszy ręce na piersi, ciągle spoglądała na obraz. Ojciec stał ponuro, lecz również spokojnie i wsłuchiwał się w Boże słowa. Twarz miał, jak skrzepłą, tylko zmarszczki, pomiędzy brwiami zarysowały się wyraźniej... Batiuszko skończył modlitwę, wziął kropidło, pokropił izbę, pobłogosławił ludzi i przemówił do wychodźców.

Odprawa skończyła się. Batiuszkę posadzono za stół, na pokuciu [1]), a pałamarza na drugim końcu stołu. Rodzina i ludzie stali nikt nie siadał. Kobiety podawały jedzenie na stół. Ojciec częstował batiuszkę i pałamarza. Zjadłszy, batiuszka pomodlił się, podziękował gospodarzom za chleb i sól i począł zbierać się do domu. Stary ojciec coś mu do ręki wsunął i pałamarzowi również. Stara wyniosła dwa chleby, kawałek słoniny i kiełbasę i wszystko to położyła na wóz, do którego wsiadł batiuszka z pałamarzem.

Wóz ruszył.

Za stół usiedli teraz rodzina i goście.

— Uważajcie — mówiła matka po cichu do synowych, tak, aby nikt nie słyszał, — nie płaczcie mi, bo ojca strwożycie, a on i tak chory. Oszczędźcie go!...

— Uważajcie — mówił równocześnie ojciec do synów — ani łzy jednej! Będziecie w drodze płakać, a teraz spokój, bo mi starą strwożycie, a ona już i tak choruje. Oszczędźcie swoją matkę!...

Wszyscy jedli w milczeniu. Nikt nic nie mówił. Tylko łyżki stukały o miski. Stary ojciec po raz trzeci obchodził z czarką, ale nawet wódka nie rozwiązywała języków.

---

[1]) Miejsce honorowe, zwykle w rogu, pod obrazami.

— A to co? Czy do trumny kogo wkładamy, czy co, że tak wszyscy milczymy?! — rzekł ojciec.

— Chroń Boże odezwał się Moskal. — Poco tu smutek! Zdaje się, że nad Amurem piękniej, kiedy tam ludzie przenoszą się. I tam też ziemia chrześcijańska! Ech, gdyby mi tak ręka i noga, byłbym ja wam już dawno nad Amurem!...

— A chyba wam źle tutaj? — spytał się dziad. Przecież wy na krzyż pieniądze dostajecie!

— Co ja dostaję! — Mam przecież dzieci. Robić nie mogę, kaleka! Bóg zapłać ludziom, że z chaty nie pędzą. Gdzie wesele, gdzie pogrzeb, gdzie jaka okazya — to i ja tam. Czy psałterz przeczytam, czy co — ot i tem żyję!... Dajcie wy mi rękę i nogę! —

Moskal ciężko westchnął, kiwnął prawicą i krzyknął: — Dajcież mi, swacie, jeszcze jedną czarkę, niechaj raz koło serca ucichnie...

— Wy, ojcze — mówili synowie — sami nie orzcie, bo wy już starzy, sił na to nie macie, a dawajcie ziemię do spółki. Czasem i my wam jakiego karbowańca z nad Amuru przyszlemy i jakoś z matką żyć będziecie.

— Co! — krzyknął ojciec — co! Ja stary?! Ja?! Cha, cha, cha! Ot co wymyślili! I lekarz wasz głupi i wy z nim razem! Lekarz to samo mówił, że my starzy, że do Amuru nie dojedziemy, że w drodze umrzemy i dlatego nas nie puszczono razem z wami! Anu, doktorze stań no ty ze mną pomocujemy się! Zobaczysz, czy ten stary nie ciśnie tobą o ziemię, jak kamieniem! Ja stary?!... Czy nie myślicie wy sobie, że my z matką płakać za wami będziemy? O, nie doczekacie się tego! Ta wasza matka jeszcze mi takich synów powije, że to nu! Takich orłów, z wąsami zaporoskimi!... Takich kozaków, że wy im butów czyścić nie warci! Prawda stara?!...

— A, pewnie! — odpowiedziała matka i głośno roześmiała się, udając wesołą.

— A co? Hę? — również wesołego udając, krzyczał ojciec. — Naplułem ja na wasz Amur!... Co mi tam za rozkosz!... Tam powiadają kobiet mało, jeszczeby mi jaki Chińczyk jednooki ukradł moją stareńką. Cha, cha, cha!

Aby starego zadowolić, zaśmiali się wszyscy naraz, lecz wnet umilkli. Znowu smutek wszystkich ogarnął. Jak gdyby kot pazurami po sercu drapał...

Po obiedzie przyjechali sąsiedzi, aby odwieść wychodźców do kolei.

Oto już wszystko na wozy wyniesiono, oto nadchodzi chwila pożegnania, ostatnich ucałunków... [1])

Naraz zrobiło się w chacie tak cicho, jak w grobie. Nikt pary z ust nie puszczał. Ojciec zdjął obraz. Przystąpili wychodźcy i uklękli. Ojciec pobłogosławił ich i przemówił.

— Żyjcie synowie moi kochani w dobrej zgodzie! Trzymajcie się razem i nie zmieniajcie ani wiary swojej, ani obyczajów ojców i dziadów waszych! Daj Boże, aby nasza Ukraina zapanowała nad Amurem!... Z sąsiadami nie wadźcie się, żony swoje miłujcie, ale trzymajcie je krótko. Pamiętajcie że: »kochaj jak duszę, a trząś jako gruszę!«... Wódkę pijcie, lecz rozumu nie przepijajcie! A wy, niewiasty słuchajcie swoich mężów, domu pilnujcie i więcej dzieci rodźcie. Da Bóg dzieci, da Bóg i na dzieci!...

Ojciec wszystkich całował.

— A teraz idźcie do matki, niech ona was pobłogosławi. Modlitwa matki do samego Boga dochodzi.

Ojciec dał obraz matce, która obok niego stała. Poczęła matka błogosławić, ale ani jednej łzy nie uroniła, jak gdyby ich nie nad

[1]) Tak nazywa się jedna część pogrzebowego obrzędu we wschodnim kościele.

Amur, ale w pole wyprawiała. Wszyscy płakali. Na rzęsach synów błysnęły łzy, jeszcze chwilka i płaczem wybuchną, ale ojciec spojrzał na nich — tak srogo stary spojrzał, że synowie pojęli go i łzy w gardle zdławili...

— A teraz, według starego zwyczaju, usiądźmy wszyscy, aby wszystko dobre tutaj siadało! — powiedział ojciec i usiadł. Usiedli wszyscy i za chwilę wstali.

Jeszcze raz pożegnali się przed obrazami i jęli wychodzić z izby. Ostatni raz przestępywali próg swojej chaty... Czy wrócą tu jeszcze kiedy?...

Dzieci siadły na wozach. Ojciec spojrzał na nie i jakby mu serce skrzepło, łza stoczyła się po licu. Ścisnął zęby, aż krew na usta wystąpiła. Matka stała blada, lecz spokojna, oczy jej biegały po wszystkich, jakgdyby nie wiedziała, co się dzieje, dokąd jadą jej dzieci, skąd się tylu ludzi wzięło w ich zagrodzie? Wszyscy spostrzegli, że ze starą dzieje się coś złego i bali się, by zmysłów nie straciła.

— Gdyby choć płakać mogła! — myślał stary — Lżejby jej było, a tak — nie zniesie biedna takiego nieszczęścia.

Matka przystąpiła do synów. Wszystko naraz ucichło. Płaczące kobiety — zdrętwiały. Każdy oczekiwał, czegoś złego. Matka dziwnie powiodła po wszystkich oczami i, pokornie, jak dziecko uśmiechnęła się...

— A to, jedziecie już? — spytała — Dokąd?

— Dokąd? — powtórzył starszy syn z przestrachem.

— Przecież wiesz Matko, że jedziemy nad Amur...

Jak wilczyca, rzuciła się i chwyciła za koło. — Ach! — krzyknęła nieludzkim głosem, chwytając wszystkich tym krzykiem za serce i zmuszając do szlochu. Ojciec przypadł do niej i odciągnął od koła.

— Nie dam! nie dam! To moja krew! Nie puszczę! — krzy-

czała na całą wieś, jak opętana, rwąc na sobie siwe włosy i targając ubranie.

Wozy ruszyły z miejsca, a matka jak ptak tłukła sobą o ziemię i pianę z ust toczyła, póki nie postradała siły i nie upadła, jak martwa. Stary z Moskalem i z ludźmi przyniósł ją do izby i ułożył na łóżku. Długo leżała nieprzytomna. Potem podniosła się i poprosiła wody. Napiwszy się, spojrzała dokoła.

— Teraz to nie chata, ino pustka! — rzekła. — To trumna, a w niej dwa trupy: mój stary i ja...

Przez cały dzień leżala tak i jęczała. Stary siedział w zamyśleniu, fajki z ust nie wypuszczając. Nieraz łzy ściskały go za gardło, ale on fajkę gryzł, aż zęby zgrzytały i nie poddawał się. Moskal też w milczeniu siedział i wódką swoją biedę zalewał, ale nawet wódka pomódz nie mogła. Różności myślał kaleka. Chata w istocie jak trumna. Wbiegł do niej Riabko, ściągnął z ławy kęs chleba i poszedł — nikt tego nie widzi, nikt nie słyszy. Drzwi trochę otwarte, w izbie już zimno. Nikt na to nie zwraca uwagi. Wszystkim od myśli gorąco.

Ciemno już. Z pod pieca wylazł świerszcz i świergoce. Potem lezie na ławę, z ławy na stół, ze stołu na rękę starego i biegnie po niej — ale stary nie widzi go, tak bardzo w myślach utonął. Matka wstała kiwając się, zapaliła świecę i jęła podawać wieczerzę. Jak zwykle pokładła na stół całą wiązkę łyżek. Moskal wstał, oddzielił trzy łyżki, a resztę schował do łyżnika. Starzy spojrzeli na owe trzy łyżki. Matka zawyła i upadła na łóżko, ojciec jak oparzony wybiegł na podwórze. Rzucił się na wóz, na którym sąsiad jego synów do kolei odwoził i rozpłakał się jak małe dziecko, ale łzy te kozacze widział tylko ciemny wiosenny wieczór i nikt więcej...

— Przestańcie pani matko! — uspokajał kaleka starą.

— To jeszcze nie bieda, bieda stoi przed wami — to ja!

Byłem ci kiedyś człowiekiem, a teraz co? — kaleka. A przecież nie gniewam Boga, nie narzekam i nie płaczę, bo wiem, że to grzech.

Stara uspokoiła się trochę...

— Północ... W chacie ciemno... Na łóżku leży stara, na piecu stary, na ławie Moskal... Obok niego na ziemi leży jego drewniana noga... Cicho, nawet świerszcz usnął...

— Stary!... Ty śpisz?... wołała stara. — Śpisz?...

Cicho...

Stary nie śpi, ale milczy, aby stara myślała, że on nie duma, ino śpi, i aby się uspokoiła...

Mija pół godziny.

— Stara, ty śpisz? — woła z pieca stary — Śpisz?...

Cicho...

Stara milczy, choć nie śpi, i chce w ten sposób okazać staremu, że ona nie myśli, ino śpi. — To go ukoi — myśli stara — i on uśnie...

Moskal wszystko to słyszy, ale chce okazać starym, że on nie myśli, jeno śpi spokojnie. To ich oboje ukoi, — myśli kaleka i zaczyna chrapać. — Hej, gdyby mi tak ręka i noga! — burmocze niby przez sen.

SEMANIUK (M. CZEREMSZYNA)

DZIAD.

Kłótnia w ten sposób się skończyła, że stary Cziurej odosobnił się od dzieci i od dzisiejszego dnia śpi na podwórzu, a dzieci w chacie. Im do niego nic, a jemu do nich, choćby się chata waliła.

I dziad skurczył się pod chlewem na wiązce mierzwy, ale powieki się nie kleją, a w głowie kotłuje.

— Żebyście się wtedy dorobili, jak woda w górę popłynie, żebyście się tego samego od swoich dzieci doczekali. Tak wam życzę, jakem wam ociec, jakem wam ten grunt zapisał...

— Ale jak mię zięć częstuje, to niech tam, bo to cudze dziecko, to za to, żem go do gruntu sam przyjął, że mi rozum odebrało. To, za tę łączkę — masz dziadu poza uszy, a za tę chałupę — między ziobra... — mówi.

— Niech mię szturka, niech miętosi, niech tłucze, ani pisnę, bo to mój rozum.

— Ja nocy nie dosypiał, jeść nie dojadał, byle co do chaty przyrobić. A teraz, co ruszysz, to nie twoje, prawa do tego nie masz.

— Za koneweczkę, masz dziadu między oczy, abyś wiedział, jak pracę przepijać.

— Buch między oczy, buch! I cicho stary, bo to twój zięciaszek miły tak cię hoduje.

— Ale masz ładną pociechę, masz kochaną córkę...

— Bij, powiada, marnotrawcę, gdzie ino widzisz, bij! ja przez niego koszuliny nie mam!...

— Bogdajbym cie był maleńką na śmiertelnej ławie położył, bogdajbym cię był nigdy nie miał!...

— Czy ja to ciebie niszczę? Ja swoją pracę niszczę.

— Nuże, Nasto, wstań z grobu, a zobacz, jak twoja córka swego ojca szanuje!

— Bij, powiada, bij lepiej! co wlezie...

Dziad obrócił się na drugi bok. Głowa jego rozlatywała się, wszystkie stare kosteczki trzeszczały i rozskakiwały się, jak spróchniałe trzaski, wszystkie żyły targały się, wszystka krew do ziemi spływała. Tak mu się zdało. Oczy chciały się gniewnie na chatę popatrzeć, lecz nie mogły; mgła je zasłoniła.

Choćby teraz wszystkie chaty we wsi gorzały, choćby się w nich jego dzieci piekły, on nie kiwnąłby palcem. To nie jego chata. Pot jął mu na czoło wychodzić.

— Ale ty, stary, odżyłeś swoje, to marsz z własnej chałupy, nie odejmuj dzieciom chleba od gęby! Ruszaj z chaty, patrz, nogi ci gniją; jakiej jeszcze nędzy czekasz?

— Jużeś się doczekał, masz ją! Patrz — sznur na szyję i »aus!« niech będzie zbrodnia na całą wieś.

— Ta wieś niech jeziorem stanie!...

— Kiedy się wieś splugawiła, to niech przepadnie. Poco wsi dla dziadów?

— Twoi rówieśnicy wyginęli, a ty poco dzieciom zawadzasz? Spojrz — Mykytiuków niema, Gełewiczów niema, Krasia zabito, nikogo już niema.

— A weź-że stary Czurieju sznur na szyję, niech młodej Czurniełyni będzie przestronniej na świecie!

— Przecie ty numeru nie masz, przecie ty nigdzie się nie piszesz. Twój zięć się pisze, a ty nie, boś taki miał rozum.

— Ech! Aleś się nażył, nabył! Teraz na psią mać!...

— Niech wisielca chowa, niech ludzie to miejsce mijają.

— Takie grzeczne masz dzieci!

— Tak, tak, grzeczne, niech wisielca odcinają i niech się cieszą.

— Ech, szczeniaki, szczeniaki, gdybym tak miał siłę!

— Mój, bijcie dziada, jak hamana! Macie — bijcie! Lepiej...

Dziad podniósł małe, jak gruda ziemi, oblicze, aby go bili. Oblicze ruszało się, jakby się rozsypywało, a suche ręce próbowały sznurek. Wstrząsł się cały, jak podcięte spróchniałe drzewo, mające się stoczyć w przepaść, aby tam dognić.

Zarzucił sznur na szyję i chciał wstać, ale nogi nie dopuszczały. Chwycił się rękami ziemi i jęknął nie swoim głosem, niósł się i napowrót upadł; wkońcu wstrzymał dech, naprężył się, dźwignął i powlókł się pod drzewo, pod to, które sam pod oknami zasadził i które tak pięknie wzrosło, jeno pochyło, bo na niem nieboszczka chusty suszyła.

* * *

Noc ziemię przydusiła, by cicho leżała. Cała wieś wyrównała się, jak staw pode mgłą. Ciemność wszystko zakryła i nizkie huculskie chaty, i wysoką cerkiew, i śpiących przy koszarach pasterzy i bydło i... ciało starego Cziureja przed jego chatą...

CHYBA DARUJMY WODĘ.

Todozy Kuźmak sprawiał obiad za duszę swojej dobrej nieboszczki matki, umyślnie we czwartek, aby nie w post.

Przyszli sami gospodarze. Nie spieszyli się do domu, to jedli, to modlili się, to dobremi słowami wspominali nieboszczkę, to znowu jedli i odmawiali »Ojcze nasz« aż poza południe. Dopiero teraz wyszli, postanęli i gwarzą, już nie o nieboszczce; rozprawiają głośno, zdaje się, że w złości. Może usiędą sobie na smrekowych belkach, a może nie usiędą. W niedzielę schodzą się tu zazwyczaj, siadają i gwarzą. Dzisiaj na obiedzie byli, więc tak, jakby niedziela, bo cały dzień skapie. Nie, nie dumają siadać, machają rękami i coraz głośniej wykrzykują.

— A to dalibóg skaranie jakieś: nie dość, że robotnika z domu tracisz, że tablice i rysiki kupujesz, że kary płacisz, ale jeszcze wody nie masz — narzekał Iłasz Bokatij.

— A nie mówiłem wam, skoro tylko tę hamarnię budować zaczęli, ostatniaby im godzina razem z nią była! — dorzucił Sztefan Pryśkiw. — Co-o? Nie mówiłem: nie dajmy gruntu, niech sobie na ulicy szkołę stawiają? A teraz, patrz jakie utrapienie. Opędzić się trudno. Tylko kary i kary i kary.

— Jeszcze jakie kary — dogadywał ktoś z tłumu, przytakując gadaniu rozłoszczonych gazdów.

— Ostatnią koszulę z ciebie zciągną, jak nie zapłacisz! — krzyczał Iłasz.

— Duszę z ciebie wypędzą! — przerwał Sztefan. — Na ten przykład: mój Andrijko... a to dziecko, wiecie kumie Iła', zaledwie od ziemi odrosło...

— Ta, to jeszcze maleństwo — potwierdził ogół.

— No, otóż widzicie; ongiś majstruję sobie koło wozu, a ta nędza, zwyczajnie jak dziecko, gdzie go nie posiej, tam wyrośnie, chwyciło mi stolarski nóż i dalejże strugać. Za chwilę oglądam się: niema ani noża, ani dziecka. A niech cię!... — myślę sobie, jakie małe, wiecie, a jakie sprytne. Idę poza gnojarkę, patrzę — siedzi... Nóż przy nim na ziemi, a samo na twarzy takie, jak płótno... Hej, chłopcze, a tobie co? — powiadam, a ono nic... Patrzę, a na niem koszula we krwi. — A to skąd krew? — mówię, a ono nic, jeno blade i blade... Biorę go za rękę, a tam krew i krew. Liczę palce, a palców pięć bez jednego...

— Odcięło sy! — podchwycił Iłasz.

— Przy samej wam dłoni, jakby odmierzył, bo to, uważacie, nóż ostry, a kość u dziecka jaka? Szachnął raz i już.

— Tak, tak, tak, to kruche jak ten liść kapusty. Niech Pan Bóg od złego uchowa...

— A ja se myślę: czy bić biedę, czy nie bić? I jedno złe i drugie nie dobre, bo to zawsze, uważacie, tak, jakby swoje ciało. Więc niby krzyczę, a w duchu sobie myślę: Chwała Bogu, nie będzie z ciebie ani szkolnik, ani żaden żołnierz.

— Dobry przypadek zdarzył się, żeby tak memu Filipowi!... — rzekł Iłasz.

— Et, niech Bóg uchowa, ojcze Iłaszu, i was i nas wszystkich, od wszelkich złych przypadków! — protestował, rozkładając rękami Jurko Brosiuk. — A gdyby tak był sobie ręce odciął... Utrzymuj wtedy kalekę na całe życie.

Jedni przytakiwali Jurkowi, drudzy z zajęciem słuchali gazdy Sztefana, który opowiadał dalej:

— Wstrzymałem hupką dziecku krew, znalazłem w paździerzach palec i niosę go do profesorki, niech widzi... Przyszedłem — powiadam do niej: — przyszedłem wam zameldować, pani profesorko, jako mój Andrijko więcej do szkoły chodził nie będzie... A ona mówi: — Jaki z was dziwny człowiek, przecie to lepiej, jak wasze dziecko będzie *lumera* znało. Teraz wszędzie trzeba nauki, a we wojsku, co wasz Andrijko będzie robił? — Nie! — powiadam — mój Andrijko nie pójdzie do wojska. — Alboż wy wiecie, że nie pójdzie? — Wiem...

Tu Sztefan Pryśkiw uśmiechnął się, pełen zadowolenia ze siebie.

— Bodaj-że was, ojcze, licho wzięło, jacyście wy zabawni — żartowali niektórzy.

— Napewno wiem, mówię, i wyciągam z torebki palec Andrijka. A, o, patrzcie! — A ona wam spojrzała i osłupiała, zbladła i słówkiem nie mogła pisnąć.

— Zdziwiła się... — rzekł Iłasz.

— A teraz, mówię, wiem, czy nie wiem?

Oblicze Sztefana jeszcze bardziej rozjaśniło się od uśmiechu, a prawa ręka podniosła się w górę, jakby i ona czekała na niewątpliwą odpowiedź. Po twarzach zebranych gazdów przesunął się również uśmiech.

— Idź precz człowieku... powiada z wysiłkiem. Tak nieprzyjemnie się jej zrobiło. Rzuciłem jej palec, poszedłem do domu i nic — dzień, drugi, tydzień wreszcie. Aż oto przedwczoraj siedzę sobie w chałupie i kręcę powróz, wtem... r-y-yp! wchodzi *zekucyjnik*. Płać, mówi, *śtraf* za chłopca, bo jak nie, to zabieramy!

— A to ci was, szkaradna dusza, na *śtraf* podała! — gniewnie zawołał Iłasz z całem gronem.

— Tfu, na takie... przecie mój Andrijko odciął se palec. — To nic, mówi, niech se nogą pisze; płaćcie. — Rozzłościłem się i gadam: — Cóż to? Czy już szkoła od wojska starsza? — Starsza, czy nie starsza, płaćcie! — powiada. Biorę ja i płacę, aby nie zafantowali.

— To nie jest podług prawa; nasz najjaśniejszy ojciec nie dał takiego prawa! — z całą pewnością wołał oburzony Iłasz.

— Takiego, co palca niema, to nawet do wojska nie wezmą, a co dopiero do szkoły! — krzyknął Semen Dranczuk.

— Spojrzy tylko, kiwnie ręką i marsz, powiada, kuleszę jeść! — dodał Hryć Kłymiw.

— To nie sprawiedliwie, kumie Sztefu'!

— To żdzierstwo, kumie Iła'!

— Żdzierstwo, żdzierstwo! — krzyczeli rozżarci gazdowie.

Niektórzy zaciskali pięści, jakby odgrażali się spólnikom tego żdzierstwa, niektórzy w dłonie bili i załamywali ręce. A Iłasz srożył się dalej:

— Albo to sprawiedliwość, że w studni mojej od tego czasu, jak w szkole studnię wykopali, wody niema? Dziś idzie moja Parania po wodę, a tam sucho, jak... Uważcie se ludzie!...

— U mnie też gdziesi woda przepadła! — krzyknął Sztefan.

— I u mnie, i u mnie, i u mnie! — powtarzali gazdowie.

— A kto nam wodę zabrał, jak nie szkoła? Jak długo tam studni nie było, to wszędzie woda była. A te sobacze *beśtyfranty* założyły tam jakiś kabłąk żelazny, tak, że ino pociągnij, a woda cieknie ci ze wszystkich żył.

— Szkoła zabrała nam wodę! — krzyczał Iłasz.

— Szkoła zabrała nam wodę!...

— Hej, ojcowie, a my to cierpieć mamy? Bóg dał wodę dla wszystkich, nie ino dla szkoły. Zasypmy studnię koło szkoły, za to nie będzie kary!...

— Pewnie, że nie będzie!... — zahuczał tłum.

— Chodźmy, zasypmy i już. Niech pije krew z za paznogci. A to ci raz, nawet nam wodę zabrali, nawet wodę!...

Nasamprzód wystąpił z tłumu jeden gazda. Postąpił gniewnie parę kroków, stanął, oglądnął się, czy inni za nim idą i jakby na wezwanie wykrzykiwał głośno: — Hej, słyszysz bratku, wodę nam zabrali! — Za nim poszedł drugi, trzeci, czwarty i powtarzali to samo, oglądając się na innych. Nareszcie wszyscy wyruszyli z miejsca i pociągnęli ku szkole.

Zanim słońce poszło na spoczynek, wstrzymało się na jednym wierzchołku, tak jak wstrzymuje się matka, kiedy odchodząc w daleką drogę, żegna swoje dzieci. Jego promienie — to jasne, świetlane niteczki, na których złota nadzieja dzierga swe marzenia.

Złotą tkanką nadziei zachwycała się nauczycielka, która niedawno przybyła do tej wsi, gdzie »studnia szkolna zabrała ludziom wodę«. Z szczerym entuzyazmem odczuwała ona niedolę ludu. Pracowała bez wytchnienia, pracowała, aby uczynić ten lud szczęśliwszym według jej pojęć...

Wieś uważa ją za swego wroga, ale to przez nieświadomość. Wierzyła i nie dawała przystępu zwątpieniu. Niedawno przynosił Iłasz odcięty palec swego syna, jako dokument na uwolnienie od szkoły — i ona zemdlała wtedy. A Semen Dranczuk żądał od niej włosów z głowy na podkadzenie syna, któremu niby w szkole miał się urok dostać... Ale to głupstwo... Zginie ciemnota, musi — tylko pracy, pracy!... I pracowała... Dziś weselsza nawet jak zwyczajnie... Dzieci szczebioczą na jej pytania, jak młode ptaszki w dąbrowie. Cieszą się dzieci i ona się cieszy... A słońce żegna się, odchodząc z wysokiego wierchu — do jutra...

Nauka się skończyła, dzieci zmówiły pacierz, ale nie spieszą się do domu, jak zwykle. Niby czapek szukają, niby każde coś ważnego pani nauczycielce na odchodnem powiedzieć pragnie.

— Proszę pani — odezwał się nieśmiało Filipko Bokatij — nam tu tak dobrze, że aż iść się nie chce.

— Bardzo pięknie, drogie dzieci.

— Pani bardzo dobra — odezwały się wszystkie chórem.

— Proszę pani — mówił dalej nieśmiałym głosem Filipko — proszę pani, czy ja będę księdzem?

— Będziesz, synaczku, będziesz — odpowiedziała »pani« z uśmiechem, tylko mię tak dalej słuchaj.

Filipko okrył się rumieńcem, ucałował ręce nauczycielki i wyszedł, a za nim tak samo uczynili i inni.

Nauczycielka stanęła przy oknie i miłośnie spoglądała za odchodzącą dziatwą. Przed nią wstawały jej marzenia, złote tkaniny nadziei... Nagle przerwały jej niejasne, głośne krzyki tłumu.

— Zasypmy! Zasypmy! Kary za to nie będzie! Nasz najjaśniejszy ojciec... — krzyczeli gazdowie.

Nauczycielka nie dobrze rozumiała słowa, zdawało jej się, że idą wsią podpici ojcowie. Nieraz się to zdarzało.

Dziatwa pobiegła na spotkanie dowodzących ojców.

Krzyki przycichły, gazdowie zwolnili kroku.

— Tatku! — szeplenił Filipko, tuląc się do Iłasza — mnie mówiła pani, że będę księdzem!

— Tato! tatku! przyszło wezwanie, wzywają, aby się tato stawił w piątek, od jutra za tydzień — opowiadał ojcu Andrijko bez palca.

— Tato! tato! Jutro do nas przyjdzie pani, mówiła, że przyniesie lekarstwo dla Nastki — szczebiotał maleńki Petryk Brosiuków.

— Tato! tato! tato!... — krzyczały uradowane ze spotkania ojców dzieci, dzieląc z nimi swoją radość. — Nasza pani taka dobra! Taka strasznie dobra!...

A ojcowie?

To spoglądali na dzieci, to pluli po boku, to pozierali po sobie. Nie wiedzieli co począć. Zawstydzili się w sercach i stali, jak powarzeni...

— To, to, kumie Sztefa', to chyba darujmy — odezwał się po chwili zafrasowany Iłasz.

— I ja też tak myślę, kumie Iła'.

— Tak, tak, darujmy... — poparł Jurko Brosiuk.

— Darujmy, darujmy wodę! — przytakiwali inni.

I nie żegnając się, poczęli się rozchodzić z dziećmi czemprędzej, każdy w swoją stronę — i niziutko kłaniali się »pani profesorce«, która stojąc przy oknie, snuła dalej zielone marzenia...

KARBY.

W garście je brałbym to zielone sioło, pieściłbym jak drobniutką, pachnącą otawę, gładziłbym niby pawia.

Patrzcie: kołysze się pomiędzy górami jak dębowa kołyska we wieńcu, kwiaty rozsiewa.

Chciałbym te kwiaty pozbierać, wiatrom nie dać, w sadzie je posadzić. Lecz ilekroć dłoń moja sięga po nie, tylekroć grobu dotyka.

Suche, nadmogilne kwiaty na cmentarnych, zmurszałych krzyżach.

A choćby je pozłotą złocić — nie poweseleją.

A choćby je rosą rosić — nie wypięknieją.

Tylko je do serca tulić, tylko nimi wieczyście swoje serce krwawić.

* * *

Niechby raz słońce na skalnym wierchu usiadło, niechby raz na tę wieś spojrzało.

Zimne, czarne dłonie przysłonią je, nieme oblicza je przerażą. Chmurami je zakryją, lodem zmrożą.

W zanadrzu chowałbym te chmury, grzałbym je koło serca. Aby się tylko zmieściły, aby mi serca nie rozgniotły!

Płacze po górach idą, tęczami góry opasują. Halne wiatry grają na nich. Już były i już ich niema — pieśni żałosne.

Zorza rosą je obmywa, jakby z nich miód spijała.

Takie to sioło ciche, takie w rosach całe.

Niby trumna w grobie mokrym, pomiędzy mogiłami...

* * *

Brać je, pieścić i gładzić, do piersi przytulać.

Serca tylko strzedz, bo ono wam serce okrwawi, karby głębokie w niem wybróździ.

I.

Ojciec pięścią o stół grzmocił i groził Pietrkowi, że go utopi, bo swawolny jest i jadać chce dużo.

Pietrek uciekał do dziadka i sinemi ustami szeptał, że nie boi się ojca, bo z dziadkiem pójdzie.

Wtedy miękł ojciec i odstępował go dziadkowi.

— Bierzcie go sobie, gdzie chcecie. Nie daliście mi wiana, więc czem ich wykarmię?

Dziadkowi ręce drżały, kiedy głaskał Piotrka.

— Nie troszczcie się biedaki, to grzeczny wnuk, on mię słuchać będzie, on będzie babce pomagać.

A matka płakała.

Pod górę wziął dziadek wnuka na plecy, aby się na dół nie stoczył, jak jabłko. Babka stała już przed chatą i oczekiwała swego wychowańca.

— Chodź do babki, Piotruś, chodź prędzej, zostaw dziada!

Potem zaprowadziła go do chaty, dała ligawkę i prawiła, że będzie spał na przypiecku, nóżkami do pieca. A dziad obiecywał, że mu kupi długą fujarkę na ośm palców.

— I kapelusz miękutki kupię ci, a babka piórami ubierze.

Pietrek rozglądał się po izbie i widział obrazy, stół, półki, takie same, jak w chacie ojca. Jeno piec był inakszy, kaflowy, malowany. Dziad posadził go na kolanach i dawał pozór, aby z garnków nie skipiało. Pokazywał palcami strzelców, wymalowanych na kominie i opowiadał, jak to oni Tatarów i bogaczy rznęli i smołą gorącą piekli... I obiecywał, że mu ładną strzelbę sprawi i toporek zrobi.

W tydzień później odwiedziła go matka. A Pietrek taki bielutki, taki wyczesany, jak gołąb. Opowiadał, jak mu dobrze u dziadka. Chwalił się, że razem z dziadem i babą na ławie obiad i wieczerzę jada. Pokazywał ligawkę, krepcie i onucki czerwone i pytał się matki, czy już dość wielki, i czy nie mógłby Tatarów i bogaczy strzelać tak, jak ci strzelcy na kominie.

Dziadek i babka chwalili go, a matka cieszyła się synem.

Na odpust przyszli wuje i wujenki z sąsiednich wsi. Dawali Pietrkowi obarzanki i nazywali go grzecznym łeginiem [1]).

— Macie, dziadku, ładnego wnuka, niech się w zdrowiu chowa!

— To mój gospodarz, na wieczór dziadka rozzuwa, fajkę mu zapala.

— O nie, to babczyn wnuk. On babce garnków pilnuje, pianę z wrzątku zbiera.

Blada twarzyczka chłopca okrywała się rumieńcem i chowała się za spodnicę babki.

— A jakie dobre, jakie to mądre, żebyście wy się przypatrzyli!... Nieraz powiadam do baby: Boże uchowaj, aby nam ludzie nie urzekli naszego parobka!

— A pójdź-no tu, Piotruś!

---

[1]) Parobczak.

— Idźże, pocałuj wujenkę w rękę...

— Ładnie, abyś duży urósł!

— A tę wujenkę, a tę? A teraz wujków!... Mówię wam, takie dziecko, że to!... Ani opowiedzieć!

Po przekąsce dziadek dalej bawił gości wnukiem.

Pietrek nigdy jeszcze nie widział tyle nieznajomych ócz, które na niego patrzyły. Omijał je, jak ogniste promienie, od których rozpalał się i tajał. Wujenki głaskały go, jak białe kurczę, aby się z niemi oswoił. Ale on, jak pstrąg, wyślizgiwał się z ich dłoni, uciekał pod stół i zakrywał się zwisającym ze stołu obrusem. Wtedy miast pochwał dostawał przygany, i z dziadkowego wnuka zmieniał się w dziecko babki. Ale i namowy babki nie mogły go wywołać z ukrycia, jak długo dziadek nie usiadł na progu i nie zagrał »hucułki« na ligawce.

— A teraz dziad ci każe »hajduka« zatańczyć, aby wuje i wujenki widzieli...

Wówczas chłopczyna nieśmiały odrazu się przeinaczał, podskakiwał, przysiadał i po ziemi bił dłońmi...

— Hej-hop, hejże-ha!

— Jaki tancerz sławny!

Chudokościste, zachmurzone oblicze dziada promieniało pod siwymi, jak wiśniowy kwiat włosami, a radość jego przelatywała na twarze gości. Wujenki ośmielały się i śpiewały długimi, krętymi głosami, a wuje przytupowali nogami.

A kiedy Pietrek odtańczył już swoje, dziad wygrywał takie żałosne pieśni, że wszyscy goście głowy na dół spuszczali, jak ptaki deszczem zbite, a babka wzdychała głęboko. Pietrek posępniał na widok takiego smutku i pilnie nadsłuchiwał, kto temu winien. Ale nie mógł się niczego dosłuchać, bo starzy stękali, narzekając na ciężkie czasy, a dziadek wspominał dawne, lepsze od dzisiejszych, jak to zwykł był w codziennych rozmowach z babką

czynić. Łamał ręce i wyrokował, że cała Huculszczyzna na dziady schodzi. Aż kiedy rozmowa zeszła na zięcia dziada, na jego córkę i na ich dzieci, chwytał Pietrka taki żal za serce, że łzy występywały mu na oczy, jak rosa na niebieskie kwiaty. Mało, że na głos nie płakał, ale się musiał zmódz, bo babka groziła mu, że go nazad do ojca odprowadzi i że mu tam palce gryźć dadzą. W ten sposób tamowała płacz chłopca i żal do serca zawracała.

A goście też kazali mu się wstydzić, że ma takie miękkie serce.

— Jak długo jesteś u dziadka, to nie płacz, jeszcze ten czas nie przyszedł, abyś płakał...

Na wielkanoc ubrała go babka strojnie i poprowadziła z dziadem do ojca w odwiedziny. Po drodze pisanki z zanadrza wyjmowała i rozdawała ludzkim dzieciom, aby Bóg umarłym grzechy odpuścił.

— A kiedy my, Pietrku, pomrzemy, to ty będziesz za naszą duszę dawał, abyśmy mniej karbów u Boga mieli.

Pietrek nieraz już widział pogrzeb i słyszał głośne żałośliwe płacze, a razem z nimi i mowę o karbach, których się nawet starsi ludzie bali i na wspomnienie których posępnie wzdychali, jak przed złowieszczą, czarną chmurą, lub przed dżumą jaką. W jego chłopięcej wyobraźni występywały one, jak groźne, ciemne, straszne wrogi jego rodziny, wujów, ciotek i całej wielkiej wsi.

— Nie bójcie się dziadku i wy babko, jak mi strzelbę kupicie, to ja te karby co do nogi wystrzelam!

II.

Stało się jednak tak, że dziadek nie doczekał się pomocy od swego wnuka. Jak tylko Pietrek wychodził swoje lata do szkoły, pochowano dziadka, a ojciec odebrał Pietrka od babki i oddał go w obce ręce do dalszych szkół w mieście.

— Kiedy pracować nie możesz, to chwytaj się pisma, bo gazdą nie będziesz.

Ot tak, jak gdyby się burza zerwała i z zielonego sadu odłamała młodziutką gałązkę i na moczary, pomiędzy wikliny zaniosła. I jak gdyby w tem miejscu rana się rozwarła i jedno życie, jedno ciało na dwie nierówne części rozdzieliła.

Starał się ten ból przeboleć, tę ranę zabliźnić. Giął się do dołu, jak łoza od wiatru, milczał, jak nieznany grób i darmo oczami szukał kwiatu paproci.

Bolu nie przebolał, rany nie zagoił.

Trzepotał się jak ptak w klatce i jeszcze się bardziej kaleczył.

Upadał bez sił i spoglądał na odcięte życie, na młodość swoją jasnoskrzydłą i zakradał się do swojej wsi, nieraz jak złodziej.

Widział łąkę mogiłami pokrytą, czerwoną pożogą skrwawioną; słyszał żałosne jęki po karbowanych kościotrupach, poznawał je i płakał.

Wstrząsał się i budził ze zbolałem, pokarbowanem sercem.

Sam siebie nie mógł poznać w pańskiem ubraniu i ludzie go poznać nie mogli.

Wstydził się każdego kroku i przed ludźmi uciekał. A na lato, jak na skrzydłach do domu leciał.

Babka z radości aż w dłonie klaskała i mówiła do matki:

— Masz łaskę u Boga, że ci dał takie dziecko. Patrz, jaki pyszny, jaką pańską ma twarz.

A kiedy Pietrek w niedzielę stał w cerkwi, obok diakowskiej ławy, to babka oczu z niego nie spuszczała i wszystkim kumoszkom w babińcu szeptem o nim opowiadała.

— Powiadam wam, dziecko, jakiego poszukać. Uczy się w wysokich szkołach, a mnie w rękę całuje. A tak się tego pisma chwyta, że paniczów uczy i rodzicom pieniądze posyła. Wielką ma głowę!

A gdy kumoszki zwróciły rozmowę na to, że on co do zdolności nie jest ani do ojca, ani do matki podobny, jeno do swojej babki, to ona z wielkiej radości mówić nie mogła, tylko głową kiwała i oczami swemi z pod siwych brwi mierzyła Pietrkową głowę.

Gazdynie okrążyli Pietrka i wypytywali się go o rozmaite różności ze świata, a babka zaraz gdzieś z boku stawała i pomagała wnukowi odpowiadać.

— To moiściewy, nie na naszą głowę taki rozum, nie!... to trzebaby oczami jeść.

Gazdowie chcieli ją przekonać, że chłopca nie trza tak chwalić, ale babka ciągnęła Pietrka za rękaw do domu i nie dawała się gazdom przegadać.

— Nas choćby kto w ciemię bił, to niczegoby nie wybił, och, nie wybiłby moi wy kochani.

Na tańcach łeginie brali Pietrka między siebie, nazywali go strzyżonym urlopnikiem i prosili, aby tańczył polki. Dziewczęta uśmiechały się, ruszały ramionami i wstydziły się tańczyć z obstrzyżonym.

— A gdzie są twoje pawie, Piotrku?

— Gdzie toporek karbowany?

— Gdzie twoja strzelba?

Aż baba na nie gniewać się musiała.

— Niby to on patrzy na was, niby to wy z nim równać się możecie? Taką jeszcze bielutką panią przyprowadzi, że w rękę ją całować będziecie musiały...

Ale dziewczęta jeszcze śmielej śmiały się i słowa baby przekpiwały. Tylko jedna czarnobrewa Kalina Nestorijewa nie odzywała się, żalem serce, a smutkiem twarz okrywając.

Przypominała sobie, jak z Pietrkiem owce pasła, śpiewki śpiewała, wyszywki szyła, na wigilię orzechami go częstowała.

Niejako chwytała słowa owe, któremi niegdyś Pietrkowa babka do niej przemawiała, nazywając ją swoją synową. Jak za umarłym tęskniła ze Pietrkiem.

Po tygodniu słoty baba zaodziewała płachtę i szła z wnukiem do lasu na grzyby.

Oboje w trawach brodzili, po kolana rosą okryci. Przez okop do »kamery« zazierali, a widząc grzyby gęste, jak rozsadę, szli i zbierali.

Przyszedł leśny. Rozkrzyczał się na babę, odebrał kosz i zdarł z niej płachtę. Baba broniła się i błagała go, jak dziecko. Leśny odtrącił ją tak, że upadła. Pietrkowi złość mowę odjęła i stał jak przyrośnięty. Ujrzał go leśny i, rzucając kosz i płachtę, rzekł z półuśmiechem:

— Wstydź się pan ze starą chłopką grzyby zbierać, pan gimnazyalista!...

I poszedł dalej.

Baba, przyszedłszy do siebie, cieszyła się koszem i płachtą, jak darowizną jaką, a równocześnie biła się w piersi i jęczała, narzekając na samą siebie, że jeden karb więcej na sumienie wzięła.

A Pietrek czuł, jak w jego serce wrzynał się karb nowy...

III.

Jeszcze liście z drzewa nie opadły, jeszcze ziemniaki bogaczów nie dojrzały, jeszcze konopie w stawkach nie wymokły, kiedy się Pietrkowej babce umierać zachciało.

Zmierzchało się.

Skrzydlate, ciemne cienie siadały na ścianach i czekały, jak wiejskie grabarze, nad grobem. A światło pędziło je w kąty.

— Będę umierać, Piotrku.

Matka świecę w dłoni jej przytrzymywała i kiwała głową, że baba będzie umierać.

— A co was boli babko?

— Całe ciało boli mię, niebogo.

— Może lekarza przywieźć?

— Nie trzeba, nieboże! Przyszedł czas i koniec. Bogacze wzywają i co z tego? Alboż my mamy skąd?...

— Dobre dziecko... — szeptała babka i starała się rękę podnieść, aby wnuka pogłaskać.

Drobne łzy rozlały się po jej zakrzepłej i woskowej twarzy i tajały w niej podobnie, jak krople rosy w przepalonem sianie.

— Babka chce, synku, abyś się z nią na śmierć pożegnał — zgadywała matka chęci umierającej.

Pietrek chwycił ręce babki, całował je i płakał.

— Przebacz mi, Pietrku!

— Niech Bóg przebaczy, babko!

— I po raz drugi!

— Niech Bóg przebaczy!

— I po raz trzeci!

— Niechaj Bóg przebaczy!

Cisza, łzami obmyta, przewiała przez izbę.

Baba po powale przestraszonemi oczami wodziła i rękami, jakby rój much od siebie odpędzała.

Karby! karby! — jęknęła z ciężkim wysiłkiem.

— To, już nieboże, karby babce się przywidują.

Pietrek pomimowoli spojrzał na powałę, ale prócz okopconych, starych belek, niczego nie ujrzał.

Baba przymykała oczy i chyliła na dół głowę, jakby kryła się przed skałą z góry lecącą.

— Babko, babko, nie bójcie się żadnych karbów, wy jeszcze wrócicie do zdrowia...

Baba byłaby przeczyła wnukowi, ale nie mogła, więc zamiast niej, matka odpowiedziała:

— To tak, synu, każdemu umierającemu pokazują się przed śmiercią karby, na duszę czekające. Tobie Bóg dał taki los, że w szkołach się uczysz i rozum wielki mieć będziesz. To będziesz wiedział lepiej, co grzechem, a co nie. My zaś, synku, bez nauki, nie wiemy. A choćby się i wiedziało, to w biedzie się nie pamięta, nie baczy się, co się robi, a to wszystko na duszę idzie. Co grzech, to karb na lasce u Pana Boga i na duszy karb. Nie odda się długu, weźmie się patyk z lasu, zaklnie się, i już jest ono u Pana Boga zakarbowane. A za każdy karb trzeba karę przyjąć. Gdybyśmy się to strzegli, gdybyśmy się chronili...

— Karby! Karby! — jęczała baba i wyprężała ręce.

— Nie bójcie się, mamo, Bóg z wami. Zostawiacie przecie dzieci, one modlić się będą do Boga, aby wam karbów umniejszył — jak mogła, pocieszała córka.

— A może Pan Bóg pozwoli, że mój Pietrek na księdza się wyuczy, msze za was odprawiać będzie i Bóg wam karby daruje...

— Daruje wam, babko, daruje!...

Oczy baby po raz ostatni spojrzały serdecznie i mile na Piotrka, jak na jedyny ratunek, i pomaleńku lodem zamarzały...

* * *

Poszedł w szeroki świat. W serce jego coraz głębsze wdrążają się karby...

WASYL STEFANYK

KLONOWE LIŚCIE.

Pościel zarzucona płótnem, koło stołu na tylnej i przedniej ławie zasiedli kmotrowie, na kraju pieca rządkiem dzieci. Pospuszczały rękawy, jak stado przepiórek, co spoczywają, ale zawsze gotowe do lotu. Kumowie zato siedzieli jak zakopani, tylko rękami sięgali po chleb albo po porcyę gorzałki, ale i ręceby się najchętniej nie poruszały, jeno, zgięte w kułak, spoczywałyby na kolanach. Nierade brały chleb i kieliszek. Kaganek kopcił na przypiecku, potworzył z kumów wielkie, czarne cienie i rzucił je na powałę. Tam na tragarzach połamały się one i także się nie ruszały.

Przy stole stał schylony Iwan, gospodarz w tej chałupie i ojciec małego dziecka, które ochrzczono.

— Bądźcie łaskawi, moi kumowie, i pozwólcie jeszcze po jednej. Choć to nie wódka, jeno błoto; ale z chłopem, to tak jest: Co gdzie w świecie najgorszego, to on to ma połknąć, co gdzie w świecie najcięższego, to on to ma zrobić...

— Natośmy zrodzeni — pobożnie odpowiadali kumowie. Kiedy kieliszek obszedł kolejkę, to Iwan kładł go przy flaszce z obawy, aby nie upadł na ziemię.

— A zakąście... I patrzcie, jaki mnie kłopot spotkał w same żniwa, w sam ogień. A ja, *bihme,* nie wiem, co z tego będzie? Czy mam zostawić żniwa, chodzić koło baby i dzieciom warzyć

jeść, czy mam ich zostawić tu na bożej opiece i o głodzie ciągnąć kosę? Bo to już tak ze mną będzie, w taki czas nikt do chałupy nie przyjdzie, choćby za wielkie pieniądze. Naści Iwanie dziecko i raduj się, bo jeszcze ich mało masz!

— Nie udawajcie, kumie i nie obrażajcie Boga, bo to Jego wola, nie wasza. A dzieci — piana na wodzie. Coś na nie zajdzie — i wyniesiecie wszystkie na cmentarz.

— U mnie nie zajdzie, ale tam, gdzie jest jedno, tam zajdzie. Żebrak najlepiejby zrobił, żeby się nie przytulał do żony, żeby nie spojrzał w tę stronę, gdzie żona. Wtedy i Pan Bóg nie da...

— Darmo tak kumie gadacie — tak nigdy nie będzie, bo ludzie mają się płodzić.

— Żeby to ludzie, ale to żebraki się płodzą. A ja dlatego powiadam, że ty, dziadu, nie płódź się, nie mnóż się jak mysz, ty bądź kontent, jak masz łach na grzbiecie, jak masz kawałek chleba, żebyś z głodu nie zdechł, i jak cię nikt po pysku nie bije. Jak te trzy rzeczy masz, to powinno ci być dobrze, a od żony z daleka.

— Kumie Iwanie, dajcież spokój, bo żona, jak zwyczajnie, w takim interesie nie powinna tego słuchać, bo takie gadanie nie przyczyni jej zdrowia. Zostawcie to na insze czasy.

— Ja was bardzo przepraszam za takie moje gadanie, ale wy myślicie, że ja o nią dbam? albo i o siebie? *Bihme,* nie dbam — niech ich choć zaraza wytłucze i mnie z nimi! Ou-wa, tobyśmy dopiero raj na ziemi stracili, majątki poostawiali!

Kumowie nie odzywali się już i nie przeczyli, bo widzieli, że nie przekonają Iwana, i chcieli, żeby się prędzej wygadał, to prędzej ich puści spać. Iwan wstał od stołu, stanął na środku izby, opuścił rękawy tak, jak dzieci na zapiecku, i zaczął do nich mówić:

— I czemu nie spadniecie mi z głowy? Ja wam otworzę i drzwi i okna, hej!...

Dzieci zasunęły się za piec tak, że ich już nie było widać.

— Adzisz, szarańcza, jeno chleba i chleba i chleba! A skądże ja ci tego chleba wezmę?! Ta na ten dwunasty snop nie raz trzeba kosą pociągnąć, nie raz się schylić, a tu z boku ogień ci się za pazuchę sypie. Ta cię każde źdźbło w serce kole!

To było do dzieci, a teraz zwrócił się do kumów.

— A wieczór, jeno się pokażesz w chałupie taki, jak wiecheć, spocony, jak pomyjka, to oni ci w jeden głos, i żona i dzieci: Niema chleba! I ty biedny człowiecze nie idziesz spać, ale zdejmujesz cep i młócisz po ciemku, żeby jutro było co w żarna nasypać. Nieraz cię ten cep na snop zwali, i drętwiejesz we śnie aż do rana, aż cię rosa przysiędzie. I jeno oczy przetrzesz, to cię zaraz ta rosa żre, bo mało cię już bieda żre, jeszcze cię ona w nocy najdzie! Przemyjesz oczy i wleczesz się na łan, a takiś czarny, że słońce mierzchnie od ciebie.

— Nie gryźcie się dziećmi, Iwanie, bo to nie sami wy, ale Bóg im starszym ojcem od was.

— Ja się z Bogiem za plecy nie biorę, ale poco On to wypuszcza na świat, jak gołego w tarninę? Puści na ziemię, talentu w ręce nie da, manny z nieba nie ześle, a potem cały świat w krzyk: Chłopi złodzieje, rozbójnicy, gubią swoją duszę! Stanie sobie jeden z drugim w cerkwi, taki gładki, że muszka po nim nie polezie, i kadzi i grzmi. Wy, powiada, strachu bożego dzieci swoich nie uczycie, wy je sami posyłacie kraść... jej, gdzież ja potrafię tak hańbić! Hej, kieby tak koło mojego dziecka i mamka i niańka i *dobrodziejka* chodziła, kieby mi tak ludzie wszystkiego naznosili, to i jabym, jegomość, wiedział jak dzieci uczyć! Ale moje dzieci razem z kurami na gnoju rosną, a jak co do czego przyjdzie, ot jak i teraz, to nikt nie wie, co one cały dzień jadły. Czy kradną, czy żebrzą, czy pasą — skądże ja wiem? Ja siekę wasze łany i nie ino o dzieciach zapominam, ale i o sobie! Wybyście chcieli, żebym

i wasze łany siekł i dzieci uczył. A wy od czego? Tak, ludzie, wy sami wiecie, jak się to u nas żyje...

— Wiemy, kumie, wiemy — jak nam nie wiedzieć, kiedy sami to życie paskudzimy.

— Ja patrzę na dziecko, ale nie myślę, żeby ono było grzeczne, żeby umiało w ład utrafić. Ja jeno miarkuję, czy ono się już dobrze na nogach trzyma, żeby je wypchnąć na służbę — to tego ja czekam. Ja nie czekam, aż ono nabierze siły, aż rozumu nabierze, aż się rodziną nacieszy. Niech jeno bogacz abo pan pysk otworzy, to ja je tam zaraz zapcham, byle się go zbyć! A potem ono goni za chudobą — nogi: jedna rana, rosa żre, ścierń kłuje, a ono goni — i płacze. Hej, zawróciłbyś ty mu chudobę, nogibyś mu wycałował, boś je spłodził, i sumienie cię gryzie — ale ty je mijasz abo czasem i chowasz się przed niem, żebyś jego płaczu nie słyszał...

Aż krwią nabiegł, aż się zadyszał.

— I rośnie ono w żłobie, pod stołem abo i pod ławą, gryzie pięść, i zmywa się łzami. A podrośnie, to i ukradnie co, bo ono nigdy nie zaznało dobra i chce się nacieszyć kradzionem. Masz — przychodzi do ciebie żandarm. Skuje cię, nabije się ciebie, jakbyś był bydlęciem, boś ty ojcem złodzieja i musisz być z nim w zmowie. I jużeś złodziej na wieki! Ale to nie koniec — reszta na początku. Niechby syn, wasze dziecko, a u ludzi złodziej, niechby zgnił w kryminale, bo złodzieja nie szkoda. Niechby! Ale oni mu zdrowie odbiorą i do szpitala go dadzą, a potem wysyłają pismo do wójta, żeby ojciec płacił koszta. Z chałupy wyganiają, pod płot wyrzucają ze wszystkiem. Idziesz do wójta, po rękach go całujesz: Wójcie, wyciągnijcie mnie z tego nieszczęścia. Ty, powiada wójt, biedny człowiek, to możnaby ci opuścić, ale jaką ja wygodę będę miał za twoją wygodę? Ruszysz plecyma, złożysz się jak scyzoryk i powiadasz: miesiąc wam będę robił darmo... Tak, czy nie tak, ludzie, prawdę gadam, czy breszę jak pies!?

— Wszystko tak, cały gatunek taki, jednegoście słowa nie zmylili!

Iwan drżał cały — czuł na sobie cały ciężar swoich strasznych słów.

— Żebyście nie mówili, ludzie, że kraczę nad głowami swoich dzieci, jak kruk nad padliną — nie myślcie tak ludzie, nie myślcie! Ja nie kraczę, ja mówię prawdę, mój żal kracze, moje serce kracze!

Oczy jego zabłysły i w nich odmalowała się straszna miłość ku dzieciom — szukał ich wzrokiem po izbie.

— Bo to tak wygląda, jakbym ja się pastwił nad swojemi dziećmi gorzej, niż największy wróg. A ja się, widzicie, nie pastwię — ja jeno wam rozgrzebał przed oczyma dzisiejszy dzień, i wczorajszy, i rok, i drugi, i popatrzyłem się na swoje dzieci, co one tam robią? A com ujrzał, tom powiedział. Ja poszedł do nich w gościnę, i krew moja zastygła na ich gospodarstwie...

Po chwili:

— Gdyby to do tej Kanady nie było mórz... to jabym je do wora zabrał i na piechtybym z niemi szedł, żeby je zanieść daleko od tej nędzy. Jabym te morza brzegami obchodził...

Kumowie zapomnieli o odpoczynku, ale teraz przypomnieli go sobie, powstawali czemprędzej i poszli.

II.

Rano.

Dzieci jadły śniadanie na ziemi, oblewały strawą koszuliny i szczękały łyżkami. Obok nich leżała matka, zbiedzona i żółta, z kolanami pod piersią. Po czarnych, nieczesanych włosach spływała męka i ból, a usta zaciskała, żeby nie krzyczeć. Dzieci z łyżkami w ustach zwracały się ku matce, patrzyły na nią i znów się obracały do miski.

— Semenku, jużeś nie głodny?

— Już — odpowiedział sześcioletni chłopiec.

— To weź miotłę, pokrop ziemię i zamieć chałupę. Mama nie może się schylać, bo ją bardzo we wnętrzu boli. Nie rób dużo prochu.

— Ustąpcie się, bo nie mogę przez was zamiatać.

Matka dźwignęła się i zawlekła na pościel.

— Semenku, a teraz umyj się dobrze, i Katrusia niech się umyje, i Maryjka, i pobiegnij naczerpnąć wody do dzbanka, ale żebyś nie wpadł do studni, nie bardzo się schylaj...

— Semenku, idź i narwij ogórków do rzeszota, żeby mama w garnku zakwasiła, bo widzę, że będę chora i nie będziecie mieli co z chlebem jeść. I narwij chrzanu i wiśniowego liścia. A nie szarp badyli, jeno rwij przy samym ogonku...

— Semenku, zdejm z płotu koszulki, żebym połatała, bo chodzicie czarni, jak wrony.

Semenko biegał ciągle, robił wszystko, co mama kazała i potrącał raz po raz młodsze siostry, mówiąc, że dziewki nie umieją nic, jeno jeść.

— One jeszcze małe, Semenku, jak urosną, to ci będą koszule prały.

— Ja się najmę, to tam mi będą koszule prali, a ich nie potrzebuję.

— Nie ciesz się, dziecino, służbą, bo nieraz będziesz płakał na swoje życie.

— A przecie tato wyrośli na służbie i nic im nie brakuje.

— I ty wyrośniesz na służbie, aż skóra na tobie popęka od tego wyrostu. Ale ty, Semenie, nie gadaj, jeno zbieraj się tatowi nieść dbiad. On tam musi być głodny taki, że oczy chce za tobą wypatrzeć.

— Ja muszę tatową palicę wziąć, żeby się od psów obronić.

— A jak zgubisz, to nas tato oboje wybije. I nie chodź z gołą głową, ale weź choć tatów kapelusz.

— Ten kapelusz ino na oczy lezie, że drogi nie widać.

— Wymyj dzbanek i nalej barszczu.

— Już wy mnie, mamo, nie uczcie, bo ja wiem.

— Semenku, a uważaj, żeby cię psy nie pokąsały...

III.

Po grubej warstwie prochu nogami drobił i zostawiał za sobą maleńkie ślady, jak listki białych kwiatów.

— Fi, nim zajdę, to to słońce mnie porządnie wyparzy. Ale ja sobie zbiorę włosy tak, jak żołnierz, i będzie mi lepiej iść.

Położył obiad na drodze i zebrał włosy na wierzch głowy, aby je przykryć kapeluszem i wyglądać, jak ostrzyżony żołnierz. Oczy zaśmiały się, podskoczył i potoczył się dalej. Ale włosy zesuwały się z pod szerokiego kapelusza i zlatywały na kark.

— Na nic ten kapelusz — niechno ja się najmę, to wtedy sobie kapelusik...

Oblizał się tylko. Uszedł szmat drogi i znów postawił obiad na ziemi.

— Muszę se wymalować koła ze sprychami.

Siadł w prochu na środku drogi i ciągnął wokoło siebie kijem, a potem rysował w kole promienie. Wreszcie zerwał się, skoczył poza obwód i pobiegł dalej bardzo ucieszony.

Do każdych wrót się zakradał, zazierał, czy na podwórzu niema psa, i dopiero wtedy przebiegał prędziutko. Z jednego obejścia wybiegł pies i puścił się za nim. Semenko ze strachu wrzasnął i siadł razem z obiadem. Kij upadł także na ziemię. Długo siedział skulony, czekając psa, żeby kąsał. Potem odważył się spojrzeć

i zobaczył nad sobą czarnego kundysa, który stał przy nim spokojnie.

— Na, na, cygan, naści kuleszy, a nie kąsaj, bo to bardzo boli, a twój gazda będzie musiał zapłacić *sztrof.* To on ci nogi połamie za ten *sztrof.*

Szczypał z kuleszy po kawałku, rzucał psu i śmiał się, że ten chwyta w powietrzu. Pies miał otwarty pysk, i on sobie też usta otworzył.

— A ty czyj, szubienniku, co psy po drodze karmisz — a w pole co poniesiesz?

I jakaś kobieta kałatnęła go w kark.

— Jakże, to jeszcze mnie bijecie, jak mnie pies chciał rozedrzeć!

— A czyjże ty, taki grzeczny?

— Ja Iwana Piotrowego, ale mama mieli dziecko i słabi, a ja muszę nieść obiad, a mnie psy kąsają, a wy mię jeszcze bijecie...

— Oj, straszniem cię biła... Gdzież ty niesiesz jeść?

— Tatowi niesę, na łan, koło stawu.

— To chodź-że ze mną, nędzo, bo ja tam też obiad niesę.

Poszli razem.

— A kto obiad warzył?

— Mama warzyli, bo ja jeszcze nie umiem, a Marya i Katarzyna to jeszcze mniejsze odemnie.

— To mama nie słabi?

— Czemuby nie słabi? Tak się wiją po ziemi, tak stękają! że aż... Ale ja za nich robię.

— O — jaki robotnik!

— Wy nie wiecie i tak gadacie. A no zapytajcie się mamy, jaki ja mądry! Ja »Ojczenasz« cały umiem...

Kobieta rozśmiała się, a Semenko ruszył ramionami i zamilkł. Za nim biegł pies, a on mu niby to rzucał kuleszy i wabił za sobą.

IV.

W trzy dni później.

Na środku izby siedział Semenko i siostry, i stało korytko z maleńkiem dzieckiem. Przy nich miska z zielonymi, ukiszonymi ogórkami i chleb. Na pościeli leżała matka, obłożona świeżemi wierzbowemi gałązkami, a nad nią wrzał rój much.

— Pojedzcie se i siedźcie cicho, bo ja poniesę dziecko do Wasylichy, żeby nakarmiła. Tato kazali, żeby nieść rano, w południe i pod wieczór, a wieczór oni sami już przyjdą.

— Semenku, a nie rzuć dziecka.

— Ja myślał, żeście spali. Tato kazali wam dawać zimnej wody i bułkę do jedzenia. Marya taka grzeczna, że porwała tę bułkę i już raz ukąsiła. Alem ją zbił i odebrał. Będziecie jedli?

— Nie chcę.

— Tato wyszukali jeszcze świeczkę i powiadali, że jak będziecie umierać, to żeby wam dać do rąk i zaświecić. Kiedy ja nie wiem, kiedy dać?...

Matka popatrzyła na syna wielkiemi, błyszczącemi oczyma.

Bezdeń smutku, wszystek żal i bezsilny strach zeszły się razem w tych oczach i urodziły razem dwie białe łzy. Wybiegły na powieki i zamarzły.

— Tato też rano w izbie płakali i bili w odrzwia głową! Zapłakani wzięli kosę i tak poszli.

Wziął dziecko i wyszedł.

. . . .

— Semenku, żebyś nie dał Katrusi, Maryjki i Wasylka macosze bić. Słyszysz? Bo macocha będzie was biła, od miski odganiała i nie da wam białych koszulek.

— Ja nie dam i tatowi każę.

— Nie pomoże nic, synku mój najmilszy, dziecino moja naj-

złotsza! Jak wyrośniesz, żebyście się między sobą bardzo kochali, bardzo, bardzo!... Żebyś im pomagał, żebyś ich nie dał krzywdzić.

— Jak ja będę służył i będę duży, to ja ich nie dam, ja będę do nich co niedziela przychodził.

— Semenku, żebyś prosił taty — że mama nakazywała — żeby was kochał...

— Jedzcie bułkę.

— Śpiewaj dziecku, niech nie płacze.

Semenko kołysał dziecko, ale śpiewać nie umiał. A matka otarła dłonią suche usta i zaśpiewała.

Słabym, urywanym głosem wylewała się jej dusza i po cichutku spadała między dzieci, całując je po główkach. Ciche, niewyraźne słowa mówiły, że po pustem polu rozwiały się klonowe liście, i nikt ich pozbierać nie zdoła, i nigdy one nie zazielenieją. Pieśń usiłowała wydostać się z chaty i pustem polem lecieć za liściami...

ZŁODZIEJ.

Na środku chaty stało dwu rosłych, silnych chłopów. Koszule na nich podarte, twarze pokrwawione.

— Nie myśl ty, człowiecze, że ja cię z rąk puszczę...

Sapali obaj, byli pomęczeni i chwytali piersiami powietrze. Przy pościeli sparła się młoda kobieta, przestraszona i zaspana.

— Nie stój, ale idź zaraz za Michajłem i za Maksymem i powiedz, żeby zaraz przyszli, bo ja tu mam złodzieja w rękach.

Kobieta wyszła, a oni ostali.

— Jakby na słabszego trafił, toby ci we własnej chałupie życie odebrał.

Przystąpił do ławy, wziął kwartę wody i pił tak łakomie, że było słychać, jak mu w gardle bulkotała. Potem rękawem otarł twarz i, patrząc na złodzieja, mówił:

— Nie trza i cyrulika — tyleś krwi puścił.

Ale jeszcze nie domówił tych słów, kiedy złodziej uderzył go kułakiem między oczy.

— Ty bijesz, to i ja będę — ano, kto lepiej?

Zamachnął się bukowem, grubem polanem, i złodziej upadł na ziemię. Z nóg mu trysnęła krew.

— Uciekaj teraz, jak możesz, nie powiem ci ani słowa.

Długo milczeli. Mdłe światło kaganka nie mogło się przedrzeć przez mroki po kątach, a muchy zaczęły nieśmiało przygrywać.

— Zatamujże se krew, człowiecze, bo wszystka ucieknie.

— Daj mi, gazdo, wody.

— Dam ci wody, pokrzep się, bo nie wiesz, co cię czeka.

Długie milczenie.

— Ty, widzę, mocny, gazdo.

— Ja mocny, nieboże, ja konia na plecy biorę, niedobrześ na mnie trafił.

— A naturę, to masz miętką?

— Ja miętki, ale złodzieja żywego z rąk nie puszczam!

— To ja już tu muszę zginąć?

— Albo ja wiem, czyś ty twardy, czy miętki? Jakeś twardy, to możesz wytrzymać...

I znowu w nizkiej chacie zapanowała cisza.

— Zatamuj se krew.

— Poco, żeby więcej bolało, jak będziesz bił? Krew, to sam ból.

— Jak ja już zacznę bić, to musi boleć, chybabyś duszę wypuścił.

— A nie boisz ty się Boga?

— A tyś się bał Boga, kiedyś lazł do komory? Taż tam mój cały dobytek — taż jakbyś ty był to zabrał, tobyś mnie na wieki wieków skaleczył! A czemuż ty nie leziesz do bogacza, jeno do biednego?

— Przepadło, niema co gadać! Bij i daj mi spokój.

— Pewnie, że będę bił.

Na podłodze utworzyła się kałuża krwi.

— A ty, jak masz sumienie, gazdo, to nie zabijaj powoli, jeno weź to polano, a gruchnij jeszcze tak w łeb, jak po nogach, to zbędziesz się kłopotu, a mnie będzie lżej.

— Tybyś chciał odrazu! Czekaj, czekaj, nie można, niech ludzie przyjdą.

— To ty chcesz dobrym sąsiadom zrobić bal?

— Już idą.

. . . .

— *Sława Jsu!*

— *Na wiki sława.*

— U was, Giorgiju, coś się przytrafiło?

— Ta trafiło się, przyszedł gość, to trza go przyjąć.

— Pewnie, że trza.

Maksym i Michajło zajęli sobą całą chałupę, a głowami sięgali powały.

— Siadajcie i wybaczcie, żem wam noc zepsuł.

— To to *on* na ziemi?

— On.

— Chłop, jak zwierz — mieliście dość roboty, nimeście go w chałupie zmieścili?

— Mocny, ej, dobrze mocny, ale na mocniejszego trafił. Ale nim co do czego przyjdzie, siądźcie za stół i proście gościa.

Giorgij wyszedł i za chwilę przyniósł butlę wódki, słoninę i chleb.

— A czemu i *jego* za stół nie weźmiecie?

— Powiada, że nie wstanie.

— To ja mu pomogę.

I gazda wziął złodzieja pod pachy i posadził go za stół.

— Toście już i w chałupie mieli z nim sprzeczkę, Giorgiju?

— Chciał mnie ogłuszyć. Jak mnie palnął kułakiem między oczy, to powiadam wam, tuj tuj, a małom się nie zwalił. Alem namacał polano koło siebie i jak go nie ściągnę po nóżkach — aże siadł na dobre.

— Wy mu się nie dziwujcie, bo każden chce się ratować.

— Ja też nic nie gadam.

Złodziej siedział za stołem blady, apatyczny, koło niego Maksym, a dalej Michajło. Koło pieca stała baba w kożuchu.

— Giorgiju, co ty chcesz z nim zrobić? Ludzie, upamiętajcie go, on chce człowieka zabić.

— Ja widzę, babo, że ty się boisz. Idź ty se do matki, przenocuj, a jutro przyjdziesz.

— Ja nie ustąpię z chałupy!

— To pij z nami, a nie jęcz, bo spiekę. Leź na piec i śpij, albo się patrz, albo jak chcesz.

Ani się nie ruszyła od pieca.

— Baba babą, Giorgiju, ona się bójki boi, jak żyd, nie dziwujcie się.

— E, co mamy na babę patrzeć: daj Boże zdrowie, człowiecze, piję do ciebie. Nie wiem, kto za kogo będzie miał grzech — czy ty za mnie, czy ja za ciebie? Ale grzech musi być, tak się stało, że się bez grzechu nie obejdzie. No, pij.

— Nie chcę.

— Musisz pić, jak ja proszę. Gorzałka cię trochę upamięta, boś het osłabł.

— Ja nie chcę pić z wami.

Wszyscy trzej chłopi zwrócili się do złodzieja. Zawzięte, czarne oczy wróżyły mu zgubę.

— To dawaj, niech będzie, ale pięć porcyi odrazu.

— Pij, a jak nam zabraknie, to jeszcze poślemy.

Raz po raz nalewał i wypił sześć kieliszków. Potem pili Michajło i Maksym. Przegryzali i znów pili.

Michajło:

— Powiedzże nam, człowiecze, skądeś ty zabrnął w naszą wieś, czyś ty z bliska, czy z daleka?

— Ja ze świata.

— A jak ty, czy naszej, chłopskiej kondycyi, czy mieszczańskiej, czy pańskiej? Bo się inaczej do ciebie zastosujemy. Chłopa, to tak się bije: ze trzy razy luśnią po łbie i parę razy w pysk,

żeby upadł. Bo chłop twardy, do niego trza się twardo brać, ale jak on już pod nogami, to robota letka. A pana, to się rychtuje znowu na inszą modę; luśni nie pokazuj, bo zemrze odrazu, ale batem go postrasz. A kiedy on dygoce na całem ciele, to daj dwa razy w mordę, ale też nie za mocno: pan już pod nogami! Pochodź po nim trochę, minutę, dwie — i gotowy. Żebra starte na chrust, bo to kostka bieluśka, jak papier. A żyda, to na pierwszy ogień bierzesz za pejsy — on skacze, pluje, kurczy się jak ta sprężyna. Ale ty na to nie patrzysz, jeno zakładasz wielki palec między dwa mniejsze i sztorcem go popod żebra, wsze sztorcem. Letka bitka, ale barz boląca...

Gazdowie zaśmiali się ciężko, tępo, a Michajło przechylił głowę poza Maksyma i czekał, co złodziej powie.

— No, do jakiej wiary przystajesz?

— To, gazdo, tak jest, że jak wy gorzałkę pijecie, to już mnie żadnym sposobem żywego z rąk nie puścicie.

— Prawdę powiadasz, *bihme*, prawdę, zato cię lubię!

— A nim zabijecie, to dajcie jeszcze gorzałki, niech się upiję, żebym nie wiedział kiedy i jak.

— Pij, na taką sprawę pij, ja nie bronię, ale żeś ty na mnie trafił — bodaj cię Bóg skarał! Mój-ty, ja twardy, ja z kamienia, już ciebie nikto z moich rąk nie wyrwie!

Złodziej wypił jeszcze pięć kieliszków.

— Bijcie ile chcecie, ja już gotowy.

— Czekaj, bracie, dobrze, żeś ty już kontent, ale my jeszcze nie kontentni — ty pięć, a my po jednemu. Dogonimy cię, to zaczniemy gadać.

Michajło patrzył się bardzo wesoło, Maksym myślał o czemś, o czem się bał głośno mówić, Giorgij był niespokojny.

— Widzę, ludzie, że będzie bieda, ustąpiłbym het, a tu mnie coś do niego ciągnie, łańcuchami ciągnie... No, no, pijmy, przekąśmy.

— Gazdo, dajcie, niech was w rękę pocałuję — rzekł złodziej do Maksyma.

— Ou, człowiecze, ty się coś bardzo boisz, ou, to niepieknie!

— *Bihme* nie boję się was, *bihme* i sto razy się zaklnę, że się nie boję!

— A cóż?

— Jakoś mi się teraz na duszy letko stało i chcę tego gazdę w rękę pocałować; on siwy człek, ojcemby mi mógł być...

— Człowiecze, ostaw mnie, bo ja miętki, na sumienie, ja nie chcę, co ci po mnie...

— Ale dajcie rękę, bo będziecie mieli grzech, ja was chcę pocałować, jak rodzonego ojca...

— Ja całkiem miętki, człowiecze, nie całuj mnie.

Michajło i Giorgij aż gęby pootwierali i przestali pić. Zjeżyli włosy i nie wierzyli swoim uszom.

— Oczy mydli, czego on chce? Ty, nieboże, takiego sposobu zażywasz, e, my i na to mądrzy!

Maksym wytrzeszczył oczy jak baran, nie rozumiejąc, co się dzieje.

— Zmiarkował, że ja miętki i zaraz pomyślał...

Mówił, żeby się usprawiedliwić.

— Dajcie, dajcie, gazdo, rękę, ale ze szczerego serca, bo jak was pocałuję, to mi będzie lżej: ja widzę, że mi już nie chodzić po świecie i chcę się z wami pogodzić.

— Ty mnie nie całuj, bo ja het zmięknę, ja ci i tak przebaczę.

— Ale ja was bardzo proszę, bo ja mam okrutnie ciężko umierać, bo ja jeszcze nikogo w rękę nie całował, żeby tak ze sercem. Ja nie pijany, *bihme,* nie, ale ja tak chcę...

— Cicho, mój ty, nie skomlij, nie podchodź z daleka, bo jak grzmotnę, to ani drgniesz!

— Kiedy bo wy myślicie, że ja ćmię, a ja, *bihme,* prawdę

gadam. Ja, widzicie, jakem się napił gorzałki, to mi tak w głowie zaświeciło, że ja mam zginąć i tego gazdę w rękę pocałować, żeby mi Bóg grzechy zmniejszył. Dajcie rękę, gazdo... każcie wy, niech da.

— Czego ten człowiek odemnie chce, kiedy ja nie poradzę, bo ja taki żałośliwy, żem tego ścierpieć nie zdolen...

Maksym nie wiedział, gdzie się podzieć, co ze sobą zrobić w tym kłopocie. Wstydził się, jak dziewczyna.

— Z miętkim to zawdy tak, wsze on u ludzi w pośmiewisku, taka natura paskudna! Ta wy wiecie, że jak się trochę gorzałki napiję, to płaczę. Taki nie trza było mnie tu wołać, bo ja, wiecie, taki jak przędziwo!

Złodziej chciał wziąć Maksymową rękę, aby ją pocałować.

— Ten złodziej chce nas sztuką zajść. Idźcie Maksymie, het od niego, ustąpcie się.

— Dajcie gorzałki, Giorgiju, pijmy sporzej, żeby-my już raz złości dostali — rzekł Michajło.

— Nie chodźcie Maksymie, nie chodźcie ujku odemnie, bo ja zaraz umrę. Ja się nie boję, *bihme* nie boję się, jeno mnie taki niepokój szarpie...

Zaczął drżeć na całem ciele, a usta się trzęsły, jak żywe. Michajło i Giorgij pili wódkę i nie patrzyli na niego.

— Czego ty się boisz, niema czego, ja ci dam rękę pocałować, już dam, niech mnie i zabiją, już dam, na, całuj, jak chcesz...

Złodziej przylgnął do ręki, a Maksym łypał oczyma tak, jakby go kto raz wraz bił po twarzy.

— Miętkim nigdy nie warto być, bo miętki człek do niczego nie zdatny...

Michajło rozstawił wszystkie palce u rąk i pokazywał Giorgijowi.

— Mój ty, mój ty, takie mocne, takie na bitkę łakome, że strach, jakie łakome — kędy uczepią, tam z mięsem rwą!

A Giorgij nie mówił nic, jeno co chwila spluwał w garść i wódkę nalewał.

— Dość już, nieboże, dość, puść, niech sobie pójdę, bo tu niema Boga, ja na taką sprawę nie mogę patrzeć. Wyciągnij ręce z za pazuchy, nie obejmuj, nie, puść, bo mi taki wstyd, że nie wiem, kędy się podzieć.

— Ja chcę jeszcze pocałować obraz, ja chcę jeszcze próg, ja chcę wszystkich, wszystkich, gdzie kto jest na świecie! — krzyczał złodziej.

Kobieta zeskoczyła z pieca i uciekła. Michajło wyszedł z za stołu czarny i pijany, jak noc, Giorgij stał i przypominał sobie, co on to miał robić.

— Maksymie, wy mi się z chaty wynoście, żebym was tu nie widział, bo ubiję, jak wróbla; no, zabierajcie się!

— Ja pójdę, Giorgiju, ja wam nic nie gadam, ale wy się nie gniewajcie, bo wiecie, żem miętki człowiek. Mnie się tak zdaje, że będziecie mieli grzech, ja sobie idę...

— Idźcie, idźcie, boście nie chłop, a ślamazarna baba.

— Ta ja powiadam, że ja nie do tego, ja...

Podniósł się i wyszedł z za stołu.

— Bądźcie zdrowi, a nie gniewajcie się, bo ja, jak jakiś powiedział, nie do tego...

Za stołem ostał sam złodziej, blady, ale dość swobodny.

— A ty wyjdziesz z za stołu, czy trza cię stamtąd wynosić?

— Ja nie wyjdę, ja widzę, że nie wyjdę, bo ja mam tu, pod obrazami siedzieć.

— Oj, wyjdziesz, *bihme*, wyjdziesz, bo my cię poprosimy!

I rzucili się na niego, jak głodne wilki.

PODPALACZ.

Bogacz sielski, Andrzej Kuroczka, siedział przy stole i obiadował — raczej nie obiadował, ale dławił się każdym kęsem. Domowa czeladź wchodziła do chaty, wnosiła zabłocone cebry, swarzyła się przytem i wynosiła je między chudobę. Bogackie dzieci i sługi były brudne, marne; dźwigały na sobie nieociesane i ciężkie jarzmo chłopskiego bogactwa, które nigdy nie daje spokoju, ani radości nijakiej. Sam bogacz najgorzej dręczył się w tem jarzmie, najchętniej przeklinał swoją dolę i nieustannie poganiał dziećmi i czeladzią.

Koło niego na ławie pod oknem siedział jego długoletni robotnik, stary Fedor.

— Ja nigdy nie mam takiej szczęśliwej godziny, aby ja mógł spokojnie kąsek chleba przełknąć. Człek lata i ugania, ta ino pozierajcie, jak padnę gdzieś i zdechnę. Jakże mi to jedzenie ma na smak iść, jak ja widzę, że oni bezemnie w stodole nic nie robią? Ino aby się najeść i dzień przepróżniaczyć! Co tu gadać cudzym, jak swoje dzieci — i ony nie chcą robić! Ja, bihme, nie wiem, jak ten naród ma na świecie żyć? Wszystko pójdzie na żebry...

I darł się, aż mu oczy na wierzch wyłaziły.

— A wy-ście czemu, Fedorze, nadeszli?

— Wy nie wiecie, jakie nasze zajście: zima idzie, a ja boskiem chodzę; dajcie mi ze dwa srebrniki na odrobek...

— A wy — cudni roboty? Już wasza robota skończyła się, Fedorze.

— Niechbym i nie robił, kieby ino kto dał jeść za darmo.

— To bo nie! Dziś za darmo jeść nie dają, dziś wasza robota i jadła nie warta, taka to ta robota! A gadałech wam: Najmijcież mi dziewkę, bylibyście teraz mieli swoje pieniądze.

— Cóż, kiedy nie chciała i poszła do dworu.

— Taże pewnie, kto nie chce robić, to sie pcha do dwora; bo choć sie tam nie naje, ale sie walać może. Biedni ludzie tacy ponastali, co ino aby raz na dzień zjadł, ale coby nic nie robił, to wtedy raj! Jak robią, tak mają, tak im Bóg błogosławi. Dziś trzaby sie w powrózek okręcić, aby coś mieć... Ta te dwa srebrniki ja wam jeszcze dam, co bedę z wami robił, może sie jakoś opędzicie, ale więcej nie przychodźcie i nie banujcie, bo nie dam. Sami widzicie, że wasza robota już na nic...

— Ta ja, Andrzeju, muszę się przy ludziach tułać, a gdzież ja się podzieję?

— Podziewajcie się, gdzie chcecie, a między gazdów wyście już niezdatni. Szukajcie sobie służby u żyda, abo u pana — tam robota leksza.

— To wy mi fajnie radzicie! Jak ja przy was siłę stracił, aby ja szedł na starość żydom wodę nosić.

— Za darmo-ście mi nie robili.

— Eh, bywajcie zdrowi.

I Fedor wyszedł z chaty.

— No, ta te żebraki wszystkoby zabrały! Takie to dychawiczne, chore, zaślinione, że cepa w rękach nie zdoła udzierżyć, a jeszcze sie kokosi! Idź-że na złamanie karku... Myśli, że ja pieniądze kuję, abo kradnę!

Fedor człapał ku swojej chacie i nie przestawał szeptać.

— A jak, Andryjku, gdzie ja siłę puścił? Czy ja ją przetań-

cował, czy ja ją przepił? Taże wszystka ona siła u ciebie, na twoim podwórku. A jak, Andryjku, gdzie ja siłę puścił?

W chacie zrzucił czopoty i legł na pościeli. Leżał do samego wieczora i bez wieczerzy zasnął. Ale jeszcze kury nie piały, jak się zerwał, uderzył nogami o deski, znów legł i znowu się zerwał. Przez maleńkie okienko patrzała nań jesienna noc. Dyć to i nie noc, ale czarna troska, co snuła się po węgłach chaty i patrzyła się na niego siwem, niemiłosiernem okiem. Ono go tak zniewoliło, że nie mógł się ruszyć, i pokazywało mu to obrazy w oknie, to przywidzenia w powietrzu.

Oto siedzi on między maleńkimi żydkami, doziera ich, piastuje, a one go ciągną za czuprynę i plują mu w twarz.

...To znów klęczy on w cerkwi, w tym kącie, gdzie żebraki czołami o podłogę biją. On uderza jeszcze głośniej, a niewiasty podchodzą ku niemu i dają każda po bochenku chleba. On je kładzie za pazuchę, kładzie — i staje taki szeroki, że aż ludzie rozstępują się. A jemu wstyd! Sto świdrów idzie w serce z ludzkich oczu...

O, znów idzie ogrodem Kuroczki — nie idzie, a skrada się chyłkiem pod stodołę. Wyciąga snopek ze strzechy, nasypuje weń watry z fajki i ucieka, ucieka... Czuje poza sobą, jak gdyby oczyma widział, jak z pod strzechy wylizuje się maleńki, czerwony języczek, wylizuje się i chowa...

— Oj, joj! joj!

Ten języczek zapiekł go w sam mózg. Całą siłą oswobodził się z niewidomych więzów, zerwał się i popatrzył w okienko. Ono, jak kat, przeszywało go nawskróś. Znów zwali i będzie mordować swoimi obrazami. Przestraszył się, nie widział nijakiego wyjścia — zwrócił się, aby gdzieś uciec. I przed nim jakby jakieś wrota otworzyły się, stało mu się lżej, a on czemprędzej podał się w nie...

II.

Może miał szesnaście lat, jak szedł ze swojego sioła. Takiego jasnego dnia, takiego wesołego słońca już nigdy potem nie widział. Słonko pieściło zielone trawy, sine lasy i białe potoki. Oglądnął się za siołem. Żeby kto przyszedł i rzekł mu jedno słowo — wróciłby się, oj, wróciłby się wartko!

— On mie bije, katuje, jeść nie daje, niczem nie przyodzieje — leciała jego skarga po zielonych trawach.

— Bodaj-że was, tatusiu, ziemia nie pożarła!

I jeszcze skorzej poszedł. Minął sielskie pola, pominął jeszcze dwa sioła i ze wzgórza obaczył miasto, co wyłuskowało się naprzeciw słońca, jak błyszcząca żmija.

*

Wszyscy dziwowali się jego sile i bali się. Żydzi nie potrącali, a robotnicy nie brali go na śmiech i nie robili zbytków. Prał ciężkimi worami, jak kluskami — dzień ode dnia — to z wozu do szpichlerza, to ze szpichlerza na wóz.

— Grzbiet mi pęka od tych worów!

— Pij gorzałkę, to zcierpnie.

I rzeczywiście od gorzałki grzbiet zcierpnął, jakby ręką odjął, odeszło.

A w niedzielę i święta szedł z towarzystwem do szynku. Te szynki stały za miastem, między siołem a miastem. Kto w siole nie miał przytułku, ten wędrował nasamprzód tu, a kto nie miał co w mieście robić, to także tu powracał. Bo to nie było ani sioło, ani miasto.

Bywały tam zabawy po tych szynkach!

Zrazu pany z miasta przewodziły. Rozpowiadały o swoich

dawnych dostatkach, o tem, wiele z cesarskiej kasy co pierwszego pieniędzy pobierali, jakie stroje nosili i t. d. Chłopy słuchały, częstowały ich gorzałką z wielkiej poszany. Ale jak se trochę podpiły, to wyłamywały się z pod moralnej władzy i wtedy panom ciężko przychodziło...

— Ano, pany, ochota! Łapcie się za szyję i hulajcie nam te polki, niech widzimy, jak się to między takiem wielkiem państwem dzieje!...

Pany hulały, bo musiały, chłopy obstąpiły ich kołem i rechotały, aż karczma dudniła.

— Hopa duś!

— Jeszcze raz!

— A po lekku, sprawnie, wraz!

— Hou, dość!... Teraz pijcie gorzałkę, zabierajcie swoje wszy po kieszeniach i marsz z karczmy, bo chłopy chcą se sami między sobą pohulać!

I pany, jak zające, wymykały się.

— Ja tych panów umiem rychtować, to takie letkie, jak pierze: dmuchnij a już go niema.

— Hej, żydzie, dawaj wódki, daj wina, daj haraku, bo my sie dobrze znamy!

Żyd prędziutko stawiał wszystko na stół i zaraz odbierał pieniądze.

— Ty, Beznogi, ty czego beczysz? za nogą? Pij, a zaprzyj se gębę, bo u mnie zabawa!

Beznogi jeszcze głośniej zaryczał.

— Cicho, bo biję!

— Nie rusz!

— A to który, co?!

— A ty co za pan?

Fedor wstał z za stołu i trzasnął tego ochoczego w lice.

— Ty w niedzielę pieresz? Ta to grzech!

I uderzeniem ławki zwalił Fedora na ziemię. Powstały dwie partye. W karczmie wszystko zawieruszyło się. Żyd uciekł, gorzałka bulkotała po ziemi, stoły i ławki poczerwieniły od krwi i, połamane, padały. A w błocie ze śliny, gorzałki i krwi leżały obie partye i stękały. Jeden Beznogi siedział w kącie i ryczał, jak wół — nie wiedzieć za kim i za czem.

Niebawem przybiegła policya i poczęła ich trzeźwić. Z wielką biedą podejmowała na nogi, potem jednym zamachem zwalowała z nich. Bractwo padało jak dęby, a podnosiło się, jak glina. Jak byli wszyscy już dobrze trzeźwi, to prowadzono ich do aresztu.

*

Jechał drogą pomiędzy polami na stosie worków. Pszenice i żyta, jak złote i srebrne gaje pod lekkim wiatrem kłoniły się ku sobie. Po złocie i po srebrze pływały lekkie czarne chmurki, jak cienka, jedwabna sieć. Morze słońca w morzu bezmiernych łanów. Ziemia pokłosiem dzwoniła, śpiewała słowami, gwarzyła.

— Moszku, na lejce, bo ja sobie idę het!...

Zeskoczył z wozu i poszedł miedzami pomiędzy żytami. Na wieczór zaszedł do Andrzeja Kuroczki.

— Ty pewno abo złodziej, abo łajdak, bo dobry nie idzie ze swojego sioła i nie błąka się światami!

— Będziecie widzieć. Tatuś, co po pańszczyźnie nie przepili, to za głodnych roków poprzedali, potem zięcia przyjęli i pomarli; a zięć mię dotąd bił, ażem wziął i uciekł z chaty...

— A u was, u Bojków, baczę, krowami orzą?

— Nie, to widać jeszcze za nami Niemcy krowy zaprzęgają.

— To zzuj obuwie i wynieś kożuszynę z izby, abyś nie napuścił nędzy, ta i licha. A cerkiew u was taka, jak u nas? I ksiądz jest?

— Tak samo, jak i u was.

— Ta bedę widział, jak sie udasz. Nie bedziesz obraźliwy, a roboty nie bedziesz sie bał, to cie najmę.

I najął się. Sioło poznało go, że nie złodziej, że robotnik dobry, że się stara o siebie, i przyjęło za swego. A on się dowiedział, jak się które pole nazywa, czyje ono, czy wymaka, czy wysycha, który w siole najlepszy złodziej, który największy bogacz — i zrobił się sielski.

Posłużył kilka lat, a dobrzy ludzie zaczęli mu radzić, aby się stał gazdą.

— Ty nie bądź głupi, a jak daje kawałeczek ogrodu, a dziewka rosła i okazała, to bier. A masz piniądz zasłużony, a jeszcze przyrobisz, to postaw sobie chatę. A niech ona bedzie jak chlew, ale twoja! A czy deszcz, czy zima, czy tak i tak niema roboty, to już ty nie kukasz z za bogackiego węgła i nie gnijesz po żłobach, bo masz swój kąt. Słuchaj mnie starego...

*

Ożenił się, budował chatę i trzaskał od roboty, od swojej i cudzej. Nosił deski z miasta na plecach, obrabiał stare snopki, co wieją na strzesze i zarabiał pieniądze, to na okna, to na drzwi. Dwa roki minęło, zaczem postawił chatę. Chatczyna maleńka, niepokaźna, wyglądała między drugiemi chatami, jakby kto puścił między gromadę harnych ptaków wypierzoną kurkę.

Ale Fedorowi i taka była miła...

*

Minęło kilkanaście roków, a przed Fedorową chatę przynieśli ludzie czerwone chorągwie. W chacie na ławie leżała jego Kata-

rzyna, wielga i hruba, aże straszna. Fedor trzymał przy sobie dwoje dziewcząt: jedenastoletnią Naścię i ośmioletnią Maryjkę i wciąż się ich pytał: co będziemy, dońki, bez mamy robili? Która z was ojcu obiad zwarzy?

A jak żonę kładli w trumnę, to on zapłakał.

— Bierzcie ją po lekku, bo ciało u niej bardzo zbolałe. Oj, Katarzyno, ja jeszcze nie zdążył dobrze nagadać się z tobą, a tyś się rozgniewała i poszła odemnie.

Przypadł do nieboszczki i całował ją w lice.

— Ludzie, ludzie, ja do niej nigdy słowa nie zagadał, ja przez ciągłą robotę o niej zabaczył. Daruj mi, daruj Katarzyno, przyjacielu mój dobry!

Płacz niewiast wybiegł z chaty daleko na sioło.

— Ona, ludzie, jak poszła za mnie, to tak, jakby pod wodę wpadła, nikt jej już nie widział między ludźmi. Aż teraz wynurzyła się wśród was — na ławie. Ja do niej nigdy marnego słowa nie zagadał, małego słówka!

*

I znów minęło kilka lat. Jednego wieczora przyszła ze służby Naścia. Fedor popatrzał na nią i zbladł.

— Naściu, niebogo, tyś sama, a gdzież twój chłop?

Naścia zapłakała, zawiedła, a on słowa więcej nie wyrzekł. Aż jak ją odprowadził do miasta na służbę i rozchodził się z nią, to wtedy przemówił.

— Daj ci Boże, dziecino, jak najlepiej, ale patrz, abyś dziecka nie straciła, bo wstydu już nie pokryjesz, a grzechu nieodpuszczonego się dokupisz. Ta donoś przecie czasem, jak ci tu bedzie...

A roki szły, nie stały. Fedor nie wypuszczał z rąk cepa całą zimę, pługa nie popuścił całą wiosnę, a kosy całe lato. Niedziela ino stawała na poratunek, bo w niedzielę szedł pod wiśnię, legał

na zielonej trawie, a ona wysysała w ziemię ten ból. Ta przyszedł taki czas, że niedziela nie mogła wyssać tego bolu, co się zapiekł w starych kościach. Do tego przymitwał się kaszel i nie opuścił go ani przy kosie, ani przy pługu, ani też przy cepie...

. . . .

Rozwidniło się, okienko pobielało, a Fedor powrócił z dalekiej wędrówki swego minionego życia. Umył się, zmówił pacierz i zabierał się do dworu.

— Najmę się u pana od wiesny; wezmę na czopoty i trochę ornaryi, ta jakoś przezimuję, zanim się do tej służby zaprzęgnę.

III.

Wijące się po siole białe, wązkie ścieżki wszystkie chaty powiązały w kupę, jedna Fedorowa chata stała poza siecią ścieżek, jak pustka. Fedor zimował, jak niedźwiedź. Rano wstawał na godzinę, aby zamoczyć i zwarzyć sobie jadło, a potem cały dzień i całą noc przeleżał na piecu. Czem dalej zachodziło w zimę, tem bardziej schodził na dziecinny rozum.

— Teraz Fedorze, niebogo, wstań, ukrój sobie kromeczkę chleba, ale cieniutką, pańską, boś, widzę, już zgłodniał.

Śmiał się, złaził z pieca i krajał kromkę chleba, ta patrzał przez nią w okno, czy sprawiedliwie pańska.

A w ciemne, zimowe noce wołał głośno na całą izbę, gadał straszne rzeczy.

— Sioło wymarło co do nogi, nie gadam bajek, nie chcę nawet patrzeć w tę stronę!

Ale własne słowa przejmowały go lękiem, potniał ze strachu i zeskakiwał z pieca do okienka, by się przekonać, czy się w karczmie świeci? Uspokoiwszy się pomału, wracał na piec.

A jak w nocy przebudzał się ze snu, to nie mógł się ŋijak opamiętać, zapominał się doznaku, aże skoro pięściami uderzył o belek, dopiero wtedy przychodził do siebie.

Tej zimy jego chata zapełniła się upiorami, przywidami i marami. Tak se hulały po izbie, jak zbytkowne dzieci. Wylatywały do sieni i wystudzały izbę, to przez piec wybiegały na strych i tłukły się, aż się powała łupiła, to znów dzwoniły w oknie, aby go w pole zmanić. On się nie dawał zwieść i postanowił się nie bać; wtedy one wybiegały na piec, szczypały go, dusiły i w usta zapychały onucki. Jednej nocy zleciały się do chaty wszystkie czarty. Hulały, aż chata drżała, a wiater taki zrobiły, że on zamarzał na piecu. Potem pozasiadały za stołem i powywalały ze zmęczenia języki, takie same, jak ten maleńki języczek, co go Fedor podłożył pod Kuroczkową stodołę. Leżał prawie nieżywy, aż jak kury zapiały, wtedy ledwo zgratał się i począł mówić pacierze. Ale one i przy pacierzu nie dawały mu spokoju. Nie mógł przybaczyć tych modlitew, które najlepiej znał, zapominał nawet przeżegnać się. Te mary tak go zmordowały, że jak nadeszła wiosna, to już ledwo dychał; pobielał cały, jak papier.

— Trzeba wziąć pieniędzy, skąd się da i poświęcić chatę, bo tu nieczyste zlazło się z całego sioła na kupę. Wypiły ze mnie krew doznaku, te mary przeklęte...

Jak ino wiośniane słońce zabłysło, smarował czoboty, łatał koszulę, kręcił sznury do kerpców i cieszył się, że już raz pójdzie do służby.

— Ubierę się, obuję fajno, i do dwora! Proszę wielmożnego pana, melduję się do pańskiej służby...

— Dobrze, Fedorze — gdzieś odpowiadał jemu pan — ty, widzę, człek obyty, kiedy sam podług przepisu meldujesz się...

I Fedor, łatając koszulę, uśmiechał się słodko.

IV.

Fedor stał w progu pańskiego gumna i patrzał smutno za rzędem pługów, co się wysnuwał z bramy, jak łańcuch, w którym żelazo spajało mięso ludzkie z mięsem wołów.

— Skończyło się już moje oranie! Stare ogniwo, to i wyrzucili, bo łańcuch urwałby się wśród drogi...

Pokiwał głową i poszedł do stodoły brać świniom ziarno. Przez cały dzień na gumnie było cicho. Ino od służebniczych izb dochodziły krzyki bab i lament dzieci.

Jakby kto z sioła powybierał co najgorsze chatki, a do nich zagnał najbardziej obdartych chłopów i najżółciejsze baby, dodając jeszcze goły drobiazg — i to wszystko razem zeprał na kupę, to miałby prawdziwy obraz najemniczych chatek z ich mieszkańcami.

Fedor z gumna patrzał na te chatki i czemuś przeczył głową.

— A gdzież jaby tam szedł w takie piekło! Ja sobie będę spał w stajni — teraz zimy niema. Nie pódę ja tam w tę przepaść...

Wieczorem poszedł do stajni. Koło żłobu stały woły dwiema długiemi ławami i leniwo przeżuwały siano. Przy każdych czterech siedział poganiacz i dozierał, aby pod siebie nie wyrzucały. Między temi ławami siedzieli na ziemi zapłużnicy i osiewacze. Łatali sobie obuwie, ściągali powrózkami swoje serdaczyny i naprawiali istyki. Każdy dłubał koło czegoś. Przy nich usiadł Fedor. Oni jeden za drugim padali na słomę, za nimi przewracali się w żłoby poganiacze, a za przykładem poganiaczy poszli zapłużnicy. W stajni zapanował ciężki odpoczynek, co po udręce z zaoranych łanów pada na stajnię, jak ciężki kamień. Fedor też zasunął się przed woły.

— Świniarzu, hej, świniarzu, a marsz z przed wołów między świnie! Może ci jeszcze łóżko postawić! Twoja Maryjka dobrze nas rychtuje. Zmamrała się z furmanem i wydaje mu co najlepsze, ta jeszcześ i ty przylazł na naszą głowę? Marsz z przed wołów!

Fedor wygramolił się ze żłobu i legł przy drzwiach na wiązce słomy. Zapomniana krzywda w tej chwili ozwała się.

— Grzech będziesz miał za mnie, Andrzeju, grzech...

Stajnia stękała, poziewała, przez sen gaworzyła. Tak ciężko dyszała, jakby gdzieś głęboko, w ziemi, dusiło się tysiące ludzi.

— Módl się za mnie, niech mnie Pan Bóg strzeże, niech mi da lepszy rozum, bo cię upiekę w ogniu, jak paciuka, bo będziesz trzy dni popiół za swojem bogactwem zgarnował...

Nad ranem i on stoczył się w czarną przepaść stajennego snu.

V.

Nigdy już potem Fedor nie zachodził do stajni i nie gadał z najmitami. Spał w stodole i nie pokazywał się na oczy. Po Wielkanocy Marya wydała się za furmana i przeszła z nim na służbę do drugiego pana. Fedor wyszedł z nimi za bramę i pożegnał się.

— Maryjo, a pamiętaj, że ja chatę przy ludziach Naści odkażę, abyś ty jej nie wygnała, bo ona biedna, sierota, sama samiutka!

I wrócił się. W chlewie, aby nikto nie widział, zapłakał.

— Teraz żyj z kim chcesz!

Tego dnia jeszcze upił się i poszedł do stajni.

— Mój ty, skarbowianie, teraz mię nikt nie wygoni, bo już moja Marya powędrowała.

— Ktoby was wyganiał, ot legajcie na spód, jakeście nalali pełną głowę.

— Pewnie, że pijanemu dobrze spać, tak i Bóg przykazał. Ale ty każesz iść spać, a ja się ciebie pytam: gdzie ja mam iść spać? Jak ty taka mądra głowa, to ty mi powiedz, gdzie ja mam iść spać?

Aż nosa Poscerowego dotykał się, tak blizko się przysunął ze swojem pytaniem.

— Gdzie padniecie, tam bedziecie spać.

— A jakby ja tak do żłobu, ha?

Zaśmiał się żałośnie.

— Ja w żłób, a ty mnie za hyrę, potem za kark i bukiem: a marsz, stary psie!

Poganiacze powyłazili z jaseł, żeby patrzeć na komedyę.

— Bij z jaseł, boś ty tu gnił i tu masz zgnić, bo ty nie wiesz, co to jest człowiek — tyś wół, tyś między chaty nie obaczył. Ty porządnego człowieka z jaseł bukiem! Ale ty się nie zapytasz: »A gdzie to waspan doteraz był?« A ja ci powiem: »Byliśmy między ludźmi, milutko nam było«. Ale ty padasz: »A czegóż ciebie ludzie od siebie odegnali? O, to sęk«... A ja tobie na to nic nie powiem, ino trzy słowa: »Niema u ludzi Boga«. A tyś głowa rozumna, to i wszystko już zmiarkujesz...

— Idź-że stary spać, nie pleć bajek, a zajutro pódziemy do sioła na wybór, to my tych bogaczyków trochę przyciśniemy.

— Ja na wybory pódę i ludziom całą swoją krzywdę opowiem, ale do żłobu nie pódę, bo ja tam nie mam gnić. Ja znam lepiej gatunek jak ty, ja więcej świata widział, jak twój pan. Ale czekaj, ja tobie powiem jak na protokóle. Ja był pomyjnijkiem żydowskim, ja wycierał się popod żydowskie ławy, po wszystkich kryminałach. A niech Pan Bóg pisze grzech, ja się nie boję, ja za wszystko odpowiem, tak odrąbię, jak pierwszemu lepszemu. A mnie kto rozumu uczył, ha? Kiedy mnie ino czem widzicie, tem ja był! Nie bój się, ja wypowiem, ja wywiążę się co do kreski. No, ale mi dał Bóg taki rozum w głowie, że ja przywrócił się nazad do naszej wiary. Jakem ujrzał Jego łaskę niebieską po polu, jak żyto naginało się pod sierp, a ziemia aż prosiła: Pódź, Fedorze, bier

ze mnie chleb — tak ja puścił żyda wśród drogi i poszedł do bożej roboty. Dziękuję Panu Bogu i do dzisiednia!

Przeżegnał się, całował ziemię i bił pokłony.

Przyszedłem ja między naszych ludzi i świat mi się na nowo otworzył: Tożto ja z nimi harował! Ożeniłem się, postawił chatę z wielkim mozołem. Już mi przecie, myślę, będzie dobrze. Ale grzechy trzeba odpokutować. Bóg bukiem nie bije! Umarła mi Katarzyna, no, nic, Jego wola, Jego rozkaz. Cieszę się dziećmi, hoduję to, zabiegam — i wychowałem. Ja wychował, a ludzie wzięli i popsuli. Poszła moja Naścia ni tak, ni siak, poszła znów po żydach, a Marya, dy wiecie, powędrowała z tym Lachem. Będzie biedować. Ale nic, niech mnie Pan Bóg skarze, jak co gadam... A ja ostał sie bosy. Idę ja do niego w taką plutę: »Daj mi grajcar, powiadam, niech nogi obuję«. A on mi pada: »Idź do żydów«. Przyszedłech do was, a wy mi: »Marsz!« A kanyż ja mam teraz iść? Karze Bóg, karzą ludzie, karzecie wy, a ja telo kary naraz nie zdolę wytrzymać!

— Idźcie, ojcze, do żłobu, my was prosimy.

— Niech będzie kara na mnie, ja ją przyjmę, ale po prawdzie!

Rozdarł koszulę u pazuchy, zdjął i rzucił pod woły.

— Teraz patrz, jaką mi skóreczkę bogacze ostawiły. Ta z czem tu żyć? A cóż tu już katować?!

I goły, przewrócił się na ziemię. Najmici go przykrywali, czem mieli najlepszem.

VI.

Obok gromadzkiej kancelaryi stały dwie kupy. Jedna obdarta, obca w siole, druga czysta, biała i ochocza — najmici i gazdowie. Z jednej i drugiej kupy ktoś wywoływany zachodził do kancelaryi i głosował. Ekonom aż zachrypł, bo każdemu najmicie musiał

nazywać: pana, wójta i żyda. Żandarmi snuli się i uśmiechali, jakby mieli przed sobą dziecinną zabawkę.

— No, chłopcy, wybraliście pana, będziecie pić gorzałkę — wołał ekonom.

Gazdowie zrobili hałas.

— To wszakże, żebraki, to pańskie bydło!

— Moiście-wy, słyszycie, jak bogaczów dławi?

— Niech dławi, a my pijmy gorzałkę.

— Pijcie żar, pijcie krew swoją, złodzieje!

— My gorzałkę wolimy.

— To nam panowie wyszukali prawo, aby biedaki rozbojem naszły sioło!

— Ty, czytelniku, ty myślisz, że ja nie był w czytelni? Tażе i tam biedny naród stoi przy progu. Za stołem siedzi ksiądz, starsze braty, bogacze, a djak czyta tę gazetę, a wy kiwacie głowami, jak woły, niby coś wy z tego rozumiecie. A to jeden z drugim taki głupi, choć mu oko wykol! Taka-to ta czytelnia wasza, że bogacz za stołem, a najmita przy progu. Tak w cerkwi, tak w kancelaryi, tak wszędy. I my mamy być z wami?!

— Chłopski łeb nie do pisma, a zad nie do krzesła!

Najmici zarechotali.

— Cicho wy, nieumyci, wprzód wszy powybijajcie, a potem uczcie gazdów rozumu!

— Mój ty, Kuroczko, to ty też za ludźmi? Tażeś ty gorszy od żyda! Czego krzyczysz? Nie bój się, twoje bogactwo pódzie marnie. A przypomnij se, jak ja służył u ciebie, to mnie od twojej roboty choroba nakryła. A czyś ty mi za cały tydzień wyniósł kromkę chleba, abo się dał wody napić? To ty z ludźmi trzymasz? Ja u ciebie wszystką siłę zostawił, a tyś mnie wygnał bosego na zimę! Tażeś ty gorszy od żyda, bo to rachuje się nie nasza wiara.

Ale puszczą twoje dzieci to bogactwo, że z niego śladu nie będzie! Ty lutrze!

Kuroczko gruchnął Fedora w twarz, tak mocno, że go oblała krew i upadł.

— Chłopcy, ano, bogacza trochę pomacajmy!

Pochwycili najmici Kuroczkę, postanęli za Kuroczką gazdowie, pociekła krew...

VII.

Fedor leżał w swojej chatczynie na pościeli. Oczy jego gorzały, jak żar, od czerwonych języczków, co tysiącami ogników rozbiegały się po ciele i smażyły go na węgiel. Języczki te, jak błyskawki, latały po wszystkich żyłach i wracały się do oczu. Gryzł pięście, bił czołem o ścianę, aby ogień z oczu wypadł, i padał na pościel.

Zapalił się, czuł, że z niego bucha płomień. Brał się rękami za oczy... Jeden straszny krzyk, nieludzki jęk. — Języczki wyleciały z ciała i przylepiły się na szybach okienka.

Zerwał się.

Okienko czerwieniło się, jak świeża rana i lało krew na izbę.

— Niech wszystko moje wygore!

Skakał i tańcował i śmiał się.

Okienko drżało, trzęsło się i coraz więcej tej krwi napływało w izbę.

Wybiegł na próg.

Gwiazdy padały na ziemię, las skamieniał, a gdzieś z pod ziemi dobywały się wściekłe głosy i zaraz przepadały. Chaty ożyły, drżały, smażyły się w ogniu.

— Ja cudzego nie pragnę, ino niech moje wygore!...

ANDRIJ WERCHOWYNEĆ

LIST MATKI.

— Matko! Feduniu! Iwanie! A chodźcież tu! Patrzcie ino, ile tu wojska idzie! Czy wojna jaka, czy co? Prędzejże! — krzyczało młode dziewczę, puszczając konewkę do studni i biegnąc na ulicę. Matka z trzaskiem rzuciła tarlicę i stanęła obok córki. Wybiegło też ze sadu dwoje dzieci z pełnemi pazuchami gruszek i patrzały, rozdziawiwszy gęby.

Przez wieś ciągnęła baterya artyleryi polnej. Drży i tętni ziemia, huczą ciężkie armaty, parskają konie, machając bujnymi ogonami i kiwając na wszystkie strony łbami, jakby się kłaniały natrętnym owadom, które jak gęsty rój obsiadły ich grzywy.

Jaki hardy marsz! Myślałby kto, że po sławnej bitwie. Patrz, jak poważnie siedzi na koniu dowódzca, jak pysznią się oficerzy! Jak zamaszyście kołyszą się na koniach »farkanonierzy«! Jakie surowe twarze tych żołnierzy, siedzących na armatach!

Na drodze, w piasku, bawi się małe dziecko z takiem zajęciem, że nie widzi blizkiego pochodu. Już je od pierwszych koni zaledwie kilka kroków dzieli... Chłopczyna rysuje ojcowskim cybuchem jakieś cudaczne figury na piasku... W porę jeszcze wybiega z poblizkiej chaty przestraszona matka i chwyta dziecko na ręce.

Chłopczyk nadyma usta i wyrywa się z rąk matki, jak pstrąg z sieci. Widocznie chciał mówić »Nolite tangere circulos meos«,

lecz zamiast tego szeplenił ustawicznie »Puście, puście, bo ukąsę!« — i porywał się kąsać matczyne palce.

— Bauern Mist! — krzyknął kapitan, mijając ich koniem.

— R-r-r-r-uht! — rozległa się komenda na przodzie.

Odezwała się trąbka.

— Ruht! — powtórzono dalej szeregami.

Znikła natychmiast powaga z ogorzałych twarzy. Zaczynają palić: jeden przez konia podaje zapałki swemu towarzyszowi, drugi dymi już »dramą«, trzeci wyciąga kapciuch i napycha fajkę, czwarty prosi o resztę cygara, inny łyka z »feldflaszy« gorzałkę i częstuje swojego sąsiada. Niektórzy drzemią, ukołysani jazdą na armatach.

Brzmi wesoła, żołnierska piosenka. Zaludnia się wiejska ulica... Wszyscy zostawiają robotę i śpieszą na drogę; psy ujadają zawzięcie. Najliczniej cisną się dziewczęta i przysłaniając rękami oczy od słońca, przyglądają się żwawym żołnierzom.

A oni tego tylko pragną.

— Dziewczęta! — krzyczy wąsaty kanonier. — Czy nie macie wy kwoki na sprzedaż?

— Mamy, mamy, dlaczegobyśmy nie mieli! — odpowiada mu wartko wiejska krasawica.

Nadjechała ostatnia armata. Jej »formajster« Stefan Szerszeń smętnie jakoś rozgląda się dokoła, a nadkanonier Wencel Czapek wyśpiewuje czeskie piosnki i mruga na mołodyce...

Minęli wieś. Baterya wyjechała na rozległe, pagórkowate pola. Którędy okiem rzucisz — żółcieje się ścierń, gdzieniegdzie tylko widać zielone badyle niewykopanych jeszcze ziemniaków.

Żołnierze rozśpiewali się na dobre:

»Turok pan, Turok pan, taj turećki pany
Wid zachodu sońcia, wid zachodu sońcia wijnu zaczynały« — ciągną Rusini.

»W polu stać, w polu stać i w polu nocować

Choćby było mięso, choćby było mięso, niema w czem zgotować« — śpiewają Polacy.

»Das möchten unsere Kanonen beweisen,

Dass wir Artilleristen sein« —

donosi wiatr słowa Niemców, hen od pierwszej armaty. Najbardziej drą się żołnierze z trzeciego roku, tak zwana »stara wojna«. Są to ich ostatnie manewry, ostatnie chwile wojskowego życia. Jutro rozejdą się na urlop.

— Panie formajster! — woła Czapek do Szerszenia. — Czegoś pan smutny? Czterdzieści ośm godzin do urlopu! Trza mieć kuraż, panie formajster!

Szerszeń uśmiechnął się z przymusem. Dobył z kieszeni list i począł z trudnością odczytywać:

»Najdroższy Szczepanie!

Dowiaduję się o twojem miłem zdrowiu i powodzeniu. Ja z łaski Pana Boga zdrowa i powodzi mi się, jak zazwyczaj koło gospodarstwa. Posyłam ci piątkę na drogę. Ach, gdybyś wiedział, jak cię oczekuję, jak liczę dni i godziny... Ta piątka, to za cielątko od łysej, bezrogiej. Boczysta, chwałabogu, odbiegała się. Stare świnie sprzedane, karmię ino dwoje prosiąt. Fedio Riantuchów, ten co mu w głowie popsuło się było, przystał do Teśki Kryłatego; Hala Poricznego wyszła za Hryćka Potocznego. Umarł stary Riabyna, ten co u nas na komornem mieszkał. Diak ciągle choruje i powiada, że jak do domu wrócisz, to ci diakostwo odda. Ciotczyna Marysia miała dziecko, Wasylka. Jewka Jazykatego, ta co cię raz okłamała, już także chwałabogu... Pozdrawia cię twoja Ołena. Już tak za tobą dziewczyna szaleje, że omal rozumu nie straci! Niema takiego dnia, aby się o ciebie nie dowiadywała. »Co tam — powiada — matko, słychać o Szczepanie? Czy zdrowy? Ciężko mi żyć bez niego — powiada — ciężko, jak kamień gryźć. Dwa lata czekałam cierpliwie — powiada — ale teraz trudno! Ma-

tko! — powiada na ostatku. — Ze soboty na niedzielę miałam brzydki sen. Idę ja niby z cerkwi — mówi — wtem patrzę: Szczepan! Ale taki wam smutny, że aże strach! Wyciągnął do mnie rękę — mówi — a jego ręka krwawa! Chciałam krzyknąć i naraz obudziłam się. Na pierwszą Matkę dałam na mszę za jego zdrowie. Matko, czy nic do was nie pisał?« — Nic, powiadam, i sama ledwie się od płaczu wstrzymuję. Tak żal mi dziewki. Całkiem zmizerniała. Więcej nic nie mam do pisania, tylko cię pozdrawiam serdecznie i Panu Bogu oddaję. Powracaj w zdrowiu.

Twoja matka, *Nasta.*

Stefan schował list i zadumał się.

— Habt Acht! Batterie Tra-a-ab! — zakomenderował kapitan.

Niejeden senny zbudził się na armacie. Farkanonierzy »szpornują« konie i wywijają butami. Konie wyciągają się. Ziemia dudni. Jedzie się ornem polem, pod górę. Ciężka droga. Ot-ot i góra. Konie dyszą, jak kowalskie miechy.

— Galo-o-op! — rozbrzmiewa komenda.

»F a r k a n o n i e r z y« tulą się do koni. Armatami podrzuca na bróżdach tak, jak wózkiem dziecięcym. Lecą czapki po polu. Niejeden rekrut zamknął w strachu oczy.

To się jedzie do linii bojowej.

Przyjechali.

Na dalekiem wzgórzu majaczeją jakieś niewyraźne przedmioty. To »nieprzyjacielska« artylerya.

Rozpoczął się obustronny ogień.

Huk armat wstrząsa powietrzem i ogłusza uszy.

Strzela się naturalnie prochem bez naboi.

Jak pszczoły koło swego ula, tak krzątają się żołnierze koło swoich armat. Huk dodaje im i siły i ducha.

— Kuraż, chłopcy! — zachęca jeden drugiego. Armata Szer-

szenia ma dać wystrzał. Nabój już włożony, już Czapek naciągnął sznurek z »brandlą«, aby odpalić.

Szerszeń poprawia patron, zatyka otwór i prędko, według przepisu, ma odskoczyć na bok, bo zawołano »Feuer« — ale jakoś mu idzie niezręcznie. Wtem podochocony Czapek pociągnął za sznurek.

Rozległ się strzał, z otworu buchnął płomień, i Szerszeń runął na ziemię, jak podcięty dębczak. Powstało zamieszanie.

Wstrzymano ogień. Przypadł kapitan i rzucił się do Szerszenia. Ten leżał w bróździe, z obliczem w niebo zwróconem, i jęczał. Całą twarz miał osmaloną. Brwi, rzęsy, wąsy dymiły się jeszcze. Prawą ręką wywijał młynka, ale to już nie była ludzka ręka. Wydarte żyły, kości, mięso — wyglądały raczej na korzeń młodego smreku, wyrwanego przez raptowną burzę. — Przybiegł na koniu i lekarz pułkowy. Oglądnął ranę i pokiwał głową.

— Życiu nic nie zagraża — uspakajał — oczy nie uszkodzone, brwi i rzęsy odrosną, ale rękę trzeba będzie koniecznie odciąć aż po łokieć.

Kazał zdjąć mundur i począł opatrywać rękę. Z poza koszuli Szerszenia wyleciał matczyn list i popędził za wiatrem światami... To powiększyło jeszcze jego ból. Jęknął głucho i skręcił się nagle całem ciałem, jak robak, którego przypadkowo nadepce twardy but.

TREŚĆ:

TREŚĆ

6, 61 f., 105 3/4 f., (24 1/2 - 6), 128 f., 132 d, 207 1/2 f., 209 n., 218 1/2, 222, 238 f., (262)

[illegible] ! (5 d), 7 3/4 f., 15 f., 19 m., (33 f., 36 d), 41 d, 72 f., 100 f., 122 3/4, 145 3/4 f., 149, 157 n., 169 3/4, 170, 184, 189 f., 196, (190 n.), 199 1/2 f., 207 3/4